

POLSKI REŻIM SANITARNY KONTRA WOLNOŚĆ

**Wojciech Cejrowski o tym,
jak go zamknięto na kwarantannie**



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

RZECZY

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

NR 28/433 12-18 LIPCA 2021

**Gruz, pamięć i historia
– Marek Jurek o incydencie
przed ambasadą Izraela**



**10 NAJWSPANIALSZYCH
ZAMKÓW POLSKI**
– KOMUDA OPROWADZA
PO WAROWNI
W BOBOLICACH

**Na co liczy Gazprom,
wspierając UEFA**

SŁAWOMIR CENKIEWICZ DLA „DO RZECZY”

Zagadka śmierci Michała Falzmannna

**30 LAT TEMU INSPEKTOR NIK
ODKRYŁ AFERĘ FOZZ.
WKRÓTCE POTEM ZMARŁ**

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 57,2 tys. egzemplarzy

DNI OTWARTE

8 - 15 lipca 2021

GOTOWE DO UŻYTKOWANIA
APARTAMENTY 3-POKOJOWE
Z OGRÓDKAMI
OPCJA WYKOŃCZENIA „POD KLUCZ”



Osiedle

**Słoneczne
Dębki**



BEATA BOBKIEWICZ 604 751 400

WWW.SLONECZNEDEBKI.PL



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

O polskiej klasie średniej

Od pewnego czasu męczy mnie pewna myśl. Początkowo przechodziłem nad nią do porządku dziennego, sądząc, że nie zasługuje ona nie tylko na to, bym sam się do niej przed sobą głośno przyznał, lecz także bym się nią podzielił z innymi. Kiedy jednak przeczytałem wywiad wiceministra finansów Piotra Patkowskiego dla „Kuriera Ekonomicznego”, wątpliwości zniknęły. Tak, można przyjąć, że przynajmniej niektórzy politycy rządu uprawiają sabotaż. Może świadomie, może nie – nie wiem.

Dla obecnego rządu do klasy wyższej należą w Polsce ludzie, których pensja miesięczna nie sięga poziomu płacy minimalnej w niektórych państwach Unii

Otóż zdaniem wiceministra Patkowskiego (przedstawianego w mediach, nie wiem, na ile słusznie, jako prawa ręka premiera Mateusza Morawieckiego, któremu to komentatorzy wróżą wspaniałą przyszłość): „W Ministerstwie Finansów na klasę średnią patrzymy pod kątem średnich zarobków. Z danych wynika, że 10 proc. najlepiej zarabiających Polaków uzyskuje dochody miesięczne powyżej 10 tys. zł, więc ich spokojnie można uznać za klasę wyższą. Natomiast klasa średnia, patrząc na dominantę średnich zarobków, zaczyna się powyżej 4 tys. zł brutto. Już od tego poziomu sama osoba ma odczucie, że należy do klasy średniej”. Słowa te miały uzasadniać reformę podatków zawartą w Polskim Ładzie – programie, który zdaniem liderów PiS ma pchnąć Polskę ku

radosnej, świetlanej przyszłości, a im samym zapewnić wygraną w wyborach.

Szybko przeliczyłem podane przez ministra liczby. Otóż wynika z tego, że dla obecnego rządu do klasy wyższej należą w Polsce ludzie, których pensja miesięczna nie sięga poziomu płacy minimalnej w niektórych państwach Unii, za członków klasy średniej mają się zaś uważać ci, którzy w innych państwach Unii zarabiają ledwo tyle, ile wynosi zasiłek dla bezrobotnych. Zważywszy, że przedstawiając Polski Ład, prezes PiS wspominał, że co się tyczy poziomu płac, rząd dąży do tego, by w Polsce było „jak na Zachodzie”, należy te deklaracje urzędnika Ministerstwa Finansów uznać albo za ponury żart, albo właśnie za sabotaż. Jeśli Polski Ład ma polegać na tym, by oszczędzić tych, którzy wiążą ledwo koniec z końcem kosztem tych, którzy (polscy bogacze od 10 tys. zł brutto miesięcznie) zarabiają mniej więcej tyle, ile niemiecka sprzątaczką, to ktoś tu upadł na głowę. Tym bardziej jeśli jeszcze próbuje się w ten sposób przekonywać do dobrodziejstw nowego systemu i zdobyć poparcie społeczne.

Twórcy projektu popełniają w tym przypadku trzy, sądzę, błędy. Po pierwsze, przyjmują, że dane statystyczne opisujące płace są prawdziwe. Tymczasem wystarczy wyjechać w wakacje nad morze lub w góry, by zauważyć, że coś tu się nie zgadza. Po drugie, nawet jeśli statystycznie liczba tych, którzy zarabiają między 4 tys. a 10 tys. zł miesięcznie brutto, jest największa, to przesłanie Polskiego Ładu raczej ich demotywuje, niż mobilizuje. Zamiast dawać nadzieję i zachęcać ich do bogacenia się, mówi się im, że ledwo osiągną

rzekomo niebotyczną granicę 10 tys. zł brutto, a zostaną uznani za bogaczy i państwo będzie ich łupić. W istocie odpycha się w ten sposób ludzi przedsiębiorczych i zaradnych. Zachęca się ich także do kombinowania – jak tu zarobić więcej i tego nie wykazać. Po trzecie wreszcie, co z politycznego punktu widzenia ma największe znaczenie, obecna, nowa, skierowana przeciw „bogaczom” retoryka pojawia się nie na początku rządów PiS, ale po sześciu latach! Należy zatem uznać, co brzmi dość absurdalnie, że to rządy prawicy doprowadziły do rozwarstwienia społeczeństwa.

Wiele elementów Polskiego Ładu robi wrażenie, jakby zostały napisane przez biurokratów, którzy w ogóle nie stykają się z rzeczywistością. To tym bardziej zaskakujące, że do tej pory PiS doskonale wyczuwał nastroje społeczne. Stąd społeczny i polityczny sukces „500+” – programu skierowanego do wszystkich! W chwili, kiedy go ogłaszano, politycy rządzący podkreślali słusznie, że to rodzice najlepiej wiedzą, na co wydać pieniądze, i że powszechność tego wsparcia, z którego mogą korzystać też „bogacze”, oznacza, że państwo pomaga wszystkim. Poza tym powszechność oznacza prostotę, to zaś uniemożliwia kombinowanie oraz czyni system wydajnym i tanim.

Dlaczego zatem PiS nie mówi o tym, że dzięki jego rządowi wszyscy mogą się bogacić, a najubożsi otrzymali wsparcie? Nie wiem. Nie wiem też, dlaczego zamiast systemu prostego i przejrzystego pojawiają się pomysły kolejnych ulg i zwolnień, co spowoduje wzrost szarej strefy. W efekcie Zjednoczona Prawica zamiast zyskiwać nowy elektorat, zaczyna tracić część starego. Naprawdę, jak to można pojąć? ©©

TEMAT TYGODNIA

14 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
„SZANS NA SUKCES NIE WIDZĘ ŻADNYCH”
 30. rocznica śmierci
 Michała Tadeusza Falzmana



KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TUSK – WYSTARCZY BYĆ?
 Co osiągnie były premier

24 KAMILA BARANOWSKA
KANDYDAT KOMPROMISU

26 MARIA KĄDZIŁSKA
DYPLMATYCZNA PUSTKA

28 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI”
**SPEŁNIONE MARZENIE MŁODEGO
 OPOZYCYJNISTY**

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ZASTRZYK Z BONUSEM

32 TOMASZ ROWIŃSKI
NIEBEZPIECZNE ZABAWY Z KONOPIAMI

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
WSZYSTKO GRA
 Nowe seriale

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

42 ŁUKASZ WARZECHA
MIEDZY OBOZAMI
 Konfederacja i Polska 2050
 w nowej rzeczywistości

44 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM
**TRZEBA ZMNIEJSZAĆ PODATKI
 I WYDATKI PAŃSTWA**

46 MAREK JUREK
GRUZ, PAMIĘĆ I PRAWO

48 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
APOLOGIA NIE-LUDZKIEGO BOGA

HISTORIA

50 MACIEJ ROSALAK
1410. ZWYCIEŚTWO PO BITWIE
 Narodziny potęgi

54 RAFAŁ ŁATKA
WYBIELANIE

ŚWIAT

56 MACIEJ SZYMANOWSKI
KIM JESTEŚ, VIKTORZE ORBÁNIE?
 Za co Węgrzy cenią rządy
 premiera Orbána

60 ROZMOWA Z ANTONEM DROBOWYCZEM
„I UPA, I AK MIAŁY KREW NA RĘKACH”

EKONOMIA

64 ROZMOWA Z ADAMEM ABRAMOWICZEM
**NIE ZMIENIAMY
 PODATKU LINIOWEGO**
 Nadmierne opodatkowanie
 pracy nie służy gospodarce



68 JACEK
 PRZYBYLSKI
**MÓJ
 ELEKTRYK?**

SPORT

72 ŁUKASZ MAJCHRZYK
PUTIN ŻYCI DOBREJ ZABAWY
 Piłka jest okrągła, a Rosja ma gaz

74 ŁUKASZ ZBORALSKI
POPSUTE IGRZYSKA

**„DO RZECZY”
 NA WAKACJE**

76 JACEK KOMUDA
BOBOLICE – ZAMEK CZY PODRÓBKA?
 10 najwspanialszych zamków Polski



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Łukmierz, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmieł, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska,
Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński,
Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torzański,
Szezech Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Włoczyk,
Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmieł**
(zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także
Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Marcin Bugaj**, **Damian**
Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**
Okładka: **Zbiory Izabeli Brodackiej-Falczmann**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, p.pech@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829

Nakład 57,2 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© 2021 Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za Wasze listy. Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zapraszamy do dyskusji.

„Polskość znienawidzona”, rozmowa z prof. Andrzejem Nowakiem, „DRz” 25/2021

Dziękuję Redakcji za taki, a nie inny dobór „tematu tygodnia”. To temat niezwykle dziś ważny!

W rozmowie red. Masłonia z historikiem, prof. Andrzejem Nowakiem, zatytułowanej „Polskość znienawidzona”, ten znakomity badacz polskich dziejów wyklada Czytelnikom w wielu wątkach i aspektach to, skąd się wzięła polskość, czym ona jest w istocie etc., puentując wywody wskazaniem, na czym polega dzisiejszy stan jej zagrożenia i że ono dotyczy nie tylko polskości. Antynarodowa opcja dekonstrukcyjna ma odniesienia szersze, jest obecna w realiach kulturowo-cywilizacyjnych Europy. To niesie dylematy, które będą się nasilały...



Na naszym gruncie ta rozmowa daje ważną porcję wiedzy historycznej. Ot, na przykład, na ogół nie wiemy, jakie było rzeczywiste tło „rabacji galicyjskiej”, poza tym, że był to koszmarny kładący się ponurym cieniem na polskich dziejach. Profesor Nowak to wyjaśnia. Ale podkreśla też, że postawa chłopstwa wobec spraw polskich to często powody do chluby. O tym, że patriotyzm na polskiej wsi rodził się dość późno, bo w drugiej połowie XIX w., pisał w „Bożym igrzysku” Norman Davies. A był to patriotyzm osadzony w głębokich związkach z wiarą, patriotyzm coraz mocniejszej próby. Davies egzemplifikuje to, przywołując znane przed wojną dzieło (dziś to pozycja raczej niszowa) – „Pamiętniki włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych” Jana Słomki, „wójta z Dzikowa”. Te „dni dzisiejsze” to w przy-

padku pierwszego wydania rok 1912, a drugiego – rok 1929. Żył Słomka w latach 1842–1932. Miał cztery lata, gdy na nieodległej ziemi tarnowskiej wybuchła „rabacja” Jakuba Szeli. Także o niej pisze – ze zgrozą – w swoim dziele. Słomka był pamiętnikarzem, ale nie tylko. Także znakomitym i popularnym samorządowcem (przez ponad 40 lat wybieranym na wójtowski urząd), prawdziwym chłopskim pozytywistą. „Pamiętniki” to dzieło unikatowe, bogate faktograficznie kompendium wiedzy o dawnej Galicji. Wysokiego mniemania o „Pamiętnikach...” był inny wybitny syn polskiej wsi, wspomniany przez prof. Nowaka Stanisław Pigoń. Uznał on „Pamiętniki...” za dzieło miarodajnie opisujące całościowo polską wieś oraz jej zmieniającą się obyczajowość w drugiej połowie XIX i na początku XX stulecia. Nazwał Słomkę „chłopskim Kitowiczem”, przyrównując go do pamiętnikarza, który 100 lat wcześniej świetnie opisał obyczaje szlacheckie w XVIII w. A o patriotyzmie Jana Słomki można przeczytać w artykule Tadeusza Zycha pt. „Narodziny Niepodległej w pamiętniku wójta Słomki”, zamieszczonym w jubileuszowej edycji „Biuletynu IPN” (nr 156) z listopada 2018 r.

Dowiedziałem się niedawno, że postać Jana Słomki (dodam: mojego „po kądzieli” pradziadka) być może będzie jakoś upamiętniona w powstającym obecnie Muzeum Historii Polski. Ze wszech miar na to zasługuję.

Pozdrawiam z Jeleniej Góry
Jacek Jakubiec

„Obronić małżeństwo”, Karol Gac, „DRz” 24/2021

Szanowny Panie Redaktorze,

[...] Art. 18 powinien możliwie szybko być doprecyzowany i powinien brzmieć następująco: „Małżeństwo to związek jednej kobiety i jednego mężczyzny. Małżeństwo, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej”. Mała, ale fundamentalna różnica. Dwadzieścia lat temu nawet nam do głowy nie przychodziło, że takie doprecyzowanie będzie kiedykolwiek konieczne. Zresztą być może konstytucja powinna zawierać w tym punkcie precyzyjną definicję kobiety i mężczyzny, bo za kilka lat może się okazać, że to, co dziś uważamy za oczywiste, może być podważane.

Pozdrawiam
Wojtek Młodziejewski



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Siła złudzeń

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956”:

Trudno dziś wyobrazić sobie, jak bardzo ludzie po wojnie chcieli wierzyć, że normalność nadal jest w zasięgu ręki. Tak jakby koniec wojny był jakimś czarodziejskim zaklęciem, dzięki któremu muszą powrócić choćby niektóre elementy przedwojennego świata. Wszelkie symbole zapowiadające złowrogi, nowy ład w postaci portretów Stalina, okupacyjnych wojsk rosyjskich czy coraz wyraźniejszej aktywności PPR uważano za coś tymczasowego. [...]

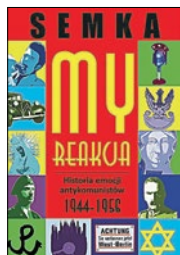
Gdy czytam i słucham wspomnień z tamtych lat, rzuca mi się w oczy absolutne przekonanie, że w Polsce, mimo sowieckiej okupacji, „będzie inaczej”. Że nie da się kopiować sowieckich wzorów. Owszem, przyjęto do wiadomości, że wzrośnie rola lewicy czy nawet komunistów. Ale nie miało to mieć żadnego wpływu na funkcjonowanie gospodarki, autonomię szkół czy nawet apolityczność wojska.

Polscy komuniści stosunkowo długo kokietowali „pozytywistów”, gdyż w latach 1944–1947 mieli na głowie większe problemy – stosunkowo silne podziemie zbrojne, a w drugim planie opozycję legalną na czele z PSL Mikołajczyka. Dlatego bardzo częste wówczas deklaracje: „Ja się w politykę nie mieszam, ja odbudowuję Polskę” były im na razie na rękę. Na czystki ideologiczne czas miał przyjść później.

Próbką tej ideologii „propaństwowego realizmu” był tekst prof. Stanisława Kutrzeby, prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, zamieszczony w lipcu 1945 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego”, pisma wydawanego pod patronatem abp. Adama Sapiehy, który wspierał ten swoisty pozytywizm: „Kraj, który przeżył straszną wojnę, zrozumiał to, że największym wrogiem jego są Niemcy, że wrogiem były od wieków i na wieki pozostaną. Między Rosją a Niemcami położona Polska musi więc szukać oparcia o Rosję jako najbliższego, niesłychanie silnego sąsiada, oczywiście nie zrywając więzów przyjaźni najserdeczniejszej z Anglią i Ameryką, musi dążyć do tego, aby w tych warunkach,

jakie są – zdobyć maksimum suwerenności zewnętrznej i wewnętrznej. Rozumie dobrze Polska, iż tylko jako kraj demokratyczny może się rozwijać. Ale także nie chce przekształcić się w państwo komunistycznego typu. Prowadzenie wojny na dwa fronty – jest szaleństwem. Posunięcia rządu londyńskiego, skierowane przeciw Rosji, pchnąć mogłyby kraj w zupełnie odmiętą, strącić na dno. Liczenie na wojnę między Anglią a Rosją jest wszakże dziwną naiwnością dla każdego, kto obserwuje obecne stosunki. [...] Udział wszystkich zasadniczych stronnictw w rządzie powinien nam dać siłę opartą na zasadzie wolności osobistej, swobody słowa i pisma, sprawiedliwości wymierzonej tylko przez sądy. To nasze zadanie”.

Kutrzeba był wiernym dziedzicem tradycji krakowskich konserwatystów. Z arsenału tego politycznego obozu czerpał skłonność do realizmu, pracy organicznej i unikania patriotycznej egzaltacji. Pytanie jednak, jak dalece można szanować tak dalece posunięty brak spostrzegawczości, choćby w obserwowaniu aparatu terroru UB. ©©



POLAK POKONAŁ LEGENDĘ TENISA

24-letni Hubert Hurkacz (z lewej) w pięknym stylu zmiażdżył na korcie 39-letniego Rogera Federera – legendę światowego tenisa. Polak pokonał Szwajcara 6:3, 7:6 (7–4), 6:0 i jako drugi Polak w historii – po Jerzym Janowiczu – awansował do półfinału Wimbledonu. Federer pierwszy raz od 19 lat przegrał seta do zera na kortach w Londynie. W piątek na drodze Polaka do finału stanął świetny włoski tenisista Matteo Berrettini. Niestety, nie znamy wyniku tego pojedynku, bo odbył się już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy”. (jap) ©©



Beata Kozłowska-Chyła wraz z młodymi sportowcami powołanymi do Dobrej Drużyny PZU w Centrum Sportu Raszyn

Powrót do aktywności

Dobra Drużyna PZU to nowy program promujący aktywność fizyczną wśród dzieci i młodzieży, w ramach którego PZU wesprze finansowo m.in. szkolne kluby oraz drużyny sportowe. Ambasadorami akcji są tenisistka Iga Świątek i influencer Blawek

Tęskniłiśmy za sportem, za wspólną grą, dążeniem do celu, za zwycięstwami. Ktoś powie – małymi, a dla nas – najważniejszymi. Co zrobić, żeby wrócili? – tymi słowami zaczyna się spot, który promuje program Dobra Drużyna PZU. Pierwszoplanową rolę grają tu dzieci: biegają za piłką na boisku, trenują pływanie i grają w tenisa na korcie. Przeciwnie widzimy chłopca, który siedzi w swoim pokoju i patrzy w ekran komórki, ale wtedy pojawia się na nim tenisistka Iga Świątek i mówi: „Tęsknisz za sukcesami? Dołącz do Dobrej Drużyny PZU. I wróć do sportu”.

Dobra Drużyna PZU to nowy program promujący aktywność fizyczną wśród dzieci i młodzieży, którego ambasadorką została Iga Świątek. To szczególnie ważne w sytuacji, gdy z powodu koniecznych ograniczeń pandemicznych i zdalnej nauki wiele dzieci i wielu nastolatków spędzało bardzo dużo czasu przed ekranami komputerów i smartfonów. Celem programu ma być również przezwyciężanie barier w uprawianiu sportu przez osoby z niepełnosprawnościami.

Ruszymy z Dobrą Drużyną PZU – trzyletnim programem skierowanym do wszystkich dzieci i nastolatków chcących uprawiać ulubioną dyscyplinę sportu. Zapewnimy pomoc finansową klubom i drużynom, które pomogą zrealizować najmłodszym ich sportowe marzenia. Oprócz kontynuacji rozpoczętych już przedsięwzięć wkrótce zaangażujemy jeszcze większe środki i uruchomimy otwarty nabór na nowe projekty wpisujące się w nasze idee i cele. Dobra Drużyna połączy energię, zaangażowanie i wiedzę naszych sportowych partnerów z doświadczeniem organizacyjnym i mocą finansową PZU – mówiła na inauguracji projektu dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU.

Powołania do programu Dobra Drużyna PZU otrzymali już: przedstawiciele i zawodnicy Amp Futbolu, Polskiego Związku Zapaśniczego, Stowarzyszenia Nadzieja na Mundial, Katolickiego Klubu Sportowego Victoria Stalowa Wola, oraz dzieci z Centrum Sportu Raszyn.

TO MOŻE BYĆ MOJE ŻYCIE

Program Dobra Drużyna PZU wystartował 15 czerwca br. Ma charakter powszechny – jest otwarty na wszystkich, zwłaszcza małych sportowców z niepełnosprawnościami, oraz na wszystkie dyscypliny sportu. W inauguracji udział wzięła najbardziej znana i najlepsza obecnie polska tenisistka Iga Świątek, która podczas uroczystości wręczyła młodemu sportowcowi powołania do „Dobrej Drużyny PZU”.

– Z PZU łączą mnie podobne wartości. Sama często podkreślam, że w przyszłości chciałabym wesprzeć rozwój dzieci i młodzieży. Wiem, jak ciężko jest na początku, i wiem, że pomoc ta jest potrzebna. Dlatego cieszę się, że pojawiła się taka okazja i mogę wziąć udział w projekcie Dobra Drużyna PZU – mówiła Świątek.

Ona sama jako mała dziewczynka próbowała różnych aktywności, grała w piłkę nożną, pływała, ale ostatecznie wybrała tenis.

– Dopiero w wieku 15–16 lat zrozumiałam, że to może być moje życie. Ważne jest to, by znaleźć swoją ścieżkę, ponieważ każdy jest inny. Dlatego mam prostą radę dla wszystkich: próbować różnych dyscyplin i mieć szerokie horyzonty. Aktywność fizyczna, nie tylko w wymiarze sportu zawodowego, ma ogromny wpływ na życie i wcale nie trzeba być profesjonalistą, by korzystać z dobroczynnego wpływu sportu – dodała tenisistka.

Weź udział w wyzwaniu #DobraDrużyna

9 lipca wystartowało wyzwanie na TikToku, YouTube, Facebooku i Instagramie. Polega ono na nagrywaniu filmików, na których młodzi ludzie ćwiczą, trenują i aktywnie spędzają czas. Materiały oznaczone #DobraDrużyna oglądać będzie influencer Blawek, który w każdym tygodniu wybierze najlepsze filmiki, a następnie wypromuje je w swoich mediach społecznościowych. Szczegóły i zasady uczestnictwa w Dobrej Drużynie PZU znaleźć można na stronie dobradruzynapzu.pl.





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Węglowy imperializm

Klimatyczny think tank CarbonTracker.org poinformował – oczywiście w tonie najwyższego oburzenia – że pięć azjatyckich krajów, Chiny, Indie, Indonezja, Wietnam i Japonia, już w tej chwili wytwarzających 80 proc. światowej emisji CO₂, ignorując kompletnie „porozumienie paryskie”, buduje 600 nowych elektrowni węglowych. Nie ma literówki, słownie: sześćset. Planowana moc: ponad 300 gigawatów. Dla porównania, w ostatnich 10 latach w Unii Europejskiej i Ameryce Północnej zamknięto, w ramach „ratowania planety”, elektrownie węglowe o łącznej mocy 24 GW. W tym naszą, świeżo zbudowaną Ostrołękę. A możliwe, że ten sam los spotka też wzięty przez klimatystów na cel Turów, bo Unia Europejska,

emitująca w skali globu poniżej 10 proc. CO₂, postanowiła stać się globalnym prymusem i zdekarbonizować kraje członkowskie w tempie ekspresowym.

Z tym, że niektóre w tempie bardziej ekspresowym – bo Niemcy, polityczny hegemon i największa unijna gospodarka Europy, same się do zdekarbonizowania nie kwapią. I wygląda na to, że z CO₂ będzie tak samo jak z ograniczeniem długu publicznego przez tzw. kryteriami zbieżności z Maastricht, które wszyscy musieli spełniać, tnąc wydatki do kości, a Niemcy ich nigdy nie spełniały. I co im kto mógł zrobić?

Gdyby zresztą w tym zdekarbonizacyjnym obłędzie Unii naprawdę chodziło o emisję CO₂, zamykane elektrownie zastępowano by atomowymi – bo nie ma

energetyki ekologicznie czystszej i bezpieczniejszej. Ale węgiel ma być w Europie zastąpiony rosyjskim gazem ziemnym i wodorem. Wytworzenie każdego kilograma wodoru – według raportu AGH przedstawionego i zignorowanego na „szczyście klimatycznym” w Katowicach w 2018 r. – powoduje co prawda emisję 8,3 kg CO₂ (nie licząc jego transportu), ale za to technologia ta całkowicie uzależni nas i inne unijne peryferia od krajów unii „pierwszej prędkości”.

Niech Państwo nie dadzą sobie zamykać ust propagandą, że „naukowcy są zgodni...” etc. Żeby wiedzieć, jakim szwindlem jest „zapobieganie katastrofie klimatycznej”, nie trzeba być klimatologiem ani fizykiem. Wystarczy do tego elementarny zdrowy rozsądek. ©©

OD POČZĄTKU

Bez uprzedzeń i wykluczenia



MAREK JUREK

Deklaracja w sprawie przyszłości Europy” kilkunastu europejskich partii prawicowych to akt, którego nie sposób przecenić. Nie tylko mówi o „wartościach”, lecz także przywraca ignorowane pojęcia prawne, np. zapomnianą traktatową „zasadę przyznania”, wykluczającą „domniemywanie kompetencji” tam, gdzie państwa ich Unii nie przyznały.

Deklarację oczywiście zaatakowała „Wyborcza”, inni próbowali pomniejszyć jej znaczenie. Michał Broniatowski w Onet.pl uznał ją za „mizerny sukces”, bo jedynie ogłasza „współpracę kulturową i polityczną [...] z poszanowaniem roli istniejących grup politycznych” – zamiast od razu powołać

wspólny klub w Parlamencie Europejskim. Tymczasem stało się coś i tak bardzo ważnego, został dokonany zasadniczy wyłom w mechanizmach medialno-politycznej kontroli, wymuszającej bojkot poszczególnych partii prawicowych. Wspólna deklaracja, podpisana i przez Jarosława Kaczyńskiego, i przez Marine Le Pen, i przez Viktora Orbána, to koniec – narzuconej przez unijną oligarchię – wzajemnej politycznej izolacji na prawicy, pod groźbą wypalenia piętna „nacionalistów” i „populistów”. Ostracyzm się skończył!

Deklaracja jest też ważnym sukcesem Europy Środkowej. Występuje w obronie państw, które chce się pozbawić wpływu na sprawy europejskie

(czyli przede wszystkim Polski i Węgier), oraz jasno afirmuje „więzi euroatlantyckie”. Rąfy oczywiście pozostają. Francuzi powiadają, że trzeba umieć zapanować nad powodzeniem. Im większa solidarność prawicy – tym większe znaczenie prawicowych partii, więc gdy znaczenie ich wzrośnie, niejedna stanie przed pokusą przyłączenia się do postchadeckiej EPP. Tak właśnie wielu „postfaszystów” z włoskiego Przymierza Narodowego trafiło do Europejskiej Partii Ludowej, gdzie dziś kolegują się z politykami Platformy. Ale to już rąfy na horyzoncie powodzenia, ku któremu zrobiono dopiero pierwszy krok. Teraz trzeba trzymać kurs! ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Bij, żeby pokazać, że nie jesteś faszystą!

Strzelista myśl wyległa się w arystokratycznym, postępowym, pięknym umyśle prof. Ernesto Galli della Loggia. Wyłożył ją na łamach pierwszego dziennika Italii „Corriere della Sera”, w którym regularnie pisuje wyrafinowane komentarze.

Tak się złożyło, że tydzień wcześniej pierwszy raz na czoło sondaży politycznych wyszła prawicowa, „suwerenistyczna” partia Bracia Włoscy Giorgii Meloni. Wiadomo było, że lewica nie puści tego płazem.

W e ż, Donek, zobacz, czy
ci g nie ma w Polsce



c e z e r y e t y s z t o n a

Profesor Galli della Loggia na łamach „CdS” zarzucił kobiecie i jej partii, że nie odcinają się wystarczająco radykalnie od ponurych czasów faszyzmu i Mussoliniego. Meloni odpisała, że Bracia Włoscy zdecydowanie potępiają faszyzm, ustawy rasowe i przemoc, a żeby się o tym przekonać, wystarczyło przeczytać partyjne dokumenty

w Internecie, czego uczony mąż niestety nie zrobił.

Przy okazji poradziła mu, żeby badania krwi na czystość moralno-polityczną przeprowadził też wśród swoich lewicowych współwyznawców, bo do dziś mają ambiwalentny stosunek do Związku Sowieckiego. Co więcej, niedawno mieli ogromne problemy z zaakceptowaniem rezolucji PE potępiającej totalitaryzmy, bo ta stawia na równi komunizm z nazizmem i faszyzmem.

Profesor, najwyraźniej zbity z pantałyku, postanowił replikować. Broń Boże, nie krył przy tym poczucia intelektualnej i moralnej wyższości. Napisał, że w polityce nie wystarczą słowa i dokumenty. Potrzeba też czynów. I poradził kobiecie, co ma zrobić: kiedy na jej wiecu pojawią się neofaszyści z ugrupowań CasaPound i Forza Nuova, ma wysłać swoich młodych zwolenników, żeby ich pobili. Czyli zbłądził się po raz drugi, tym razem totalnie.

Problem jednak polega na tym, że neofaszyści (0,95 proc. w ostatnich wyborach) nie przychodzą na wiece Braci Włoskich. Zapewne więc bojówkarze Meloni powinni zacząć ich szukać, a gdy znajdą, to pobić.

To jest naprawdę przerażające. Wystarczyło lekko poskrobać wybitnego, wymuskanego intelektualistę włoskiej lewicy i wylał dorodny faszysta. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Tusk i gwałtowny wzrost bezrobocia

Ależ proszę Państwa! Parzyły mnie paluchy! Wchodzę sobie na Twittera, a tam cały Twitter o Tusku Donaldzie. Taki był rozgrzany ekran mojego „telefonu iPhone’a”, że aż się pokazywała taka ikonka z czerwonym termometrem. Takie sytuacje z tym czerwonym termometrem miałem ostatnio, jak się opalałem w Las Vegas i było grubo ponad 40 Celsjuszków (proszę zwrócić uwagę, jak umiejętnie, mimochodem, przemyciłem autopromocję „Byłem w Las Vegas”).

Bardzo mi się podobała cytowana na TT wypowiedź marszałka Ryszarda Terleckiego: „Tusk, a kto to jest Tusk?”. To jest fenomen, nikt nie wie, ale wszyscy dyskutują o nim w kółko. Im bardziej ma być zniknięty, tym bardziej jest objawiony. Nawet jakiś mało znany twitterowicz napisał w związku z tym: „Tusk jest słaby i kompletnie nie ma znaczenia. Nikogo nie interesuje. Nie jest żadnym zagrożeniem. Nikt nie bierze go na poważnie. Całe »Wiadomości« TVP o tym były”. Nie do końca rozumiem ten wpis, ale mi się podoba.

W związku z tym, że wszystkie strony sporu chcą miłości, rozpoczęła się jatka. Tuska biczowano np. wypowiedzianymi przez niego słowami w czasie przemówienia międzynarodowego po niemiecku: „Für Deutschland”, które wyrywano z kontekstu, aby lud utwierdzić w przekonaniu, że no jednak po niemiecku mówi, no chyba sami rozumiecie... Druga strona natomiast zwoziła spiż do stolicy, aby Donaldowi wystawić pomnik ze spiżu właśnie, ale i także trwalszy niż ze spiżu. Pojawili się także deklaracje miłości. Znany i powszechnie szanowany dziennikarz Kamil Durczok napisał na TT wprost i szczerze, że kocha Donalda Tuska. Mimo olbrzymiego autorytetu, jakim cieszy się Kamil Durczok, nie brak było opinii, że poparcie dziennikarza może być jednak za małe. Że prawdziwa miłość to nie tylko słowa i deklaracje, to przecież objęcia, całusy, przytulanie, wspólne spacerowanie i patrzenie sobie w oczy... Europa po prostu.

Kończąc: moim zdaniem Tusk nie ma jednak wielkich szans w ewentualnych wyborach, bo po jego przyjeździe natychmiast wzrosło bezrobocie. Na przykład jedna pani, żona jednego posła z PiS, od razu straciła trzy posady w trzech różnych radach nadzorczych państwowych spółek. Teraz ekonomistów zastanawiają się, jak to liczyć, czy bezrobocie wzrosło o trzy, czy o jeden. O ustaleniach poinformuję Państwa niezwłocznie, ale na razie nic o tym nie ma na TT. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.



FOT. PAVEL GRODOWSKI

MUCHA NA OSTRYGACH

Przypomnieć o sobie postanowiła zapomniana nieco ostatnio Anna Mucha. Zrobiła więc relację z wizyty w restauracji, która jej się nie spodobała, bo było drogo i jedzenie takie sobie. – Poszliśmy na ostrygi, żeby było tak wicie, światowo, na bogato... Zapłaciliśmy absurdalnie dużo, absurdalnie drogo w stosunku do jakości – narzeka celebrytka. – [...] Dostaliśmy przystawki i dania główne, z których to przystawek jednej kompletnie nie zjedliśmy, ponieważ była pozbawiona smaku i była żadna, druga była pyszna, te przegrzebki. Do tego dostaliśmy ostrygi, które były średnie, bardzo średnie! – nie kryje rozczarowania. – Jeżeli ja mam do wydania 700 złotych na obiad, to ja za te 700 złotych mogę zjeść jak król w wielu miejscach w Warszawie, więc po cholere ja mam iść do „X” na Krakowskim Przedmieściu, zwłaszcza że siedziałam tyłem, więc nic nie miałam z tego Krakowskiego Przedmieścia! – mówi już mocno rozzłoszczona. Do relacji włączył się także jej partner, który tonem znawcy ocenił dania jako nazbyt drogie. I kiedy poczuł, że chyba trochę przesadzili, celebrytka dodała: – Ja to mówię nie dlatego, żeby opowiadać, że mnie się w du.ie poprzewracało, bo jem ostrygi i sanżaki, a ludzie nie mają co do garnka włożyć, bo to nie o to chodzi kompletnie – zastrzega celebrytka. Bo przecież tu chodzi wyłącznie o dobro innych! Docenimy, jak Anna Mucha poświęca się dla ludzkości. Je jakieś ohydne ostrygi za siedem stówek, by inni nie musieli!

OSTRA JAK JOLA

Wiemy już, że celebrytka Jola Rutowicz, znana głównie z intymnych wyczynów na wizji w „Big Brotherze” (teraz pewnie na nikim już nie zrobiłoby to wrażenia, takie czasy), przeszła przemianę duchową, bo chętnie opowiada o tym w mediach. Że się nawróciła, że wierzy w Boga, że stała się bardzo religijna. Ostatnio jednak zaskoczyła wszystkich wyznaniem, że interesuje się także polityką. I tak oto Jola Rutowicz w ostrych słowach skrytykowała powrót Donalda Tuska do Polski. – Myślałam, że powrót Tuska będzie wielkim boom! A tymczasem ten wrócił kompletnie nieprzygotowany! Dno! Brakuje mu pewności siebie, jaka się, waha w wypowiedziach... W jego oczach widać zagubienie, pogardę i nienawiść. Panie Tusku! PiS Cię poknie teraz żywcem, nawet Ulgix nie będzie potrzebny, a na deser dokończy Cię TVP – stwierdziła Jola, która – jak widać – w swej publicystyce będzie ostra jak brzytwa. Tusk powinien się już pakować. W starciu z taką krytyką jest bez szans.

DAMY KANAPEK NIE JEDZĄ

Tymczasem śniadaniowa telewizja na poziomie, czyli „Dzień Dobry TVN”, postanowiła pouczyć rodaków celebrytów, jak powinni zachowywać się na wakacjach all-inclusive w zagranicznych hotelach. W tym celu TVN zaprosił do studia ekspertkę, która wyjaśniła, co i jak. – Dwie rzeczy, jeśli chodzi o nakładanie sobie na talerz. Umiar i powściągliwość, nakładajmy tyle, ile naprawdę zjemy. Lepiej iść dwa razy, a nawet trzy razy. Pamiętajmy oczywiście, że nie wracamy z brudnym talerzem do stołu szwedzkiego – instruiowała ekspertka Dominika Grodowska. Problematyczne jest jedzenie pieczywa. – Nie powinniśmy na ten sam talerz kłaść potrawy razem z pieczywem. Zasada jest taka, że przed sobą stawiamy talerz właściwy z potrawą, a nad talerzem na lewo ukośnie powinien stać talerzyk z pieczywem – radzi ekspertka. – Pieczywo, niezależnie, czy będzie to kromka chleba, czy bułka, odrywamy i w ten sposób jemy. Nie rozcinamy pieczywa na pół, nie smarujemy masłem i nie robimy kanapek, bo jak wiemy, damy kanapek nie jedzą. Można posmarować masłem oderwany kęs, po czym wsadzić go od razu do ust – instruuje. Trochę się pogubiliśmy. Bo niby ten TVN oglądają sami młodzi, wykształceni, z wielkich ośrodków, a jednak trzeba im tłumaczyć, jak chleb masłem smarować, żeby wstydu na Zanzibarze nie było.

SZCZERA DO BÓLU

Monika Richardson po głośnym rozstaniu ze Zbigniewem Zamachowskim już na salonach zaprezentowała się z nowym partnerem. Okazuje się, że choć Monika czeka jeszcze na swój trzeci rozwód, to nie wyklucza czwartego ślubu. – Nigdy nie należy mówić „nigdy”. W moim wieku byłoby to głupie. Ale nie mam jakichś szczególnych ambicji w tym kierunku, wydaje mi się, że trzykrotne stawianie na ślubnym kobiercu to jest niezła statystyka jak na nasz piękny kraj – stwierdziła w rozmowie z portalem Jastrząb Post. – Ja całe życie dążyłam do tego, żeby być w szczęśliwym związku, w którym jest miłość. I to jest mój plan na życie i ja go nie zmieniam. Nie zmienię tego mój trzeci rozwód. Być może jestem skrajnie naiwna, też czytałam takie głosy, że jestem głupia i naiwna, ale taka umrę – ogłosiła w przypływie szczerości. To my odpłacimy szczerością za szczerość i nie zaprzeczmy. ©



FOT. PAVEL WODZINSKI/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nauczyciel ze szkoły pod Madrytem został zawieszony w obowiązkach, iż przekazywał ekstremistyczną wiedzę, iż istnieją jedynie dwie płcie. Komentując sprawę, powiedział, że to tak, jakby go ukarać za mówienie, iż Ziemia jest okrągła.

Biedaczysko nie rozumie, iż nauka jest dynamiczna i nie stoi w miejscu,

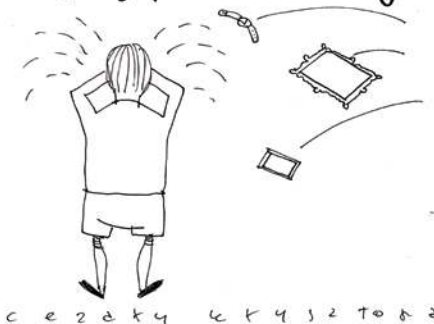
Tak więc spokojnie, Ziemia się może jeszcze okazać wcale nie okrągłą, dyskusyjne będzie, wokół czego się kręci i co jest środkiem wszechświata. Bo niby czemu miałyby to być Słońce? Nauka nieraz jeszcze nas zaskoczy.

Kochani, wiecie, iż dużym problemem współczesnego świata jest męska i biała supremacja. Jednak musimy

w góry, a raczej pod góry, bo przecież nie będziemy się wspinąć na jakieś przerażające Nosale czy Gubałówki.

W każdym razie mamy zamiar wespół górskie osobokozice i w ramach performansu, który zwróci uwagę na problem ludzkiej dominacji w środowisku góskim, chcemy turłać się ulicami Zakopanego, symulując lawinę dobrych myśli, jakie przynosimy miejscowej zwierzynie. W ten sposób proponujemy wyjście poza dotychczasowy dyskurs oraz podkreślimy, jak ważne jest dla nas zaprzestanie promowania matematyki w przestrzeni publicznej.

Pisowscy siepacze zabezpieczają zabawki Złotego Chłopa Tuska na sumę ponad 4 milia Złotych...



a nawet wciąż przesuwają się do przodu. Jak podają media, nauczyciel pracował w szkole od 25 lat i najwidoczniej zatrzymał się w czasie, kiedy rozpoczynał karierę.

Teraz nauka jest zgodna, iż płci może być w zasadzie dowolna liczba, a kulistość Ziemi też pewnie nie jest dogmatem, którego nie dałoby się obalić w imię rozwoju równościowych paradygmatów.

zwrócić uwagę również na zjawisko szersze, jakim jest supremacja ludzka.

Otóż w Tatrach rozpoczęło się właśnie liczenie osobokozic. Tak jakby człowiek po prostu uznał, iż jest osobą nadrzędną w stosunku do nich i ma prawo je liczyć, śledzić i ewidencjonować.

Nie możemy się na to godzić, iż w Tatrach osobokozice są u siebie, a ludzie są tylko gośćmi, dlatego już w najbliższych dniach szykujemy się na wyjazd

Kochani, trwa beka z wiceministra finansów, który gdzieś tam powiedział, iż klasa średnia zaczyna się od 4 tys. zł brutto i że sami tyle zarabiający się za klasę średnią uważają.

No w zasadzie to nie jest takie głupie, iż niebawem płaca minimalna będzie pewnie rosła do poziomu płacy klasy średniej, dzięki temu otrzymamy jedyną w Europie klasę średnią zarabiającą najniższą krajową.

W ten sposób jesteśmy o krok bliżej naszego sztandarowego ekonomicznego postulatu, iżby średnia krajowa równała się płacy minimalnej. A jeszcze parę lat temu wielu się z takiego pomysłu śmiało xD @@



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/MWIZWO)

PODSŁUCHANE

Rola prezydenta

Donald, mogę na chwilę?

Tak, tak, Rafał, wchodź śmiało. Tam usiądź, na tym zydelku przy drzwiach, i poczekaj momentik, bo jeszcze muszę tu skończyć ważną sprawę.

A co, jeśli mogę spytać?

Cygara zamawiam... O, jeszcze paczka tych podwójnych corona kubańskich... Klik – i już. Słucham cię teraz.

Bo ja chciałem zapytać, jaką ty właściwie widzisz dla mnie teraz rolę...

No jak to? Doniosła! Bardzo ważną! Na przykład jechałem dzisiaj do biura i strasznie długo czekałem przed placem Zawiszy. Mógłbyś tam coś zrobić ze światłami?

Ale... jak to? Światłami w mieście mam się zajmować?

No ale przecież jesteś tu prezydentem, co nie? No właśnie.

Słuchaj, to jest wielka sprawa – taka pomoc ludziom w codziennych sprawach.

Albo chodnik nowy w Jerozolimskich mógłbyś położyć. Mówię ci, ludzie docenią.

Ja raczej myślałem...

No, to zobaczymy się za jakiś czas. A teraz przepraszam, muszę sobie whisky zamówić. @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wrócił. Po ósme zwycięstwo nad Kaczyńskim”.

RADOSŁAW SIKORSKI, były szef MON, europarlamentarzysta KO, na Twitterze o przyjeździe do Polski Donalda Tuska

Nareszcie! Długo wyczekiwana zmiana pokoleniowa w Platformie stała się faktem! Udało się odsunąć od władzy stare, tłuste koty, takie jak Borysław Budka, i przekazać stery partii w ręce młodego, obiecującego Donalda Tuska! Który jest aż o 21 lat młodszy niż... Eee... Przepraszamy, poniosło nas. Jednak o tyle właśnie Donald jest starszy niż Borysław.

Ważne info. Tusk ogłosił, że będzie teraz walczył o równouprawnienie kobiet. Na początek wyrzucił więc Ewkę Kopacz ze stanowiska wiceprzewodniczącej PeŁo i zajął jej miejsce, żeby zostać p.o. szefem partii. Subtelne.

Z okazji powrotu Złego Donalda Szymon Hołownia zaczął cytować Paula Coelho. Dlaczego dopiero teraz? Przecież tak wiele ich łączy: obaj mają skłonność do banałów, obaj uwielbiają pokłask i obaj nie kumają z polskiej polityki. Ten przełom aż się prosi o nową ksywkę dla Szymona. Zatem od dziś będzie to Szymono Hoello.

Tyle ostatnio tych powrotów. Na przykład wrócił też piłkarz Lukas Podolski. Jaka jest różnica między Podolskim a Tuskiem? Podolski grał przez lata emigracji dla Niemców i dla Turków. Tusk nie grał dla Turków.

Są w PeŁo także osoby nieszczęśliwe z powodu powrotu Donalda. I nie chodzi tylko o Rafcia Trzaskowskiego, którego ważność wyparowała jak woda podczas duszenia pieczarek. Najbardziej nieszczęśliwy jest Cezary Tomczyk, szef klubu PeŁo. Przez lata był posłusznym cynglem Donalda, a teraz Donald go zdradził, bo musi coś dać na otarcie łez Borysławowi Budce. Ach, ten Donald! Słodziak!

Tymczasem na kongresie PiS. Najwięcej głosów podczas tajnych wyborów na wiceprezesa partii dostał premier Mateusz. Najmniej – Antonio Macierewicz. Zmiany, zmiany, zmiany. Co ciekawe, wiewiórki mówią nam, że wielu delegatów oddało głos jedynie na premiera Mateusza. Wszystkich innych wykreślając.

Za kulisami uwagę przykuwa wzmacnianie pozycji Elżbiety Witek, która jest dziś politykiem najbardziej

dwaj panowie



promowanym przez szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Nie chodzi o to, że kogoś to szczególnie martwi. Raczej o to, że odbywa się to kosztem Bełaty Szydło. A to już owszem, tak, wielu martwi.

Nasza ubiegłotygodniowa wieść, że Marek Kuchciński ponownie przymierza się do fotela marszałka Sejmu, a Elżbieta Witek ma być przesunięta na odcinek resortu spraw wewnętrznych, wywołała niemałe poruszenie. Przy tej okazji mogliśmy się przekonać, że grono tych, którzy chcieliby powrotu Kuchcińskiego, nie jest zbyt szerokie, a Witek jest jako marszałek powszechnie wychwalana.

Wielka odprawa posłów europejskich z władz partii na kongresie też była szeroko komentowana. Sami europosłowie się skarżą, że to zemsta ludu kongresowego za ich wysokie europejskie zarobki. Słyszeliśmy inną wersję. Jarosław Kaczyński SWP chciałby, żeby przez te dwa lata przygotowań wyborów do Sejmu na głównym pokładzie byli jednak przede wszystkim miejscowi fighterzy.

Ciekawy jest przypadek Richarda Czarneckiego. Zamierza on kandydować jesienią na szefa Polskiego Związku Piłki Siatkowej i w ogóle marzy o przyszłości działacza sportowego. Słyszeliśmy, że na Nowogrodzkiej często opowiada o sporcie. Nie zawsze powinien. No bo to skandal, żeby ważne figury musiały czekać w kolejce do gabinetu

prezesa, kiedy Richard w środku ciągle tylko o siatkówce i siatkówce.

Ciekawa rzecz z wielką reformą partii. Miały być sto okręgów, debaronizacja i tak dalej. Skończyło się na programie pilotażowym na Pomorzu. Żli ludzie mówią, że Kaczyński SWP poddał się w walce z lokalnymi działaczami. A gdzie tam! Zdaniem wytrawnych wiewiórek zmiana będzie i tak. Za pół roku. Maks za rok.

Apropos tego, co jesienią – między wrześniem a grudniem zacznie się wielka ruchawka w Parlamencie Europejskim związana z powoływaniem nowej wielkiej frakcji konserwatywnej. Deklaracja ideowa jest, po wakacjach oczekiwane jest podpisanie się pod nią kolejnych partii z kolejnych krajów. Cel? No cóż, w połowie kadencji PE obsadzone są na nowo wszystkie ważne stanowiska. Nowa frakcja ma zamiar w tym procesie czynnie uczestniczyć.

Wracając do SWP Kaczyńskiego – jest w formie. Jak twierdzą nasze wiewiórki, podczas ubiegłotygodniowej awantury w Sejmie ładnie pociągnął kijem po prętach kłatki z posłem Nitrasm. Część wiewiórek mówi, że zwrócił się do niego słowami: „Wciągnij kreskę!”, podczas gdy inne wiewiórki utrzymują, że było to: „Niech Pan wciągnie kreskę”. Doświadczenie podpowiada nam, że musiała to być forma grzeczniejsza, bo prezes jest dobrze wychowany. Tak czy inaczej doprowadził Nitrasa do białej (jakkolwiek to zabrzmiało) gorączki.

Ważą się losy nowego ambasadora w Waszyngtonie. Chciano na ten odcinek rzucić Marka Magierowskiego z Tel Awiwu. Okoniem stanął jednak Pałac Prezydencki Andrzeja Sebastiana. A konkretnie Krzysztof Szczerski, który właśnie wybiera się do Nowego Jorku na placówkę przy ONZ.

Na koniec wakacyjny michałek kynologiczny. Wiceszef resortu spraw wewnętrznych i jednocześnie nadzorca służb specjalnych niedawno sprawił sobie psa. Ponieważ jest patriotą, wybrał rasę swojską: owczarka podhalańskiego. Nigdy nie zgadlibyście, jak się wabi. Brytan? Kiler? Raptor? Rambo? Nic z tych rzeczy. Ciapek. Po prostu Ciapek. Kurtyna. ©

POTRZEBUJESZ WYCISZENIA I ODPOCZYNKU?

Jeżeli spędzasz wakacje w kraju to warto
poznać najpiękniejsze leśne zakątki w Polsce.

**JUŻ OD 16 LIPCA PUBLIKUJEMY
CYKL ARTYKUŁÓW**

stworzony wraz z Lasami Państwowymi:
Dlaczego warto udać się na wakacyjne
leśne wędrówki!

UWAGA! KONKURS!

Szczegóły na stronach akcji.



ZAPRASZAMY NA WWW.DORZECZY.PL

PARTNER SEKCJI **MAGICZNE WAKACJE
W POLSCE** NA WWW.DORZECZY.PL





Michał Falzmann

FOT. ZBIORY IZABELI BRODACKIEJ-FALZMANN

Rodzinie Michała Falzmana poświęcam

W najbliższych dniach minie 30 lat od nagłej śmierci Michała Tadeusza Falzmana (ur. 28.10.1953 – zm. 18.07.1991). Stajemy zatem w obliczu kolejnej okrągłej i smutnej rocznicy. „Żadna rocznica nie może być dla nas świętem – każda rachunkiem sumienia tylko” – powiedział dawno temu Ignacy Matuszewski, zdając sobie sprawę, że rocznice są w Polsce bezrefleksyjnym rytuałem, czego zresztą chciałbym uniknąć, pisząc kolejny tekst o odejściu tego wyjątkowego człowieka.

Nie znałem Michała Falzmana. Pierwszy raz usłyszałem o nim tuż po jego śmierci od profesorów Mirosława Dakowskiego i Jerzego Przystawy, którzy książką „Via bank i FOZZ. O rabunku finansów Polski” z 1992 r. pierwsi pró-



Sławomir Cenckiewicz

Pracownik NIK Michał Falzmann rozkodował model rabowania Polski. W prywatnych zapiskach przewidywał, że to się źle dla niego skończy. Do dziś nie wyjaśniliśmy okoliczności jego śmierci

bowali skruszyć mur zмовы milczenia. Bliżej poznałem Falzmana dopiero po latach – z artykułów i książek, z opowieści i przekazów rodzinnych, z jego własnych notatek i urzędowych raportów, z ukrytych w czeluściach archiwów dokumentów i opinii. I wiem ponad wszelką wątpliwość, że ani wtedy, gdy przedwcześnie odchodził w wieku zaledwie 38 lat, ani w dniu ostatniego pożegnania, które przypominało „Pożreć młodego wieloryba” Zbigniewa

Herberta, kiedy jego trumnę pokryły rządowo-prezydenckie wieńce i na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzali go państwowi notable w takt sonaty na wiolonczelę Jana Sebastiana Bacha, ani nawet dziś nie chciałby nadętej patriotycznej celebry.

Michał Falzmann nie potrzebuje od nas „nawet kawałka żalu”, bo chciał jedynie prawdy i sprawiedliwego osądzenia winnych grabieży finansów publicznych Polski, bez względu na to, kim okazałby

się bezpośredni sprawcy złodziejstwa i ich polityczni protektorzy. Temu właśnie Falzmann poświęcił swój ostatni akt życia, który zaprowadził go na powązkowski cmentarz, stając się po dziś dzień spersonifikowaną nieodrobioną lekcją, wyrzutem sumienia części elit i oskarżeniem „niezauważonej niepodległości” III RP. Wreszcie oskarżeniem nas wszystkich!

Przez długie lata mieliśmy okazję zamienić tę niepotrzebnie przedwczesną śmierć w oręż zwycięstwa, gdyby

minalistyczno-medyczne pozwalające ustalić przyczynę zgonu...

Dlatego w walce Falzmann, choć prowadzonej przeciw u samego zarania III RP, zawiera się cała niemoc Polski zrodzonej po Okrągłym Stole. Administracyjne dysfunkcje, postkomunizm służb specjalnych i prokuratury, które ochraniają często ukrytych aktorów grabieży państwowego majątku, a gnębią demaskatorów przestępstw, elity solidarnościowe blatujące się z ludźmi dawnego

skromny i pobożny katolik, mąż i ojciec pięciorga dzieci, bezkompromisowy w walce z przestępcami, niezłomny w boju o prawdę, „oszołom”, wolny Polak wierzący w wolną Polskę i suwerenne elity, antykomunista bez politycznego zaplecza, skazany na porażkę. A w konsekwencji także... na śmierć!

KALENDARZ KLĘSKI

W swoim osobistym kalendarzu pełnym oryginalnych spostrzeżeń i notatek pod datą 4 stycznia 1991 r. Michał Falzmann narysował postać na sankach wpadającą w stromą szczelinę, z której nie sposób było się wydostać. Obok, jakby wpisane w obraz wiszący na ścianie, tylko jedno słowo: „JA”. Kiedy Izabela Brodacka-Falzmann po raz pierwszy pokazała mi kalendarze męża i zerknąłem na ten rysunek, pomyślałem od razu: „Falzmann metaforycznie naszkicował własną śmierć”.

Każda strona w tym kalendarzu to jakby kolejne odcinki tej samej podróży na sankach ku przepaści. Zapis z 2 kwietnia 1991 r.: „FOZZ przekazywał na prywatne konta dolary Central Handlu Zagranicznego pod płaszczykiem skupu długu”. 3 kwietnia: „Nie istnieje statystyka i księgowość polskich długów. Odpowiedzialnymi [są] ludzie z Banku Handlowego, z NBP i Ministerstwa Finansów, stale przemieszczający się pomiędzy tymi instytucjami”.

21 kwietnia 1991 r. Michał Falzmann napisał, że „władza jest nadal w rękach KGB w Polsce”, zaś „dalsza praca [w Najwyższej Izbie Kontroli] to osobiste śmiertelne niebezpieczeństwo. Szans na sukces nie widzę żadnych”.

6 maja 1991 r.: „W pracy cały dzień przepisuję tajemnicę ekonomii współczesnego państwa”. 7 czerwca: „W NIK [Anatol] Lawina wymyśla mi od szczyli, główniarzy, bo dostał wezwanie podpisane przez kapitana z UOP w sprawie przecieku”.

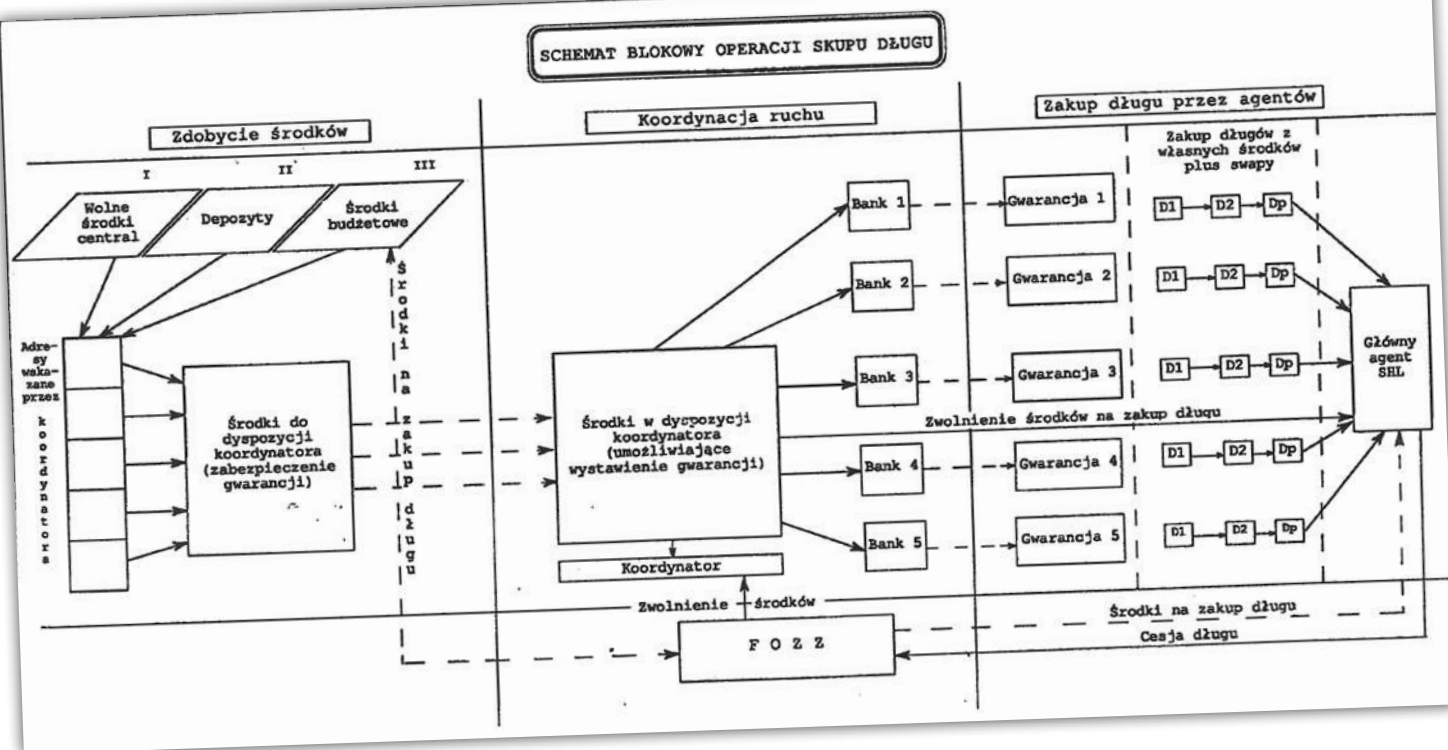
11 czerwca 1991 r.: „Z Lawiną u Pańki – prezesa NIK. Pańko boi się, chciałby sprawę załatwić politycznie. 14 czerwca: „O 17.00 u premiera Bieleckiego. [...] Balcerowicz odmawia udzielenia odpowiedzi na pytania. Bielecki mówi, abym kontynuował – wyjaśnić mam wszystko do końca”. 20 czerwca: „FOZZ to rosyjskie KGB/GRU”. 25 czerwca: „Dyrektor Lawina zabrał mi legitymację służbową, klucze od szafy, uprawnienia, bo mnie zawiesza”.

„Szans na sukces nie widzę żadnych”

z tej śmierci zrodziła się wola dojścia do prawdy, chęć ujawnienia wszystkich mechanizmów rabunku finansów publicznych Polski w okresie transformacji ustrojowej, jakieś poczucie sprawiedliwości wykraczające poza sądowy spektakl z lat 2006–2009 i kurczące się grono zaledwie kilku winnych, z Grzegorzem Żemkiem i Janiną Chim na czele. Fakty są zupełnie inne: po 30 latach prawie nikt nie wie, kim był Michał Falzmann, czym był Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, którego jawni i ukryci aktorzy cieszą się wolnością, operatorzy z tajnych służb (także wojskowych) nigdy nie byli indagowani w tej sprawie przez prokuraturę i sądy, a niektóre kluczowe archiwalia związane z tą aferą bez końca czekają na zdjęcie gryfów tajności! Po 30 latach nie chcemy nawet wyjaśnić okoliczności jego śmierci, mając dziś do dyspozycji kapitalne możliwości kry-

reżimu, ministrowie z legendą bohaterów walki z komuną „pałacy” śledztwa, strach przed podejmowaniem decyzji, groźby i obawa o swoje bezpieczeństwo, świadome „nienarażanie się” i oportunizm urzędniczy, zasłanianie się tajemnicą państwową, wygodnicka odmowa wiedzy i polityka „cieplej wody w kranie”, niechęć do wyjaśniania przestępstw i afer, trafne diagnozy bez jakichkolwiek konsekwencji...

A pośrodku tego wszystkiego on – Michał Falzmann, 38-letni warszawiak, główny specjalista w Zespole Analiz Systemowych Najwyższej Izby Kontroli, z doświadczeniem pracy w Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Techniki Instalacyjnej „Instal” i Izbie Skarbowej, gdzie już jesienią 1989 r. odkrył pierwsze nielegalne machinacje finansowe FOZZ. Szczupły pracoholik przesiadujący w pracy po 16 godzin,



Schemat spłaty długu na rynkach wtórnych przygotowany w NIK FOT. ZBIORY NIK

5 lipca 1991 r.: „Przesłuchuje mnie Antoszewicz w UOP. Sprawa Ds./115/9. Nie można wsadzić Żemka i Chimowej, bo nie ma wyliczenia strat”.

15 lipca był dla Falzmanna bardzo pracowity. Jeden z końcowych wpisów w kalendarzu z tego dnia: „Narodowy Bank Polski – główny księgowy nie posiada informacji o tym, że Bank Handlowy jest bankrutem”.

16 lipca 1991 r., ok. godz. 8.30, zapis: „NBP – telefon i długi śmiech: tow. Pańko przez Lawinę nakazuje przerwać pracę!”. To był bardzo ciężki dzień – pracy od rana do wieczora, telefonicznych pogróżek, huśtawki nastrojów związanych z sytuacją w NIK. Wtorek kończyło wieczorne spotkanie z poznanym niedawno Kornelam Morawieckim, podczas którego Falzmann gwałtownie źle się poczuł. Legendarny przywódca Solidarności Walczącej wiozł swoim autem Falzmann na pogotowie przy ul. Hożej i kilkakrotnie słyszał powtarzane zdania: „Bank Handlowy jest bankrutem co najmniej od 1969 r. Nie można pozwolić tego zatuszować”.

Falzmann miał rozległy zawał, był reanimowany i półprzytomny. Lekarz reanimujący usłyszał od niego słowa: „Liczę dni (za ciężkiej) samotności w tej walce”. Po rozmowie z Morawieckim najpewniej Izabela Brodacka-Falzmann dopisała w kalendarzu męża: „[Michał]

wie już, że z tego zawału żywy nie wyjdzie”.

Pod datą 16 lipca 1991 r. pojawia się przepisana treść pisma prezesa NIK Waleriana Pańki, która brzmiała jak wyrok: „Niniejszym potwierdzam ustne polecenie odsunięcia Pana Michała Falzmann od wszelkich czynności kontrolnych”.

Kartka w kalendarzu z 18 lipca 1991 r. jest czysta. Tego dnia, w czwartek ok. godz. 15 Michał Falzmann zmarł w szpitalu. Lekarze odmówili przeprowadzenia sekcji. Jedynie w drugim z kalendarzy Falzmann ktoś napisał: „Na 13 776 dzień życia”, dodając potem „śmierć”. I że ktoś dzwonił wstrząśnięty, pytając, co ma robić. „Już NIC, trzeba było zrobić przed miesiącem, dwoma!” – czytamy.

MODEL FALZMANNOWSKI

Michał Falzmann rozpoznał mechanizm transferu publicznych pieniędzy przeznaczonych na obsługę długu w prywatne ręce. Znam pełną dokumentację kontrolną Zespołu Analiz Systemowych NIK na temat FOZZ, znam jego prywatną spuściznę, cały gąszcz tysięcy stron tabel, wyliczeń i księgowych zestawień przepływów finansowych, masę dokumentów pozyskanych przez niego nieoficjalnie z Ministerstwa Finansów i Narodowego Banku Polskiego i mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że Falzmann wiedział za dużo, by mógł być

w okragłostołowej Polsce bezpieczny! Istotą jego wiedzy było rozkodowanie skomplikowanego modelu rabunkowego finansów Polski (przeprowadzonego za pomocą nieuczciwych umów kredytowych, fikcyjnych zakupów towarów i usług, fałszowania faktur, akredytyw i transferu środków, w tym nieewidencjonowanych, przez Bank Handlowy jako agencji zagranicznej NBP i bezpośrednio z FOZZ na Zachód w celu wykupu długu na rynkach wtórnych), opisanie krajowych i zagranicznych grup interesów oraz zlokalizowanie całej sieci beneficjentów w kraju i na świecie.

Swoją unikalną wiedzę ujmował w syntetyczne, kilkustronicowe numerowane notatki, tworząc przy tym ich bezpieczne kopie, zanim lądowały na biurku przełożonych w NIK. W jednej z nich – „W sprawie źródła utraty pieniędzy w wysokości około 46 mld USD przez społeczeństwo polskie w ramach tzw. zadłużenia zagranicznego” (z 11 kwietnia 1991 r.) – opisał to w ten sposób: „W latach 1939–1991 na terytorium Polski działają organizacje związane z finansowaniem wojska, służb specjalnych i gospodarki, która im służy. Wynikiem działania tych organizacji są następujące efekty: 1. Wielokrotne zapłacenie zaciągniętych długów w imieniu Polski; 2. Rozbicie statystyki państwa i statystyki finansów państwa; 3. Korupcja i kradzież

przy obsłudze wyżej wymienionej gospodarki”.

Grupy interesów zajmujące się drenażem finansów Polski Falzmann tak usystematyzował: „Pierwsza grupa to wysocy urzędnicy państwa z Ministerstwa Handlu Zagranicznego, Ministerstwa Finansów, Narodowego Banku Polskiego i pomocniczo z Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, technicznie decydujących o zawarciu obu typów transakcji: o kredyt i o dostawy. Ta grupa przechwytywała prawie wszystkie »korzyści« z transakcji poprzez zawłaszczenie nieewidencjonowanych sum w statystyce państwa. »Korzyści« te [...] prawdopodobnie były w 80 proc. konsumowane jeszcze przed zawarciem umów o transakcję (!). Druga grupa to decydenci z przedsiębiorstw, CHZ-ów i drugoplanowi decydenci z MHZ, MF i NBP, technicznie wykonujący oba typy transakcji. Często ich podpisy będą figurować na umowach o kredyt czy dostawy, ale tu skala zawłaszczonych sum prawdopodobnie mieści się w granicach marży pośrednika od 3 proc. do 20 proc. wartości transakcji. Trzecia grupa to pracownicy zachodnich przedsiębiorstw i banków, którzy otrzymali tzw. prowizję za pomyślnie załatwienie nieuczciwych transakcji. Czwarta grupa to banki i przedsiębiorstwa zachodnie, które otrzymały ok. 50 proc. »korzyści« z transakcji. Piąta grupa to podmioty gospodarczo-urzędnicze z obozu państw związanych z ZSRS i samego ZSRS, które trzeba traktować jako głównych kredytobiorców, kredytów zaciągniętych w ich interesie przez stronę polską, bez umów wymaganych prawem. Szósta grupa to polskie organizacje militarne, które były konsumentem wielu dóbr, usług i pieniądza”.

„Kradzież i marnotrawstwo dały między innymi ten efekt – pisał Falzmann – że dług polski wynosi na 1991.03.31 około 46 mld USD. Korzyści osiągnęły trzy grupy instytucji: a) w Polsce, b) w krajach Zachodu, c) w krajach związanych z ZSRR i w samym ZSRR. Równoległe z instytucjami korzyści osiągnęli pracownicy obsługujący te transakcje”.

OSKARŻONY BALCEROWICZ

Cały ten model Michał Falzmann rozpiął na rolę, wskazując konkretnych winowajców i zarządzane przez nich instytucje. I z tą oskarżycielską wiedzą razem z prezesem NIK Walerianem Pańką i dyrektorem Zespołu Analiz Systemowych NIK Anatolem Lawiną wyruszył

na przełomowe spotkanie z premierem Janem Krzysztofem Bieleckim i wicepremierem-ministrem finansów Leszkiem Balcerowiczem do Urzędu Rady Ministrów w dniu 14 czerwca 1991 r. Wywołany do głosu Falzmann zreferował ustalenia NIK, wykazując ukrywany przed rządem i opinią publiczną fakt bankructwa Banku Handlowego, który miał odpowiadać za obsługę długu zagranicznego Polski, a stał się faktycznie korupcyjną pompą finansową realizującą prywatne interesy. Kiedy pod koniec wystąpienia Falzmann zaczął kierować pytania w stronę Balcerowicza, ten miał się obruszyć, protestując przeciwko sformułowaniu „zagrabione dewizy”, twierdząc, że jest ono obraźliwe wobec Ministerstwa Finansów. Balcerowicz odmówił odpowiedzi na pytania, stojąc na stanowisku, że spotkanie miało mieć jedynie charakter informacyjny.

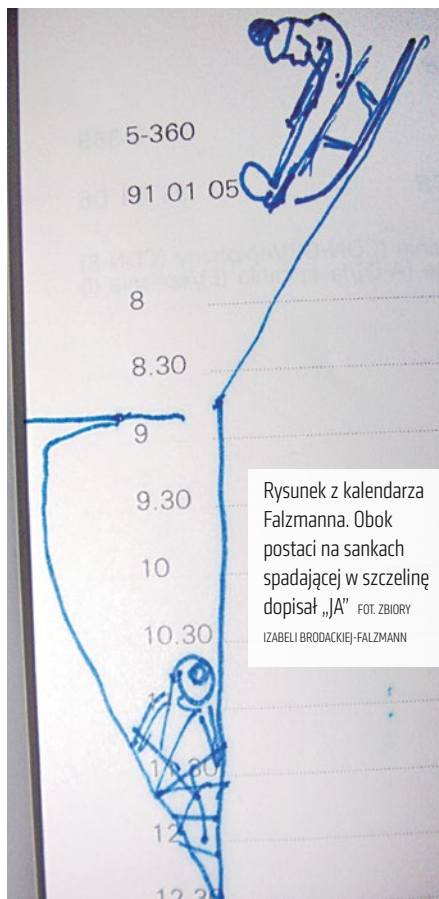
Sytuację ratował Lawina, który dzięki życzliwości Bieleckiego sformułował aż 17 zarzutów pod adresem Balcerowicza: od braku kontroli Ministerstwa Finansów „nad wypływem strumienia pieniędzy z kraju”, ukrywania dokumentacji przed

kontrolerami NIK, fałszowania danych finansowych państwa, parasola ochronnego nad FOZZ, poprzez opisanie roli wiceministra finansów Janusza Sawickiego w FOZZ i Banku Handlowym, „masowej wymianie rubli transferowych za granicę”, tajne operacje finansowe dokonywane przez pracowników NBP i Ministerstwa Finansów za granicą, aż do zarzutu transferowania i przechowywania środków finansowych przez Centrale Handlu Zagranicznego, udzielania „kredytów znajomym” przez FOZZ, który w dodatku stał się „prywatną kasą Ministerstwa Finansów dla Animexu, Rolimpexu i innych”, i końcowego wniosku o „braku bezpieczeństwa finansowego państwa”!

KONIEC!

Narada u premiera RP stała się przełomem, po którym historia Michała Falzmanna nabrała tempa. Najpierw prezes Walerian Pańko próbował wypaczyć protokół ze spotkania w Urzędzie Rady Ministrów, przygotowany przez pracownika NIK Jerzego Zbiegniewskiego, uznając, że „nie odzwierciedla [on] w pełni rzeczywistego przebiegu narady”. Następnie, dowiedziawszy się o publikacji tekstu Waldemara Koczewskiego „Wielki bałagan w wielkich pieniądzach” w „Gazecie Robotniczej” (14 czerwca 1991 r.), gdzie pojawiło się nazwisko Falzmann, Anatol Lawina zawiesił w czynnościach kontrolnych swojego podwładnego, zaś prezes Pańko powołał wewnętrzną komisję do „zbadań i wyjaśnienia kwalifikacji prawnej postępowania Pana M. Falzmann”. 15 lipca Lawina zmienił zdanie i przywrócił Falzmann w czynnościach kontrolnych w NBP. Pańko protestował, uznając, że Falzmann przekazał prasie dokumenty kontrolne FOZZ.

Jednocześnie w czerwcu i lipcu 1991 r. nasilały się działania zastraszające i dezintegracyjne realizowane przez „nieznanych sprawców” wobec Falzmann i NIK. Anonimy, pogrożki telefoniczne, a nawet włamania do mieszkania Falzmannów (uszkodzono elektrykę), nocne otwarcia biurk i szaf pancernych kontrolerów NIK (w tym zaginięcie dokumentów kontrolnych) stały się niemal codziennością. 18 lipca 1991 r. minister sprawiedliwości i prokurator generalny Wiesław Chrzanowski zaofiarował wicepremierowi Leszkowi Balcerowiczowi wgląd we „wszystkie operacje finansowe FOZZ w latach 1989–1990”, prosząc go o zgodę na powołanie zespołu specjalistów i delegowanie do niego ekspertów z dziedziny „księgowości, bankowości,





■ finansów i międzynarodowego obrotu walutowego”. Innymi słowy, Chrzanowski „palił” w ten sposób wszystkie ustalenia kontrolerów NIK (w tym Falzmann), a częściowo także prokuratury i UOP, wskazując właśnie na Ministerstwo Finansów jako na głównego odpowiedzialnego za utratę państwowych funduszy przeznaczonych na obsługę długu za granicą. Do rangi symbolu urasta to, że wszystko działo się 18 lipca 1991 r., czyli w dniu, kiedy ok. godz. 15 umierał Michał Falzmann.

KRAJOBRAZ PO ŚMIERCI

Śmierć Michała Falzmann wyzwołała niezwykle emocje w NIK. Z wewnętrznej dokumentacji Izby wyłania się obraz klęski, wewnętrznych konfliktów i strachu. Targany emocjami i wyrzutami sumienia Anatol Lawina już dzień po śmierci Falzmann zwrócił się do kierownictwa NIK nie tylko z postulatem przyznania stypendiów i zapomogi dla osieroconych dzieci Michała Falzmann, lecz także z wnioskiem o „komisyjne zbadanie okoliczności śmierci” pod kątem „możliwości zaistnienia okoliczności wypadku przy pracy bądź w związku z pracą”. A już 23 lipca 1991 r. Lawina oskarżył Pańkę o blokowanie kontroli NIK w FOZZ celem „opóźnienia działań zmierzających do pociągnięcia odpowiedzialności winnych nadużyć oraz odpowiedzialnych z tytułu nadzoru ministrów Janusza Sawickiego i Wojciecha Misiąga”.

Lawina pisał: „Pańskie ataki na głównego specjalistę kp. w Zespole Analiz Systemowych Michała Falzmann są związane z interesami grupy politycznej bliżej mi nieznaney, a nie dobrem Najwyższej Izby Kontroli”. Dzień później sporządził „Opinię dotyczącą stanowiska ministra

sprawiedliwości W. Chrzanowskiego w sprawie Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego skierowanego do Wiceprezesa Rady Ministrów L. Balcerowicza”, pisząc, że „prokuratura wraz z Ministerstwem Finansów współdziała, moim zdaniem, w zatuszowaniu afery związanej z FOZZ. Bo jak inaczej traktować przekazanie działań związanych z dochodzeniem osobom odpowiedzialnym za nieprawidłowości FOZZ? Wokół FOZZ uruchomiła się koalicja, broniąca Ministra [Janusza] Sawickiego, który był Przewodniczącym Rady Nadzorczej FOZZ, Przewodniczącym Rady Nadzorczej Banku Handlowego, Przewodniczącym Rady Nadzorczej TUR »Warta«, Członkiem Rady Banku Handlowego w Luxemburgu, Gubernatorem MIGA, Pełnomocnikiem Rządu do spraw Zadłużenia Zagranicznego. A więc w ten sposób Minister J. Sawicki skupił w swoich rękach wszystkie nici dotyczące transferu środków pieniężnych z Polski i do Polski, nadzoru nad bankami oraz kontroluje negocjacje z wierzycielami Skarbu Państwa RP i z tytułu swoich obowiązków odpowiada za nieprawidłowości w Banku Handlowym, PKO S.A., Banku Handlowym w Luxemburgu. Koalicja broniąca Ministra J. Sawickiego uruchomiła szeroką kampanię prasową wokół stwierdzenia, że ujawnienie nadużyć, dokonanych przez FOZZ, narusza interes Skarbu Państwa RP. Głównym obrońcą Ministra J. Sawickiego jest Premier Balcerowicz, a ostatnio dołączył do Niego Profesor B[ronisław] Geremek, który zorganizował konferencję prasową wybielającą członków Rady Nadzorczej FOZZ, minimalizując straty Skarbu Państwa, powstałe w wyniku działania FOZZ, i stwarzając wrażenie, że sprawa FOZZ

jest sprawą rozgrywek politycznych, a nie rzeczywistych nadużyć. Stoję na stanowisku, że Prezes NIK prof. dr hab. W[alerian] Pańko w sytuacji zaistnienia działań dążących do zminimalizowania odpowiedzialności za FOZZ, opóźniając przekazanie protokołu z kontroli, z nieznanymi mi powodów naraża NIK na zarzut świadomego współdziałania w zatajeniu lub zatuszowaniu sprawy FOZZ”.

EPILOG

5 sierpnia 1991 r. Anatol Lawina przełał na papier swoje wspomnienie o Michale Falzmannie, kierując je do pracowników NIK. Mimo wszystkich wcześniejszych konfliktów i niesprawiedliwych wobec Falzmann zachowań Lawina przyznał odważnie, że „jego śmierć miała związek z wykonywaną pracą”! To nie wszystko. Lawina wyjawiał też, że Falzmann stał się w swojej ojczyźnie persona non grata i wrogiem elit: „Ilość skarg na Michała Falzmann, jakie przysyłał prezes Banku Handlowego Cezary Stypułkowski oraz inne Osobistości, przekraczała ludzkie wyobrażenie”. I mając świadomość nagonki, miał poczucie walki z czasem: „On się bardzo spieszył, tak jakby przeczuwał, że nie zdąży. A z im większymi osobistościami się spotykał, tym bardziej cierpiał”.

I słowa, które brzmią jak przestroga dla nas dziś: „Jako Jego przełożony czuję się winny, że nie udało mi się przekonać Go, że wojny nie prowadzi się w samotności oraz że nie jest osamotniony. Nie udało mi się zapewnić Mu bezpiecznych i spokojnych warunków pracy. [...] Winni mogą być wszyscy ci, których proste prawdy Michała Falzmann paraliżowały tak, że nie chcieli lub bali się podjęcia decyzji, które doprowadziłyby do wyjaśnienia i uporządkowania sprawy zadłużenia. [...] Winę na siebie powinni wzięć wszyscy ci dziennikarze, którzy przez niechlujstwo lub lizusostwo brali udział w dezinformowaniu społeczeństwa w sprawie FOZZ, przekręcając słowa, fakty, liczby, którzy nie mają szacunku dla słowa i zapominają, że słowo może ważyć tyle, co życie innego człowieka”.

Wreszcie zdanie ostatnie: „Z tego, co wiem, Michał T. Falzmann nie chciał być męczennikiem, chciał tylko wyjaśnić sprawę zadłużenia zagranicznego Skarbu Państwa. To jesteśmy winni Jego dzieciom”.

No właśnie...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor przygotowuje monografię afery FOZZ.

Il. wg: Henryk Uziembło (1879-1949), III Wystawa Stowarzyszenia Artystów Polskich, Salon 906; 1906, litografia, papier / lithography, paper; zakład litograficzny: Pruszyński Aureliusz-wł.: Muzeum Narodowe w Krakowie



mnk
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

2.07.2021
2.01.2022



SERIA WYSTAW
4 × NOWOCZESNOŚĆ
SERIES OF EXHIBITIONS 4 × MODERNITY

POLSKIE STYLE NARODOWE POLISH NATIONAL STYLES 1890-1918

Muzeum Narodowe w Krakowie **GMACH GŁÓWNY** The National Museum in Krakow **THE MAIN BUILDING** al. 3 Maja 1

Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

Dofinansowane ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Miejsce: Muzeum Narodowe w Krakowie

Partner Strategiczny Muzeum Narodowego w Krakowie

Partner promocyjny



kbf:



eprasa.pl 7990c306df

Tusk

– wystarczy być?



Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk wrócił do Polski, ale sprawia wrażenie, jakby sam o tym, że musi wrócić, dowiedział się niedawno. Tym bardziej warto się zastanowić, dlaczego wrócił

Mniej uważnym może się wydawać, że o powrocie Tuska do polskiej polityki powiedziano już wszystko. Jednak większość komentatorów omija kluczowe związane z nim tajemnice. Po pierwsze, dlaczego po latach próśb i namawiania w ogóle zdecydował się wrócić? Po drugie, dlaczego zdecydował się na to właśnie teraz, skoro

każda z wcześniejszych okazji, których wykorzystać nie chciał, była bardziej sprzyjająca? Po trzecie wreszcie, dlaczego, skoro tak długo się do tego powrotu przymierzali i on, i Platforma Obywatelska, tyle w tym improwizacji, widocznego braku planu i komunikacyjnego chaosu?

BEZ PRZESŁANIA

Zacznijmy od sprawy ostatniej. PO, zamiast uczynić z powrotu Tuska jego niezmaconą żadnymi sporami apoteozę, pozwoliła w znacznym stopniu przykryć wydarzenie w poprzedzających dniach informacjami o wewnętrznych sporach: a to, że Budka nie chce ustąpić stanowiska, a to, że on chce, ale nie chce Trzaskowski albo że Trzaskowski nie został przez Budkę poinformowany o planowanych negocjacjach... Znacznie zmniejszyło to oczekiwaną przez PO sondażową premię

za odzyskanie silnego przywództwa. Budka i Trzaskowski wielokrotnie dawali dowody politycznej nieporadności, ale Tusk ze swoim doświadczeniem powinien tę sytuację przewidzieć i zapobiec jej – co przecież nie było trudne, wystarczyło wcześniej ściągnąć obu na dyskretne konsultacje do Brukseli.

Tusk nie tylko nie spacyfikował wcześniej partyjnej opozycji, lecz także próbę sił trzeba było przeprowadzać dopiero na sobotniej Radzie Krajowej. Przyjechał bez wyraźnego politycznego przesłania. Mowa, którą wygłosił na wspomnianej radzie, była nudnym recyklingiem hasła mielonych przez polityków PO i ich medialnych żołnierzy od roku 2015 – parafrazując stare hasło wyborcze Tuska: „Nie róbmy polityki, zwalczajmy ZŁO, czyli PiS”. Wszystkie te wysiłki, mające Polaków przekonać, że walka z PiS to



FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONIEWS/FORUM

Aleksandrowi Kwaśniewskiemu Jacques Séguéla: polityka „kochającego ludzi” i troszczącego się, by im nie zabrakło „ciepłej wody”, a do przeciwników nieustannie wyciągającego rękę. Prosty chwyt, wobec którego bracia Kaczyńscy byli przez wiele lat bezradni, polegał na tym, że tę rękę wyciągał do nich demonstracyjnie nad stołem, a jednocześnie pod stołem boleśnie kopał ich po kostkach, sprowokowane w ten sposób reakcje przedstawiając publiczności jako dowód, że to nie on jest w tym sporze agresorem.

Ta sztuczka wymagała jednak posiadania jakiegoś Palikota lub Niesiołowskiego, który odwał brudną robotę, pozwalając samemu Tuskowi grać świętoszka. Teraz, w ciągu kilku dni po swym powrocie, Tusk sam wielokrotnie prezentował agresję, nie tylko wobec PiS, lecz także wobec „symetrystów”, a szczególnie pracowników państwowych mediów.

IMPROWIZACJA Z BŁĘDAMI

Atakowanie tych ostatnich dobrze się sprzedaje w żelaznym elektoracie PO, w „opozycji ulicznej”, agresja wobec kamer i dziennikarzy TVP, niedwuznacznie inspirowana przez głównego mówcę, była stałym elementem wieców wyborczych Rafała Trzaskowskiego. Ale poza tym wąskim kręgiem walka z TVP chyba słabo się sprzedaje, skoro w zamiśle spektakularna akcja PO, jaką miało być zbieranie podpisów pod projektem likwidacji TVP (a potem już tylko TVP Info), trwa już prawie od pół roku i najwyraźniej nie daje wyników, którymi warto by się chwalić.

Obraz Tuska wdającego się w połączanki z pracownikami TVP, a tym bardziej kłócącego się z pobitą przez jego zwolenników na wiecu kobietą, że „to ona zaczęła”, delikatnie mówiąc, nie pomagają mu odebrać fanów Hołowni, który w międzyczasie przejął sporo z dawnego nieagresywnego wizerunku Tuska. Komentatorzy chcą widzieć w tym „polaryzacyjną” strategię mobilizowania żelaznych elektoratów, ale takie zachowania zakrawają raczej na błędy, wynikające z nieprzygotowanej improwizacji. Zwłaszcza że Tusk popełnia takich błędów więcej, np. dając się przyłapywać na prostych kłamstwach, zaskakuje wszystkich oczywistą nieprawdą o przygotowywaniu przez rząd Ewy Kopacz programu analogicznego do „500+”. Oczywistym strzałem w stopę, godnym

Trzaskowskiego, jest też ogłoszenie natychmiast po powrocie, że jedzie na urlop, bo obiecał to wnukom – jakby nie miał czasu na urlopowanie wcześniej! Nieprzygotowanie powrotu widać nawet w takich drobiazgach, jak ustawienie Tuska na tle partyjnego logo w taki sposób, że na zdjęciu, które obiegło Internet, przypada mu ono diabelskie różki.

Politycy PO wypuścili do mediów przeciek, że Tusk wyznaczając twardą linię, kieruje się „wewnętrznym sondażem”, zgodnie z którym „żelazny elektorat” tej partii wynosi aż 28 proc. aktywnych politycznie Polaków. Może taki sondaż rzeczywiście istnieje, a może został na poczekaniu zmyślony, by nadać działaniom Tuska pozór planowości. Jeśli istnieje, to pozostaje w sprzeczności z wieloma znanymi od dawna badaniami, które wykazywały, że ponad połowa głosujących na PO nie czuje się do niej przywiązana, popiera po prostu „największą partię opozycji przeciwko PiS”. Jeśli celem Tuska jest przede wszystkim przywrócenie PO takiego wizerunku, to zamiast na pyskówkach z dziennikarzami TVP Info powinien się skupiać na przekonywaniu, że partia pod jego kierownictwem będzie w stanie z obecną władzą wygrać. A wygrać, w oczach wyborcy, ma szansę partia „poważna”. Taka, która nie skupia się wyłącznie na opowiadaniu o „konieczności odsunięcia PiS od władzy”, ale daje nadzieję, że sama tę władzę będzie umiała objąć i że wie, po co jej chce.

W obu tych obszarach Tusk nie pokazał niczego. Kopiuje nie tylko retorykę Schetyny i Budki, emocjonalnie antypisowską, sekiarską i poniżającą dla wyborców, którzy kilkakrotnie głosowali na Zjednoczoną Prawicę i jej prezydenta. Kopiuje także ich polityczne rozpoznanie, że drogą do zwycięstwa jest „połączenie sił całej opozycji”. A to rozpoznanie jest oczywistą bzdurą i praprzyczyną wszystkich klęsk ostatnich sześciu lat. Po pierwsze, całej opozycji nie da się zjednoczyć – poza zasięgiem takich inicjatyw pozostaje nie tylko z wolna rosnąca i ocierająca się już o 10 proc. poparcia Konfederacja, lecz także lewica, zdominowana przez hasła antyliberalne i skrajne rewindykacje obyczajowe. Nawet jeśli uda się spacyfikować Czarastego i Zandberga, to pojawi się inna radykalna grupa, która w ostatniej chwili odbierze „zjednoczonemu antypisowi” kilka procent, tak jak w wyborach europejskich zrobił to Biedroń.

obowiązek moralny każdego dobrego człowieka, że idzie tu o demokrację, praworządność i członkostwo w Unii Europejskiej, w obliczu których to spraw nie znaczą poziom życia Polaków, stan służby zdrowia czy inne kwestie przyziemne, dały jak dotąd taki efekt, że duża część elektoratu niechętnego obecnej władzy zniechęciła się także do PO i zaczęła deklarować poparcie dla Hołowni. Jeśli, jak twierdzi większość komentatorów, celem Tuska jest ich odzyskanie, to powtarzanie słowo w słowo, tylko jeszcze mocniej, tego samego, co mówili Schetyna, Budka czy Trzaskowski, niespecjalnie tu rokuje.

Tusk zakładał już wiele masek, największe jednak sukcesy odnosił wtedy, kiedy uwodził masy wizerunkiem nieco podobnym do tego, jaki w kontrze do „awanturnego” Wałęsy wymyślił kiedyś

■ Po drugie, mit „połączenia sił opozycji” jest dziełem ludzi, którzy zwyczajnie nie potrafią czytać ze zrozumieniem badań opinii publicznej. Czytane ze zrozumieniem, podobnie jak wyniki kilku ostatnich wyborów, pokazują one, że aby przejąć władzę, opozycja musi odebrać Zjednoczonej Prawicy co najmniej milion wyborców. I to powinien być dla Tuska punkt wyjścia podczas przygotowywania planu powrotu. Miał na to dwa lata, odkąd przestał pełnić funkcję szefa Rady Europejskiej (albo i więcej, bo nie pochłaniała mu ona przecież całego czasu i energii). I przez cały ten czas nie wymyślił więcej niż parę bon motów w rodzaju tego, że „rządy PiS to trzy D”?

DLACZEGO?

Może więc jednak mieli rację ci, którzy, jak niżej podpisany, twierdzili przez cały ten czas, że Tusk o powrocie ani myśli? Fakt, jednak wrócił, ale sprawia wrażenie, jakby sam o tym, że musi wrócić, dowiedział się niedawno. Wraca pytanie zadane już na początku: Dlaczego teraz? Dlaczego odmówił kandydowania w wyborach prezydenckich, niedwuznacznie wskazując na Trzaskowskiego, dlaczego nie chciał być szefem całej lewicowo-liberalnej opozycji, gdy było to możliwe, a teraz zgodził się być szefem podupadłej PO i rywalizować z Hołownią?

Zapewne prawdą jest, jak twierdzą niektórzy, że Tusk nie miał już na Zachodzie żadnej politycznej przyszłości. Jednak mógł ubiegać się o jedną z wielu unijnych synekur, które stworzono tam dla podobnych mu byłych wysokich urzędników. Czy może właśnie ci, którzy tymi synekurami dysponują, poinformowali go, że jeśli nie podejmie się „przwrocenia Polski Unii Europejskiej”, to na żadną z nich liczyć nie może?

Nie ma tu „twardych danych”, ale jest kilka przesłanek. Dziwnym trafem, zmiana stanowiska Tuska zbiegła się z doniesieniami niemieckich mediów o „utracie cierpliwości do Polski” przez Angelę Merkel. Te z kolei wydają się częścią wielkiej ofensywy eurokracji, która zamęt czasu epidemii usiłuje wykorzystać do nadania instytucjom wspólnotowym, prawem kaduka, kompetencji federalnego państwa europejskiego. W tych planach „nacjonalistyczno-konserwatywne” Polska i Węgry są pierwszą przeszkodą, którą trzeba usunąć z drogi. W tym kontekście nie dziwi, że powrót Tuska do PO był pierwszą wiadomością

Agresywna retoryka Tuska dla PiS nie jest problemem, bo każdy atak mobilizuje tak samo elektoraty atakującego, jak atakowanego

dzienników niemieckiej telewizji publicznej, choć nigdy jeszcze nie zdarzyło się w niej, żeby „newsowi” o zmianie lidera partii opozycyjnej w innym kraju nadano aż taką rangę.

Łatwo też zauważyć, że – poza argumentami z dziedziny „moralistyki towarzyszącej” – praktycznie jedynym wyrazistym przekazem przywracanej przez Tuska manichejskiej polaryzacji jest podział na pro- i antyeuropejskość. Jeśli odcedzić jego wypowiedzi z pierwszych dni po powrocie z retoryki dobra i zła, to pozostaje tylko tyle: przez PiS wyrzucą nas z Unii Europejskiej, a ja mam tam wpływy i będę gwarantem, że znowu nas zaczną dopieszczać.

Tutaj również kłania się problem z rozumieniem sondaży. Wykazują one duże przywiązanie Polaków do członkostwa w Unii, ale mieszają w jednym słoju dwa zupełnie różne rodzaje „euroentuzjazmu”. Ten właściwy lewicowo-liberalnym elitom, dla których Unia jest siłą narzucającą ciemnej, katolickiej Polsce LGBT, gender i aborcję, jest raczej niszowy i zupełnie różny od tego ludowego, w którym unia jest dobra tylko wtedy, kiedy ją doimy. Tusk wygrywał Unią, gdy obiecywał załatwić w niej 300 mld zł, ale już gdy Kopacz nie zaprotestowała przeciwko wtykaniu nam przez nią imigrantów, PO na swej „proeuropejskości” przegrała.

PRZECIWNIK DOSKONAŁY

Fakt, że państwowa telewizja skupiła natychmiast na Tusku ciężki ostrzał, tylko znękanemu sześćioletnim pasmem klęsk frustracji mogą interpretować jako dowód, że PiS się go „boi”. Przeciwnie – to znak, że PiS widzi w Tusku doskonałego ze swego punktu widzenia przeciwnika. Nie tylko dlatego, że może go okładać zarówno starymi sprawkami, jak i nowymi śledztwami, na czele ze sprawą Sławomira Nowaka, oraz wrócić do starego podziału na „zwykłych Polaków” i gardzące nimi lewicowo-liberalne „tęże-elity”. Także w sporze o Europę Tusk jest dla Kaczyń-

skiego wymarzoną prezentem.

Jakkolwiek by się bowiem starała Konfederacja – a to jest prawdziwy kłopot prezesa PiS, nie sekciarska liberalna lewica – to Tusk będzie zawsze bardziej kojarzył się z bezwzględnością uległością wobec Berlina i Brukseli niż Morawiecki i Kaczyński, choćby ci ostatni jeszcze wielokrotnie połączyli tromtadracką retorykę polskiej suwerenności z faktycznymi kapitulacjami.

Jeśli powrót Tuska faktycznie postanowiony został ponad jego głową, gdzieś w Berlinie lub Brukseli, to w najbliższym czasie spodziewać się możemy przykreć nam przez Unię śruby: kolejnych wyroków, rezolucji i eurodyrektyw, a być może i kar finansowych, nie tylko za „naruszanie praworządności”, lecz także za niezgodę na „małżeństwa” homoseksualne czy aborcję. Projektodawcy operacji „powrót Tuska” są zapewne przekonani, że strasząc Polskę obcinaniem za PiS-owskie nieposłuszeństwo funduszy, wyrąbią byłemu szefowi Rady Europejskiej ścieżkę szybkiego powrotu do władzy. I to by tłumaczyło, dlaczego Tusk nie dostrzegł potrzeby zbudowania na okoliczność swego powrotu żadnej nowej narracji – zostanie ona de facto napisana niebawem przez Komisję Europejską i TSUE.

W PiS jednak patrzą na to inaczej: z przekonaniem, że jawny atak instytucji unijnych na polską suwerenność podniesie popularność jej obrońców (którą to rolę zamierza zmonopolizować PiS), a nie stronnictwa ugodowego. Agresywna retoryka Tuska też dla PiS nie jest problemem, bo doświadczenie uczy, że każdy atak mobilizuje co najmniej w tym samym stopniu elektoraty zarówno atakującego, jak i atakowanego. Potwierdzają to zresztą pierwsze sondaże: PO odbiera w nich kilka procent elektoratu Hołowni, na notowania PiS zaś zmiana lidera tej pierwszej nie ma żadnego wpływu.

Dlatego Kaczyński na razie jawnie lekceważy Tuska, w swym przemówieniu na kongresie partii w ogóle się do niego nie odniósł, a pytany przez dziennikarzy, odpowiadał zdawkowo. Taki Tusk, jakiego zobaczyliśmy w ostatnich dniach, jest jak najbardziej po jego myśli.

Mówiąc krótko: z powrotu Tuska cieszą się zarówno jego zwolennicy, jak i przeciwnicy. Jedni i drudzy uważają, że dzięki niemu wygra. Jedna strona musi się oczywiście głęboko mylić – ale która, w tej chwili możemy się tylko zgadywać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jakub Chelstowski, marszałek województwa śląskiego

W odpowiednim momencie podaliśmy tlen śląskiej gospodarce

Nie oglądaliśmy się za siebie. Naszym zadaniem nie jest polityka życzeniowa, tylko realne działania, to z nich będziemy rozliczani. Mimo pandemii konsumpcja nie spadła, a bezrobocie należy do najniższych w kraju, wzrosła liczba firm, a my nie rezygnowaliśmy z inwestycji

W życiu nie zawsze warto oglądać się za siebie, domyślam się, że w polityce bywa podobnie. Na początku ubiegłego roku rozmawialibyśmy o innych wątkach, ale ostatnie miesiące wymusiły zmianę w myśleniu.

To prawda, zmianę w myśleniu i w działaniu. To był intensywny okres, zmieniliśmy priorytety i skupiliśmy się na ochronie zdrowia i życia mieszkańców. Zareagowaliśmy błyskawicznie, jako jeden z pierwszych regionów w Unii Europejskiej dokonaliśmy zmian w RPO, by zapewnić wsparcie dla służby zdrowia i firm z regionu. Uruchomiliśmy Śląski Pakiet dla Gospodarki o wartości 1,4 mld zł, by wesprzeć przedsiębiorców, wynegocjowaliśmy 123 mln zł na walkę z pandemią i doposażyliśmy szpitale w sprzęt. Podaliśmy tlen śląskiej gospodarce, walcząc o miejsca pracy i wspierając przedsiębiorców w trudnym czasie.

Zadziałaliście szybko i skutecznie, nie zabrakło miejsc w szpitalach ani niezbędnego wsparcia. Obserwując dane z rynku pracy, wydaje

się, że pandemia was nie złamała. To dobry prognostyk.

We współpracy z Komisją Europejską i stroną rządową przygotowaliśmy największy w Polsce regionalny program pomocy gospodarce o wartości 1,4 mld zł. Zrobiliśmy to, co powinien zrobić odpowiedzialny samorząd – nie spanikowaliśmy, tylko zakasaliśmy rękawy i wzięliśmy się do roboty, jak mówi się u nas, na Śląsku. Te działania pozwoliły przetrwać wielu firmom i – co najważniejsze – zachować miejsca pracy. Z raportu Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach wynika, że mimo pandemii konsumpcja nie spadła, a bezrobocie należy do najniższych w kraju, wzrosła za to liczba firm, a my nie zrezygnowaliśmy z inwestycji. Wierzmy w naszych przedsiębiorców, ich innowacyjność, kreatywność, to, z czego od lat słynie region. Wsparliśmy gminy, które utrzymują się z turystyki, trafi do nich 87,5 mln zł. Przed nami długa droga, ale zrobimy wszystko, by ograniczyć straty i zbudować

wał trwałe fundamenty pod gospodarczą przyszłość.

Te działania odbiły się szerokim echem także w Europie, czego dowodem jest przyznanie regionowi tytułu „Europejskiego Regionu Przedsiębiorczości”. Ta nagroda to potwierdzenie, że obraliście właściwy kurs czy motywacja do dalszej pracy?

Myślę, że jedno i drugie. Śląskie zostało wyróżnione za najlepszą strategię w zakresie wspierania przedsiębiorczości w czasie walki z pandemią. Nie oglądaliśmy się za siebie, skupiamy się na przyszłości. Przed nami proces transformacji, chcemy zdefiniować region na nowo w oparciu o innowacje, nowe technologie. Naszym celem jest poprawa jakości życia, dziś to nie tylko atrakcyjne miejsca pracy, ale komfortowy i ekologiczny transport, dobra jakość powietrza i środowiska, bogata oferta edukacyjna i kulturalna. Nie zapominamy o korzeniach, kultywując pamięć o bohaterach Powstań Śląskich w stulecie tych wydarzeń. To wyróżnienie jest inspiracją do odważnych projektów i szansą na promocję. Mamy rekordowy budżet, zaplanowaliśmy prawie 2 mld zł wydatków, na inwestycje przeznaczymy ponad 775 mln zł w trosce o zrównoważony rozwój. Nowa perspektywa unijna otwiera przed nami wiele możliwości, a planowane środki finansowe w wysokości blisko 4,4 mld zł to szansa, by odważnie spojrzeć na przyszłość.

Przyszłość, nie tylko w ujęciu regionalnym, ale także w kontekście wspólnej Europy, to główny temat planowanego na październik Europejskiego Forum Przyszłości, które odbędzie się na Stadionie Śląskim. Skąd ten pomysł?

Z potrzeby dyskusji, z chęci uczenia się i z troski o wspólną przyszłość. Myślę, że po ostatnich doświadczeniach to słowo jest odmieniane przez wszystkie przypadki w całej Europie. Przed nami szereg wyzwań, które zdefiniują nasze miejsce w zmieniającej się rzeczywistości. Decyzja dotycząca likwidacji górnictwa sprawia, że stoimy przed koniecznością zmiany profilu gospodarczego. Chcemy, by Śląsk był jednym z liderów zmian, ale nie mamy monopolu na wiedzę i korzystamy z doświadczeń innych regionów. Forum ma być przestrzenią dyskusji w gronie ekspertów ze świata biznesu i nauki. Wsluchujemy się w głos młodych ludzi, chcemy dać im szansę, by rozwinęły skrzydła. Zapraszam do udziału w forum, które odbędzie się w dniach 6–8 października 2021 r. na Stadionie Śląskim.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PiS nagle zmienił zdanie i zdecydował się poprzeć prof. Marcina Wiąckę (na zdjęciu), kandydata na RPO zgłoszonego przez PSL i popieranego przez prawie całą opozycję

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Kandydat kompromisu



Kamila Baranowska

Niespodziewany zwrot akcji w wyborze rzecznika praw obywatelskich. Kandydat popierany od początku przez opozycję nagle zyskał także wsparcie PiS. Kim jest prof. Marcin Wiącek?

Wybór nowego rzecznika praw obywatelskich od miesiący przypomina kpijską komedię, która po drugim czy trzecim odcinku przestała śmieszyć, a zaczęła coraz bardziej żenować. Kadencja Adama Bodnara zakończyła się 9 września ubiegłego roku. Przez 10 miesięcy partia rządząca nie była w stanie znaleźć kandydata, który zostałby zaakceptowany przez Sejm i Senat, w którym większość ma opozycja. Nie udało się zrobić rzecznikiem Piotra Wawrzyka,

wiceministra spraw zagranicznych, ani posła Bartłomieja Wróblewskiego, a ostatnio nie wyszło także z senator niezależną Lidią Staroń. Jeszcze wcześniej PiS konsekwentnie blokował kandydatkę opozycji Zuzannę Rudzińską-Bluszcz.

Pat trwał, aż PiS nagle zmienił zdanie i zdecydował się poprzeć prof. Marcina Wiąckę, kandydata zgłoszonego przez PSL i popieranego przez prawie całą opozycję – od Porozumienia Jarosława Gowina, przez PSL, Koalicję Obywatelską, ruch Szymona Hołowni do Lewicy. Profesor Wiącek już raz przepadł w sejmowym głosowaniu, kiedy jego kontrkandydatką była popierana przez PiS Lidia Staroń. Było to raptem trzy tygodnie temu. Dlaczego teraz PiS nagle postanowił Wiąckę poprzeć (w czwartek Sejm przegłosował jego kandydaturę)?

– Złożyliśmy właśnie podpisy pod kandydaturą naszego kandydata na Rzecznika Praw Obywatelskich i to jest ten sam kandydat, którego zgłasza PSL – poinformował Ryszard Terlecki, szef klubu PiS, nazywając już prof. Wiąckę „naszym kandydatem”. – Po przegranej z panią Staroń powiedział, że takie są re-

guły demokracji. Uznajemy, że zachował się z klasą. Liczymy, że będzie jakiś wi-
ceprzewodniczący, który będzie jeszcze bliższy nam niż prof. Wiącek – dodał.

KONIEC PRZEDSTAWIENIA

Na politycznym rynku jest cała masa teorii tłumaczących, dlaczego PiS postanowił odpuścić w sprawie RPO. Ta najbardziej prawdopodobna i zarazem najmniej efektowna sprowadza się do tego, że po prostu partia rządząca chciała zamknąć jeden z otwartych frontów i mieć względny spokój chociaż na tym odcinku. Przedłużająca się niemoc przy wyborze nie świadczyła ani o sile, ani o sprawczości partii rządzącej.

– Jeszcze chwilę temu w PiS wierzyli, że przekupią kogoś w Senacie i uda się wybrać Staroń. Teraz widzą, że mają na to małe szanse – mówi nam jeden z polityków, dobrze zorientowany w sprawie wyboru RPO. – Najbardziej jednak od początku liczyli na Wróblewskiego. I że nawet jeśli Senat go odrzuci, co się przecież stało, to poczekają jeszcze trochę i zrobią go ostatecznie p.o. rzecznikiem. Teraz jednak uznali, że im się to nie opłaca – tłumaczy.

Nie opłacać się może choćby dlatego, że 15 lipca wygasa mandat Adama Bodnara, który z powodu braku wyboru swojego następcy nadal pełni obowiązki rzecznika. Posłowie PiS zaskarżyli do Trybunału Konstytucyjnego przepisy ustawy o RPO, na podstawie których rzecznik może pełnić swoje obowiązki po upływie kadencji aż do czasu wyboru swojego następcy. Trybunał uznał ten przepis za niezgodny z konstytucją, wydał orzeczenie 15 kwietnia i wyznaczył trzy miesiące na jego wejście w życie. Stąd być może pośpiech PiS. – Wszyscy mieli już powyżej uszu tego spektaklu, który dla wszystkich parlamentarzystów był upokarzający, bo pokazywał nas jako tych, którzy w żadnej sprawie nie potrafią się dogadać – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL. Dodaje też, że gdyby do 15 lipca nie udało się wyłonić nowego RPO, to pojawiłyby się duży problem prawny, a próby powołania komisarza na to stanowisko (pojawiały się takie spekulacje) zakończyłyby się kolejną awanturą w relacjach z Unią, która przygląda się uważnie tej sprawie.

– Znaczenie zapewne miał też fakt, że pojawił się ciekawy kandydat, którego my, jako PSL, zgłosiliśmy, a któremu trudno zarzucić, że jest reprezentantem jakiegokolwiek partii, ideologii albo że

ma takie czy inne poglądy – wskazuje Kosiniak-Kamysz.

Okazało się więc, że prof. Wiącek jest dla PiS do przełknięcia, zwłaszcza że w pewnym momencie pojawiło się tam przekonanie, że skoro przez ostatnich sześć lat działalność Adama Bodnara w żadnym stopniu PiS nie zaszkodziła, to i nowy rzecznik raczej nie zaszkodzi, zwłaszcza jeśli będzie choć trochę mniej upolityczniony i uprzedzony od Bodnara. Poza tym, jak wskazują nasi rozmówcy, PiS ma obecnie sporo własnych problemów wewnętrznych, związanych z większością parlamentarną, a z drugiej strony także zewnętrznych, związanych z powrotem Tuska i przegrupowaniem sił na opozycji, żeby zajmować się jeszcze wojną o RPO. – Z punktu widzenia PiS to zbyt błaha sprawa, by prowadzić wojnę. I tak dziwne, że tak długo to ciągnęli – słyszymy.

UMIARKOWANY RZECZNIK

Profesora Wiącka od początku wspierało Porozumienie Jarosława Gowina. I zgłosowało za nim wbrew partii Jarosława Kaczyńskiego wtedy, gdy kandydatką PiS była Lidia Staroń.

– Po pierwsze, historia wyboru RPO pokazała, że czynny polityk nie ma szans, więc trzeba szukać raczej gdzie indziej. Po drugie, prof. Wiącek ma wszystko, co najważniejsze, do pełnienia tej funkcji i trudno zarzucić mu brak wiedzy prawniczej, przygotowania czy dorobku naukowego. I po trzecie, do PiS chyba dotarło, że jest to kandydat, który jako jedyny z dotychczas zaprezentowanych jest w stanie zebrać większość i w Sejmie, i w Senacie, co da mu silny mandat do pełnienia tej funkcji – wylicza w rozmowie z „Do Rzeczy” Jan Strzeżek, wicerecznik Porozumienia.

Wśród krążących w Sejmie informacji pojawia się także ta, jakoby wsparcie PiS dla Wiącka jako kandydata PSL było elementem porozumienia z ludowcami, którzy w zamian mieliby pomóc zapewnić wybór nowego szefa IPN. Zaproponowany przez PiS dr Karol Nawrocki został wybrany przez Sejm, ale musi go jeszcze zatwierdzić Senat i tutaj kilka głosów PSL miałyby znaczenie. Gdy pytamy o to lidera PSL, nie odpowiada wprost. – Uważam, że i wybór RPO, i szefa IPN trzeba doprowadzić do końca, a nie przeciągać w nieskończoność – odpowiada Władysław Kosiniak-Kamysz. I dodaje, że z formalnego punktu widzenia jednak wybór RPO jest dla PiS nieporównanie trudniejszy od wyboru szefa IPN.

Rzecznika musi wybrać nie tylko Sejm, ale i Senat, bo tak przewiduje konstytucja. Wybór szefa IPN jest regulowany samą ustawą, wystarczy jej zmiana, by np. szefa IPN wybierał tylko Sejm, pomijając Senat. Co nie zmienia faktu, że w takiej sytuacji rozpętałyby się polityczna awantura, a ranga tak wybranego nowego szefa IPN na starcie byłaby mocno osłabiona. I tego PiS bardzo chce uniknąć, co uprawdopodobnia scenariusz z umową z PSL: „Wasz rzecznik, nasz szef IPN”.

Zwłaszcza że postać prof. Marcina Wiącka nie budzi większych kontrowersji, także w samym PiS.

Marcin Wiącek jest prawnikiem, doktorem habilitowanym nauk prawnych, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Kieruje Zakładem Praw Człowieka Wydziału Prawa i Administracji UW. Jako jego główną zaletę wszyscy nasi rozmówcy z różnych stron sceny politycznej wymieniają umiarkowanie w poglądach i brak przechyłu w żadną ze stron. – On jest taki trochę PSL-owski, czyli niby bardziej konserwatywny niż liberalny, ale bez noża w zębach, bez takiego zacięcia rewolucyjnego. Raczej spokojny niż wojowniczy – obrazuje nam jeden z polityków prawicy.

– To kandydat, który daje gwarancję, że nie będzie rzecznikiem żadnej partii. Nie ma radykalnych poglądów ani lewicowych, ani prawicowych. I bardzo dobrze, bo ten urząd nie jest od demonstrowania poglądów – uważa Kosiniak-Kamysz. I przyznaje, że PSL współpracowało z prof. Wiąckiem, tzn. korzystało z jego ekspertyz prawnych. Podobnie jak Porozumienie Jarosława Gowina. – Zrobił na nas bardzo dobre wrażenie. Jest dobrym ekspertem, a do tego ma centrowe i zdroworozsądkowe poglądy. Kiedy PSL zgłosiło go jako kandydata, uznaliśmy, że to właściwa osoba do pełnienia tej funkcji, bo na pewno nie będzie zapiewającą żadnej partii – relacjonuje Jan Strzeżek.

Profesor Wiącek przez kilka lat był członkiem Rady Legislacyjnej przy premierze, gdy funkcję tę pełnili kolejno Donald Tusk, Ewa Kopacz, Beata Szydło i Mateusz Morawiecki, w latach 2014–2016 pracował też w Rządowym Centrum Legislacji. Jego dotychczasowe publiczne wypowiedzi są dość zachowawcze. Podczas spotkania z posłami Koalicji Obywatelskiej nie wszystkim podobało się, że jednoznacznie nie potępił obecnego składu Trybunału Konstytucyjnego i miał powiedzieć, że nie będzie kwestionował jego orzeczeń. Przytoczył przykład orze-

czenia w sprawie rent dla niepełnosprawnych i zapytał, jak miałby powiedzieć takiej osobie, że ważne dla niej orzeczenie jest nieważne, bo wydał je Trybunał, który w składzie się nie wszystkim podoba. Niektórym posłom Koalicji Obywatelskiej to podejście się nie spodobało.

NIKT NIE SKACZE

Swoje wątpliwości wobec kandydatury Wiącka miała także Solidarna Polska, której posłowie wstrzymali się od głosu. – Nie jest przesądzone, że poprzemy prof. Marcina Wiącka. Dalsze decyzje będziemy podejmować na zarządzie naszej partii – mówił portalowi wp.pl jeszcze przed głosowaniem Michał Woś z Solidarnej Polski. Posłowie partii Zbigniewa Ziobry spotkali się z prof. Wiąckiem, ale – jak twierdzą – rozmowa nie rozwiązała ich wątpliwości. – Spotkanie z prof. Wiąckiem wywołało pewne wątpliwości i rozdziewięć stanowisk między naszymi parlamentarzystami. Dlatego zdecydowaliśmy się wstrzymać od głosu przy opiniowaniu kandydatury pana profesora na komisji – tłumaczy Woś. Podobnie zrobili podczas głosowania sejmowego.

– To, że nikt nie jest do końca zachwycony, dowodzi, że prof. Wiącek jest dobrym kandydatem i kandydatem kompromisowym. Bo kompromis nie polega na tym, że ktoś będzie skakał do góry. Gdyby rzecznikiem został poseł Wróblewski, do góry skakałby PiS, gdyby pani Rudzińska-Bluszcz, to skakałaby lewica. A tak nikt nie skacze, ale nikt też nie ma poczucia klęski. To dobrze wróży dla urzędu Rzecznika Praw Obywatelskich – prognozuje Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL.

Ostatecznie za kandydaturą prof. Wiącka zgłosowało 380 posłów z klubów: PiS, Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, Koalicji Polskiej, Kukiz'15 i Polski 2050. Trzy osoby były przeciw, 43 wstrzymały się od głosu. – Jestem dumny, że wokół mojej osoby ukształtowało się porozumienie, to dla mnie ogromny zaszczyt i czuję się z tego powodu niezwykle zobowiązany – powiedział prof. Wiącek po sejmowym głosowaniu. – Będę rozmawiał, będę otwarty na wszelkie rozmowy z klubami i kołami senackimi – przekazał. Zapewnił, że chce postępować „w sposób bezstronny i niezawisły”.

Teraz wybór Sejmu musi zatwierdzić Senat. Jeśli nic się nie zmieni, to powinno być to tylko formalnością.



Maria Kądzilska

Polska od kwietnia funkcjonuje bez chińskiego ambasadora. Liu Guangyuan został przeniesiony do Hongkongu. Wciąż nie znamy jego następcy

Pomimo że na budynku ambasady przy ul. Bonifraterskiej w Warszawie powiewa flaga, ambasador jest nieobecny. Liu Guangyuan, który pełnił tę funkcję od 2018 r. do kwietnia 2021 r., został awansowany na stanowisko komisarza chińskiego resortu dyplomacji w Hongkongu. Polska placówka od tego czasu pozostaje pusta.

Pierwszy ambasador ChRL rozpoczął urzędowanie w naszym kraju w 1950 r. W czasach PRL wymiana dyplomatów często następowała z kilkumiesięcznym okresem przerwy. Pomiędzy Li Zewangiem, który oddał ten urząd w grudniu 1982 r., a Yu Hongliangiem upłynęły cztery miesiące, a pomiędzy Liu Yanshunem a Chen Shize – aż pięć, gdyż ten ostatni

Dyplomatyczna pustka

zagościł w Warszawie dopiero w październiku 1995 r. Jednakże we współczesnych relacjach dwustronnych starano się unikać tak długiego okresu przerwy, a wymiana ambasadorów następowała najwyżej po upływie niecałych dwóch miesięcy.

Z uwagi na to obecna sytuacja staje się powoli niepokojąca, szczególnie że w tym samym czasie nieznanym jest również nowy ambasador USA. Po tym, jak Georgette Mosbacher w styczniu zakończyła swoją misję dyplomatyczną w Polsce, prezydent Joe Biden nie powołał nowej osoby na

to stanowisko. W sytuacji nieobecności w Warszawie dwóch kluczowych dyplomatów można postawić tezę, że Polska dla tych rywalizujących ze sobą mocarstw nie stanowi najbardziej istotnego z partnerów. Zarówno polskie MSZ, jak i chińska ambasada, poproszone przez tygodnik „Do Rzeczy” o komentarz w tej sprawie, wstrzymały się od głosu.

LIU CONTRA GEORGETTE

Liu Guangyuan był w Polsce jednym z najbardziej aktywnych chińskich



Liu Guangyuan był ambasadorem Chin w Polsce, teraz dostał misję dyplomatyczną w Hongkongu

FOT. AMBASADA CHIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ W POLSCE

Liu Guangyuan był w Polsce jednym z najbardziej aktywnych chińskich ambasadatorów w historii naszych relacji

bezpieczeństwa zdrowia publicznego” – stwierdził wtedy chiński ambasador.

Dodajmy, że to właśnie Polska stała się głównym teatrem propagandowych działań chińskiej pomocy w pierwszym etapie pandemii. Do Warszawy w kwietniu 2020 r. przyleciał największy transportowy samolot świata, zasilając nasze zapasy środków sanitarnych 7 mln maseczek oraz kilkuset tysiącami kombinezonów ochronnych. Następnie okazało się, że dostarczone produkty nie były wyrazem dobrej woli chińskiego brata, ale efektem zakupów dokonanych przez spółki KGHM Polska Miedź i Lotos, które przeznaczyły na ten cel łączną kwotę w wysokości 15 mln zł. W dodatku chińskie wyroby nie spełniały norm unijnych.

Sukcesem z perspektywy Pekinu stało się przede wszystkim zdjęcie gigantycznego samolotu na lotnisku Chopina, które obieguły wszystkie media nie tylko w Polsce i Europie Zachodniej, lecz także w Chinach. Liu Guangyuan mógł się pochwalić międzynarodowym osiągnięciem.

CHIŃSKI PATRIOTYZM

Awans z funkcji ambasadora w średnim środkowoeuropejskim państwie do roli głównego rozgrywającego w Hongkongu należy poczytywać jako jego sukces. Liu zastąpił na tym stanowisku doświadczonego dyplomata i eksperta od amerykańskich relacji międzynarodowych Xie Fenga, który z kolei został awansowany na wiceministra spraw zagranicznych. To duże wyzwanie dorównać takiej postaci w jednym z najbardziej problematycznych obszarów, którym jest dla Chińczyków Xiānggāng (chińska nazwa Hongkongu). Prezydent Xi Jinping bowiem już wprost mówi o całkowitej integracji byłej brytyjskiej kolonii w ciągu następnych kilku lat.

Liu bezwzględnie realizował tę politykę. Jeszcze będąc ambasadorem w Polsce, tłumaczył punkt widzenia ChRL na łamach portalu Onet.pl: „Wy-

soki stopień autonomii, jaką w ramach »dwóch systemów« cieszy się Hongkong, wynika z upoważnienia przez rząd centralny i z podstawy, jaką jest »jeden kraj«. Poszanowanie różnicy »dwóch systemów« musi poprzedzać poszanowanie założenia »jednego kraju«, co prowadzi do potrzeby zapewnienia, że Hongkong pozostaje pod rządami patriotów” – pisał dyplomata. Pod koniec czerwca 2021 r. pod przywództwem Liu doprowadzono do zamknięcia ostatniej niezależnej gazety w mieście – „Apple Daily”, której właściciel Jimmy Lai odbywa karę więzienia. „Era wolnej wypowiedzi politycznej, którą od dawna znamy, minęła” – skomentowała tę sprawę Sharron Fast, wykładowca dziennikarstwa na Uniwersytecie w Hongkongu, która śledzi ostatnie ruchy cenzurujące książki, sztukę i filmy w mieście. „Utrata »Apple« w tym momencie doprowadza to tego, że stajemy na krawędzi upadku. To naturalne, że ta strata jest głęboko odczuwana w mieście” – dodała w wywiadzie dla „New York Timesa”.

W czerwcu Liu ponownie trafił na nagłówki międzynarodowych gazet po swoim wystąpieniu na temat ustawy antysankcyjnej. Nowe prawo zostało uchwalone w Pekinie 10 czerwca 2021 r. Uprawnia ono Chiny do wprowadzenia środków zaradczych wobec krajów, które przyjmują dyskryminujące restrykcje wobec chińskich obywateli lub interweniują w wewnętrzne sprawy Chin. – Istnieją antychińskie siły, które wysuwają fałszywe oskarżenia i próbują interweniować w nasze wewnętrzne sprawy. W efekcie czego Chiny mają pełne prawo do wprowadzenia środków zaradczych – tak mówił Liu na międzynarodowym sympozjum na temat 100-letniej historii Komunistycznej Partii Chin. Dodał również, że rozwój Chin pod przywództwem Partii Komunistycznej jest nie do powstrzymania. – Każda próba interwencji w wewnętrzne sprawy Chin lub zahamowania ich rozwoju jest skazana na niepowodzenie. W Hongkongu został przywrócony porządek po wprowadzeniu prawa bezpieczeństwa narodowego i wprowadzeniu zmian wyborczych.

Zapowiedział także, że ponieważ zasada „jeden kraj, dwa systemy” weszła w nową fazę, jego biuro będzie w stanie walczyć z obcymi siłami, które chcą ingerować w miasto.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

JAN HLEBOWICZ: „Młodzi zbuntowani” dystansowali się wobec Kościoła?

PIOTR SEMKA: [...] Czuliśmy klimat niechęci prymasa wobec demonstracji ulicznych. I to nas bolało. Baliśmy się, że Kościół i skupione wokół niego opozycyjne grupy katolików świeckich będą hamulcowymi, dążącymi do układania się z komunistami. Tacy doradcy prymasa Wyszyńskiego jak Romuald Kukułowicz czy związany z prymasem Glempem Andrzej Micewski byli dla nas nudnymi facetami, którzy wydawali się jednocześnie zbyt nijacy, ulegli i łatwi do rozgrywania przez SB. Upatrywaliśmy w tym środowisku rodzaj jakiegoś PAX-u bis, czyli zachowawczego związku katolików, rozgrywanego przez władze i służby. Także sam prymas Glemp pozostawał niesłuchanie zachowawczy. Powszechnie uważaliśmy go za osobę, która nie dostrzega problemu w kontaktach z komunistami, lubi wchodzić z nimi w mętne negocjacje i rozgrywa podczas nich swoje niejasne interesy. Nie mogliśmy mu wybaczyć, że odwrócił się plecami do księdza Popiełuszki. Mieliśmy w pamięci jego przemówienia w przededniu rozmaitych demonstracji solidarnościowych w latach 1982–1983. Glemp mówił wtedy, że „kostka brukowa wyrwana z ulicy nie jest argumentem w debacie”. A my się oburzaliśmy i pytaliśmy głośno: „A pałka ziomowców jest argumentem?”. Mieliśmy poczucie, że w tym sporze prymas Glemp stawał bardziej po stronie komunistów niż naszej. Na tle zarówno hierarchów Kościoła, jak i działaczy chadeckich pryncypialny Michnik wydawał się sto razy ciekawszy. Ten sam Michnik już wówczas zwalczał takie inicjatywy, jak żółte związki zawodowe (od koloru barw papieskich). O tym jednak dowiedziałem się dużo później.

Mówiliśmy już o twoim pojawieniu się w Lublinie, powiedzmy też o obronie pracy magisterskiej. Nie było to wcale łatwe. Ze względu na twój charakter? Na promotorów?

Wybrałem temat poświęcony wizerunkowi rewolucji 1905 roku w pamiętnikach i literaturze. Seminarium prowadziła pani profesor, mniejsza o nazwisko, jak się później okazało, blisko związana ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego” i zakochana miłością platoniczną w Tadeuszu Mazowieckim. Temat bardzo przypadł jej do gustu. Problem w tym, że czas pisania pracy i udziału w seminarium przypadł na rok 1990, czyli na czas



Kolejny fragment książki „Piątka u Semki” (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Spełnione marzenie młodego opozycjonisty



Od lewej: Jacek Kurski, Mariusz Wilczyński i Andrzej Liberadzki FOT. PIOTR SEMKA

kampanii wyborczej. Byłem wówczas zdeklarowanym zwolennikiem Lecha Wałęsy. To doprowadziło do otwartego konfliktu. Pani promotor na każdych zajęciach wygłaszała mowy pochwalne ku czci Mazowieckiego. Pewnego razu nie wytrzymałem i wypunktowałem wszystkie wady „pana Tadeusza”. Od tamtego czasu miałem u niej przechłapanie. Każde

spotkanie seminaryjne zaczynało się od: „Panie Piotrze, ja pana naprawdę nie rozumiem. Jak pan, taki miły, inteligentny, młody człowiek, może być za Wałęsą?”. Kroplą, która przelała czarę goryczy, był moment, gdy po wygranej Wałęsy podeszła do mnie i syknęła: „Może pan sobie głosować na Wałęsę, ale moralnym zwycięzcą tego pojedynku jest pan Tadeusz”.

Pomyślałem wtedy, że kolejnego pół roku wypominania mi, jak głosowałem, już nie zniósę. Próbowałem przenieść się do innego profesora, Czesława Blocha, wyraził tego endeka. Jemu z kolei nie spodobał się temat. Zasugerował, że powinienem go przeformułować. Wybrałem więc kolejnego promotora, profesora Jerzego Kłoczowskiego. Niestety, tam zamiast spotkań seminaryjnych odbywały się seanse adoracji „Wielkiego Pana Profesora”. Załamany poszedłem do doświadczonego w sprawach uczelnianych kolegi: „Nie wiem, co robić. Mówi się: do trzech razy sztuka. Niestety, nie w moim przypadku. Co mi radzisz?”. On odpowiedział: „Jest pewna ciekawa postać, która ratuje takich ancymonków jak ty. To profesor Zygmunt Sułowski, przyjmujący na swoje seminarium rozbitków, którzy nigdzie nie zagrali miejsca i są skłóceni z całą uczelnią. Spróbuj u niego. Jak zrobisz na nim pozytywne wrażenie, to może cię przyjmie”. Poszedłem więc do Sułowskiego i mówię: „Byłem na trzech seminariach. Pokłóciłem się ze wszystkimi”. Wtedy on kazał mi opowiedzieć o tych kolejnych przypadkach. Kiedy skończyłem, uśmiechnął się i odpowiedział: „Doskonale pana rozumiem”. I zaprosił mnie do siebie. Później dowiedziałem się, że Sułowski walczył jako podchorąży w kampanii wrześniowej 1939 roku. Uczestniczył w obronie Warszawy. Należał także do Armii Krajowej.

Jednak w obroty nie wziął cię profesor, ale jego asystent, wówczas doktor, Jan Skarbek.

Doktor Skarbek był dla mnie niczym dar z niebios. Po pierwsze, kazał mi zmienić temat pracy. Wymyślił coś takiego: „Diecezja mińska w świetle schematyzmów kościelnych w latach 1900–1918”. Temat mi się spodobał, bo moja babcia Bronisława pochodziła z okolic Mińska. Na dodatek było sporo materiałów na ten temat w archiwum seminarium duchownego w Lublinie i w Bibliotece KUL. No cóż. Musiałem się zgodzić. Zresztą nie miałem już wówczas głowy ani czasu do jakiegokolwiek polemiki. Pracowałem w „Tygodniku Solidarność” i telewizji. Mój grafik był niezwykle napięty i tylko Skarbekowi zawdzięczam to, że udało mi się magisterium obronić. Pan doktor dzwonił do mnie co tydzień i bardzo nieprzyjemnym głosem rozliczał mnie z marnych postępów w pracy. W końcu zacząłem pisać kolejne rozdziały tylko po to, by nie musieć się wciąż

tłumaczyć z ich braku. Nie było to łatwe, bo miałem wówczas głowę wypełnioną wielką polityką – wojną na górze, kolejnymi tekstami w „Tygodniku Gdańskim”. Ale wziąłem się w garść i stosunkowo szybko napisałem pracę. Gdyby nie „terror” doktora Skarbka, pewnie dzisiaj nie miałbym dyplomu. Bardzo dużo mu zawdzięczam. Niestety, już nie żyje. Magistrem historii zostałem w końcu w 1991 roku.

Cofnijmy się nieco w czasie. Od początku 1987 roku, krążąc na linii Lublin–Trójmiasto, równoległe „knułeś” w Gdańsku...

Gdańska bezpieka uznała, że skoro wyjechałem do Lublina, to mają mnie na dłuższy czas z głowy. Natomiast lubelska SB początkowo mnie nie zauważała. Rzeczywiście stale kursowałem między Lublinem a Gdańskiem, utrzymując kontakty z podziemiem. Na początku pomagałem kolejnej ekipie „BIT-u” na czele z Maciejem Grabskim w redagowaniu niezależnego pisma III LO. Jednocześnie zacząłem szukać czegoś dla siebie. Napisałem tekst do „Tygodnika Powszechnego” o rewolucji na Filipinach. Pewnie redaktorzy „TP”, kiedy otworzyli przesyłkę z artykułem w środku, popukali się w czoło. Dostali tekst od jakiegoś mądrzącego się młokosa, który próbuje kreować się na specjalistę od Filipin. Mieli wtedy stu lepszych ode mnie autorów, którzy mogli się zająć tym tematem. Oczywiście artykułu nie opublikowali. Czasem myślę, co by było, gdyby wtedy wzięli mój tekst i zaproponowali współpracę. Może byłbym dziś w obozie katolewicy? (śmiech) Ale z takich przypadków składały się ówczesne wybory ideowe. Wciąż pozostawałem „bez przydziału”. Postanowiłem wówczas spróbować w Gdańsku. Jeszcze w 1985 roku nawiązałem kontakt z „Solidarnością”. Pismem Regionu Gdańskiego, popularnie nazywanym „Regionówką” albo bardziej pieśczołiwie „Gdańskimi lewkami” ze względu na herb Gdańska umieszczony na pierwszej stronie. Pierwszy mój tekst nosił tytuł „Upadek” i poświęcony był Mieczysławowi Rakowskiemu. Pismem zarządzali wówczas Maciej Łopiński i Andrzej Liberadzki, mężowie zaufania i bliscy współpracownicy Bogdana Borusewicza. Ten ostatni sprawował pieczę nad całością. Napisać artykuł do legendarnej „Regionówki”, której szefem



jest równie legendarny w podziemiu „Borsuk”, było marzeniem każdego młodego opozycjonisty.

To, co zaczęło się od pojedynczego tekstu, wkrótce przerodziło się w stałą współpracę, a właściwie w kierowanie pismem.

Bogdan Borusewicz, lider podziemnej „S” na Pomorzu, na początku 1986 roku został zatrzymany przez SB w tajnej drukarni opozycjonistów. Na jego trop natrafiło ono w wyniku donosu ze strony tajnego współpracownika, który wynajmował lokal na drukarnię. Wówczas, z powodu ryzyka dalszej dekonspiracji, związani z Borusewiczem Łopiński i Liberadzki postanowili przekazać „Pismo Regionu Gdańskiego” nowemu pokoleniu. Pokoleniu, które nie było tak dobrze znane bezpiece. Maciej Łopiński, którego żona pracowała wówczas jako bibliotekarka w Topolówce, a on sam kojarzył niezależną działalność „BIT-u”, zorganizował spotkanie z nami. Oprócz mnie wzięli w nim udział Jacek Kurski i Mariusz Wilczyński, wspomniany wcześniej lider Federacji Młodzieży Walczącej i twórca niezależnego pisma „Monit”. Łopiński podał nam dłonie i oznajmił: „Panowie, od dzisiaj wy kierujecie »Regionówką«”. Przez chwilę byliśmy w szoku. Jak to? My mamy być redaktorami słynnych „Lewków”? Szybko jednak oprzytomnieliśmy, przybraлиśmy poważne miny sugerujące, że to istotnie najlepszy z możliwych wyborów, i powiedzieliśmy: „tak”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- „*Jak Semkowie Polskę wybrali*” – nr 16/2021
- „*Dziadek Jan i dziadek Józef*” – nr 17/2021
- „*Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową*” – nr 18/2021
- „*Niepokorna Topolówka*” – nr 19/2021
- „*Dramatyczny czas*” – nr 20/2021
- „*Licealna konspira*” – nr 21/2021
- „*Koledzy z konspiry*” – nr 22/2021
- „*Prywatna wojna z komunizmem*” – nr 23/2021
- „*Uciekaliśmy od bezruchu*” – nr 24/2021
- „*Pobudzający mętlik idei*” – nr 25/2021
- „*Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk*” – nr 26/2021
- „*Pierwsze niepokojące sygnały*” – nr 27/2021



Agnieszka Niewińska

W polskiej loterii szczepionkowej główna wygrana to milion złotych. Na świecie za przyjęcie preparatu przeciw COVID-19 można dostać nie tylko gotówkę, lecz także jajka, kolczyk do nosa czy marihuanę

Do udziału w loterii szczepionkowej można się zgłaszać od 1 lipca. Chętnych do gry o pieniądze, samochody i elektryczne hulajnogi nie brakuje. – W ciągu niespełna dwóch dni do Loterii Narodowego Programu Szczepień zgłosiło się już ponad milion osób – poinformował Michał Dworczyk, pełnomocnik rządu ds. narodowego programu szczepień.

Aby wziąć udział w loterii, należy się zarejestrować poprzez Internetowe Konto Pacjenta na stronie pacjent.gov.pl lub dzwoniąc na infolinię Narodowego Programu Szczepień pod numer 989, a następnie wyczekać SMS-a, bo prowadzący loterię Totalizator Sportowy w ten sposób poinformuje zwycięzców. Każdy, kto zgłosi się do loterii, ma cztery szanse na wygraną. Jedna z nich to nagroda natychmiastowa w wysokości 200 lub 500 zł (przewidziano ich 52 tys.). W cotygodniowym losowaniu do zgarnięcia będzie pięć nagród po 50 tys. zł każda i 60 hulajnóg elektrycznych. Podczas comiesięcznych losowań (a takie będą trzy) dwoje szczęśliwców dostanie po 100 tys. zł, a kolejne dwie osoby wygrać po toyocie corolli. Wielki finał loterii przewidziany jest na 6 października. Dwie osoby wygrać po 1 mln zł, rozlosowane zostaną także dwa samochody Toyota C-HR.

Wszystko wskazuje na to, że wygrana będzie zwolniona z podatku. Ministerstwo Finansów konsultuje projekt rozporządzenia w sprawie zaniechania poboru podatku PIT od nagród otrzymanych w loterii szczepionkowej. – Planujemy, że rozporządzenie wejdzie w życie 14 lipca 2021 r. – poinformowało nas biuro prasowe resortu.

Listy zwycięzców losowań tygodniowych, miesięcznych oraz finałowego będą dostępne na rządowej stronie gov.pl.



Zastrzyk z bonusem

– Pierwsze losowanie (w tym wypadku nagród tygodniowych) odbędzie się 14 lipca. Lista będzie aktualizowana w ciągu dwóch dni roboczych, licząc od dnia następnego po losowaniu, w postaci zamaskowanego numeru telefonu w formacie 123 4XX XXX, imienia, pierwszej litery nazwiska, rodzaju wygranej nagrody ze statusem weryfikacji – wyjaśnia Damian Wiśniewski z biura prasowego Totalizatora Sportowego.

W loterii mogą wziąć udział osoby pełnoletnie, które do 30 września zostaną w pełni zaszczepione przeciw COVID-19.

DO PUNKTU SZCZEPIEŃ PO KURĘ

Wyścig z wirusem trwa na całym świecie. Kolejne państwa prześcigają się w pomysłach na to, jak zachęcić obywateli do zaszczepienia się, bo po początkowej euforii związanej z pojawieniem się szczepionki, kiedy to punkty szcze-

pień były oblegane, nastąpiła stagnacja. W wielu krajach, w tym także nad Wisłą, szczepionki są dostępne, ale chętnych jest coraz mniej.

W USA nagrody i ich wysokość zależą od fantazji i zasobności poszczególnych stanów. Ohio pod koniec maja ogłosiło pierwszą szczepionkową milionerkę. Milion dolarów wygrała tam Abigail Bugenske, 22-latką z Silverton obok Cincinnati. Ohio przez cztery tygodnie co środę wyłaniało kolejnego milionera.

Stan Nowy Jork, widząc spadającą liczbę szczepień, postanowił skusić nieprzekonanych dużo wyższą kwotą. Główna nagroda w szczepionkowej loterii „Vax and Scratch” to aż 5 mln dol. Wystarczy się zaszczepić w jednym ze wskazanych stanowych punktów szczepień, by otrzymać kupon upoważniający do gry o tę niebagatelną kwotę.

W stanie Nowy Meksyk też jest do wygrania 5 mln dol. Zwycięzcę poznamy na



12–17 lat są stypendia na uczelniach wyższych. Stan Nowy Jork ufundował je na Uniwersytecie Stanowym Nowego Jorku (SUNY) i na Uniwersytecie Miejskim w Nowym Jorku (CUNY). Stypendia do wygrania pokrywają nie tylko koszt czesnego, lecz także zakwaterowania, wyżywienia czy książek. Ohio razem z wyłanianym co środę szczepionkowym milionerem losował też pełne stypendium na studia w wybranym stanowym college'u lub na uniwersytecie dla zaszczepionych w wieku 12–17 lat.

Są i bardziej niekonwencjonalne nagrody. Władze stanu Waszyngton do 12 lipca obdarują szczepiących się marihuaną w formie skręta. Stan Maine zaproponował darmowe licencje wędkarskie i łowieckie.

W Azji też nie brakuje nowatorskich pomysłów. Władze miasta Rajkot w zachodnich Indiach do przyjęcia szczepionki zachęcają, rozdając paniom złote kolczyki do nosa. Panom zaś oferują blendery. W Chinach, gdzie jak dotąd nie udało się osiągnąć zakładanego na lipiec poziomu zaszczepienia społeczeństwa (do tej pory w pełni zaszczepionych zostało 223 mln obywateli, a władze przewidywały, że będzie ich ponad 500 mln), też nie brakuje kreatywnych pomysłów na nagrody dla szczepiących się. Jedną z przychodni w Pekinie w zamian za szczepienie zaoferowały darmowe jajka – i to aż 2,5 kg.

W Indonezji w zamian za szczepienie mieszkańcy wsi mogli otrzymać nie jajka, lecz żywe kury. Akcją skierowano w szczególności do starszych mieszkańców. – Na początku wokół szczepionki było dużo dezinformacji i oszustw, zwłaszcza w mediach społecznościowych. Wiele starszych osób myślało, że nie zapobiega ona COVID-19, ale powoduje poważne choroby, a nawet śmierć – tłumaczył CNN powody zorganizowania kurczakowej akcji Galih Apria, zastępcy komisarza policji.

Nagrody za szczepienia rozdają zresztą nie tylko władze państwowe, lecz także firmy. United Airlines zaoferowały rok darmowego latania w zamian za szczepienie. W losowaniu tego bonusu mogą wziąć udział uczestnicy programu zbierania mil lotniczych, którzy do swojego konta na stronie United Airlines załadują dokument poświadczający szczepienie. Z kolei browar Anheuser-Busch obiecał Amerykanom, że postawi im po piwie, jeśli USA osiągną 70 proc.

zaszczepionych co najmniej jedną dawką. Prezydent Joe Biden postawił sobie za cel osiągnięcie tego poziomu do 4 lipca. Niestety, to się nie udało.

SKOK O 33 PROC.

Czy gotówka do wygrania, samochody albo jajka są w stanie przekonać nieprzekonanych? Galih Apria chwalił się dziennikarzom, że akcja rozdawania żywych kurczaków spotkała się z dużym odzewem, a w punktach szczepień przybyło seniorów, którzy po zaszczepieniu odbierali kurczaki. Przykładem skuteczności loterii jest też wspomniany już stan Ohio. Z danych Departamentu Zdrowia Ohio wynika, że w tygodniu po ogłoszeniu loterii szczepionkowej liczba osób 16+, które przyjęły pierwszą dawkę szczepionki, skoczyła o 33 proc. w porównaniu z poprzedzającym tygodniem. – Najważniejsze jest to, że loteria zmieniła trend w Ohio. Liczba tych, którzy rozpoczęli proces szczepień, zamiast spadać, idzie w górę – cieszyła się Alicia Shoults, rzeczniczka Departamentu Zdrowia stanu Ohio.

Psycholog społeczny dr Ireneusz Siudem zaznacza, że loterie czy prezenty dla szczepiących się skłonią tylko część osób do stawienia się na zastrzyk. – Jeśli ktoś nie jest zdecydowany, ma tyle samo argumentów „za”, co i „przeciw” szczepieniu, to dodatkowa korzyść, wizja wygranej w loterii może być tym, co przeważa szalę. Ci, którzy nie chcą się zaszczepić ze względu na lęk o swoje życie i zdrowie, nie dadzą się przekonać żadnymi profitami. Dlatego do szczepień trzeba zachęcać wielotorowo. Obok gratyfikacji trzeba podejmować działania zmniejszające lęk przed szczepieniem, zadbać o ich szeroką dostępność, stosować zachęty w postaci np. umożliwiania uczestnictwa w koncertach tylko zaszczepionym – uważa psycholog społeczny.

Jaki skutek odniesie polska loteria szczepionkowa? Przekonamy się niebawem. Kto chce wygrać zdrowie – bo to o nie chodzi w akcji szczepień – i liczyć się w grze o milion złotych, bez problemu zdąży z przyjęciem dwóch dawek do końca września. W wielu miejscach kraju można zostać zaszczepionym nawet w dniu zapisu. Tym, którzy mają już za sobą komplet szczepień, pozostaje czekać na SMS od Totalizatora Sportowego. Jeśli nie uda się wygrać w loterii szczepionkowej, to mamy jeszcze drugą szansę – loterię dla tych, którzy dopełnili obowiązku i wzięli udział w Narodowym Spisie Powszechnym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

początku sierpnia. W Kalifornii już w połowie czerwca telefony od władz stanowych odebrało 10 szczęśliwców, którzy dowiedzieli się, że dzięki szczepieniu zostali milionerami. Główna kalifornijska nagroda w szczepionkowej loterii wyniosła 1,5 mln dol., ale w dwóch edycjach loterii rozlosowano wiele nagród po 50 tys. dol. każda.

Temu, kto od wizji wielkiej wygranej woli drobną kwotę, ale za to gwarantowaną, z pewnością do gustu przypadnie propozycja stanu Wirginia Zachodnia. Jego władze uznały, że zbyt mało młodych ludzi decyduje się na szczepienie, dlatego każdemu mieszkańcowi w wieku 16–35 lat, który się zaszczepił, zaoferowały po 100 dol. (ale w obligacjach oszczędnościowych).

W Grecji osoby w wieku 18–25 lat w zamian za szczepienie przeciw COVID-19 co najmniej jedną dawką mogą liczyć na bon na podróże i rozrywki o wartości 150 euro (ok. 675 zł), a także darmowy Internet w telefonie przez cały sierpień.

Serbia każdemu, kto zaszczepił się do końca maja, oferowała gotówkę. Zaszczepieni otrzymywali 3 tys. dinarów (nieco ponad 100 zł). Ci, którzy szczepili się w punktach zlokalizowanych w centrach handlowych, mogli otrzymać kupon na zakupy.

Pieniądze to niejedyny szczepionkowy bonus. W USA popularną nagrodą za szczepienia dla najmłodszych w wieku

Narkotyki w życiu polskich „wyższych sfer” to takie udawane tabu. Od czasu do czasu ktoś przyzna się z minką cnotki do sporadycznego użycia marihuany. Wydaje się wtedy, że i narkotyki są w porządku, i ci, którzy ich – jak deklarują – bardzo sporadycznie używają. Potrzeba dopiero poważniejszego skandalu, który nagłośni środki masowego przekazu, by publiczność przypomniała sobie, że narkotyki są w Polsce nadużywane, że niszczą ludzi, degenerują ich życie. I że ich rozprowadzanie jest zakazane. Jeśli jednak posiadanie i zażywanie narkotyków zaczyna się w społecznej świadomości łączyć z wysoką pozycją społeczną celebrytów, to siła ich rażenia niestety wzrasta.

Można rzeczywiście powątpiewać, czy ujawnianie afer narkotykowych z udziałem celebrytów ma jakiś prewencyjny wpływ na postawy społeczne, czy do narkotyków zniechęca. Jako odbiorcy informacji i rozrywki przez ostatnie sto lat rozwoju mediów wykształciliśmy w naszych umysłach rozmaite mechanizmy, które pozwalają nam do pewnego przynajmniej stopnia odsiewać intencje nadawcy od treści przedstawiających się jako fakty. Oczywiście autorzy i nadawcy treści ścigają się z naszymi umysłowymi „przeciwciałami” w sztuce manipulacji i często wygrywają, ale jednocześnie my – jako odbiorcy – też nauczyliśmy się widzieć w mediach to, co chcemy widzieć. Socjologowie zauważają, że ludzie w bezbłędny sposób odczytują zachowania „klasy wyższej” jako wzorcowe dla siebie. Dlatego też – szczególnie w czasach mediów masowych – różne mody, które miałyby charakter niszowy i związany tylko z określonymi grupami społecznymi, stały się praktyką czasem nawet globalną. Za przykład procesów umasowienia zachowań „elitarnych” uważa się np. antynatalizm, ateizm czy otwarcie deklarowany permissywizm moralny. Podobnie działa przekaz dotyczący narkotyków.

KONOPNA REKLAMA

Weźmy przykład niewinny. Pod koniec zeszłorocznego lata popularna piosenkarka Cleo odwiedziła telewizyjny show Kuby Wojewódzkiego. W pewnym momencie rozmowa żartobliwie zesłała na palenie blantów, czyli marihuanowych skrętów. Cleo zadeklarowała, że trzyma się z daleka od substancji psychoaktywnych, ponieważ boi się ich działania.



FOT. ADRIAN STOK

Niebezpieczne zabawy z konopiami



Tomasz Rowiński

Polscy celebryci z łatwością mówią o narkotykach, jakby nie było w nich nic złego. To szalenie niebezpieczny sygnał

Wspomniała swoje – jak mówiła jedyne – próby zapalenia skręta. „Mamo, tato, to był tylko raz” – mówiła, zwracając się do swoich rodziców. Z jednej strony można powiedzieć, że artystka zachowała się dobrze – zdystansowała się wobec narkotyków. Z drugiej zaś strony temat ten został wprowadzony do programu

tak, jak gdyby chodziło o jakiś rodzaj cukierków, które można lubić lub nie. Tymczasem dystrybucja narkotyków jest w Polsce karalna, a mało kto wchodzi w ich posiadanie dzięki własnej uprawie czy produkcji, która zresztą także jest zakazana. Zapewne ktoś Cleo poczęstował tym skrętami. Nie zmienia to jednak

wymowy takich programów jak ten Wojewódzkiego – narkotyki coraz częściej pojawiają się jako element stylu życia, skręt staje się akceptowalnym rekwizytem, a na podwarszawskich osiedlach zamieszkałych przez klasę średnią nieraz czuć niosący się zapach „zioła”.

W tym czasie, gdy nagrywany był program z Cleo, Wojewódzki razem z Januszem Palikotem prawdopodobnie przygotowywali już jeden ze swoich komercyjnych projektów, czyli markę piwną Buh. Piwa z tej serii zawierają susz konopny. Jak twierdzi znany piwny recenzent Tomasz Kopyra, wbrew temu, co pierwotnie można było przeczytać w mediach, napój – produkowany w wersji alkoholowej i bezalkoholowej – nie zawiera ani legalnego oleju konopnego CBD, ani tym bardziej także zakazanego psychoaktywnego związku THC. Jednak otoczka marketingowa Buha bez wątplenia przyczyniła się do popularyzacji narkotyków jako elementu stylu życia. Buh przez pewien czas pojawiał się w teledysku hiperpopularnej wśród dzieci i młodzieży znanej z YouTube Ekipy Karola „Friza” Wiśniewskiego. Działa tu mechanizm nieco podobny jak przy piwie bezalkoholowym – dociera ono do konsumentów, którzy wcześniej napojami piwnymi nie byli zainteresowani. Wytwarza przychylną kulturą picia piwa przez nieletnich poza kontrolą rodziców. Gdy znajdą się oni już w kręgu konsumentów, przejście na napój alkoholowy okaże się prostsze. Oczywiście kontrargument jest tu taki, że jakiś odsetek piwnych konsumentów porzuci alkohol dla napoju zeroprocentowego. Jednak w przypadku posługiwania się marketingowymi nawiązaniami do marihuany można mówić tylko o ruchu w kierunku promocji przemysłu narkotykowego – to nisza, która się dopiero rozszerza.

Przemysł legalnych używek oparty na konopnych kannabidiolach (CBD) niezawierających psychoaktywnego tetrahydrokannabinolu (THC) rozwija się dziś dynamicznie ze względu na nikłe skutki uboczne CBD i jego właściwości poprawiające samopoczucie. Jednocześnie poprzez marketingową otoczkę słabnie psychologiczna granica pomiędzy tym, co szkodliwe, a tym, co nieszkodliwe. Między miłą używką a królestwem narkotyków.

Poprzez konopną reklamę posłuch znajdują tacy ludzie jak Kamil Sipowicz, prywatnie mąż zmarłej w 2018 r. woka-

listki zespołu Maanam, Kory Jackowskiej, który w przeszłości wielokrotnie opowiadał się za legalizacją marihuany przepisywanej ze względów medycznych. Tę zmianę przeprowadził PiS w roku 2017. Sipowicz nazwał ją wielkim krokiem. Czy mamy oczekiwać następnego?

Sipowicz mówił też swego czasu, że polskie ustawodawstwo antynarkotykowe jest „gorsze” od tego z czasów totalitaryzmu. Przypomnijmy, że gdy w 2012 r. w domu Kory Jackowskiej i Sipowicza znaleziono marihuanę, Kuba Wojewódzki napisał w mediach społecznościowych: „Dzielni policjanci wtargnęli do domu Kory Jackowskiej i odkryli, że artystka posiada 3 gramy marihuany. Zatrzymano ją. Gdyby żyła Wisława Szymborska, można by ją zaskarżyć za posiadanie nikotyny. Władek Broniewski beknałby za pełny barek, a Wilhelm Sasnał za zapas rozpuszczalnika”.

JAK PICIE PIWA?

Dziennikarz i menedżer muzyczny Maciej Piasecki w czasie, gdy dyskutowano sprawę Kory, mówił, że polskie prawo nie nadąża za realiami, a realia są takie, że ludzie traktują palenie skrętów jak picie piwa. Typowe argumenty promarihuanowe powtarzał też w zeszłym roku dla portalu money.pl Janusz Palikot – ten sam, od Buha: „Nawet nie wiadomo, czy marihuana to miękki narkotyk, ale nawet przyjmując tę definicję, to przecież w porównaniu z wódką, w porównaniu z papierosami, to jest dużo mniej szkodliwy środek”. Kłopot polega na tym, że w przypadku alkoholu mamy już „problem alkoholowy” do rozwiązania. Podobnie jest z rakiem płuc. Czy potrzebny nam jest jeszcze narodowy „problem narkotykowy”? Trwałe używanie THC powoduje przecież m.in. zmiany otępienne mózgu. Zapytajmy jeszcze, jak daleka jest droga od wypalenia skręta do wciągnięcia kokainowej kreski?

SKUTKI

Wszystko może się wydawać „fajne” dopóty, dopóki nie trafiamy na takie historie jak ta, którą opowiadał miłośnik w zeszłym roku nastoletni aktor Witold Sosulski, znany z seriali telewizyjnych. Sosulski jako 14-latek trafił do ośrodka terapii uzależnień. Znamy też historie z relacji Krzysztofa Krawczyka, który swoim rockandrollowym, także narkotycznym życiem zniszczył sobie zdrowie. Obaj mieli wiele szczęścia, że w pewnym

momencie wydobyli się z zależności od twardszych używek. Krawczyk mówił wprost: „To jest duża pomoc Boża, że ja nie jestem alkoholikiem i narkomanem”.

O tym, jak wygląda człowiek znany m.in. z tego, że napisał książkę o narkotycznym imprezowaniu w warszawskich klubach, mógł się niedawno przekonać każdy, kto obejrzał wywiad Krzysztofa Stanowskiego z lewicowym poetą Jasiem Kapelą na youtube’owym Kanale Sportowym. Gdy w roku 2019 nakładem wydawnictwa Czerwone i Czarne ukazała się książka Kapeli „Warszawa wciąga”, media ustawiły się w kolejce, by ją recenzować i przeprowadzać z autorem wywiady. Te ostatnie zaś przeradzały się w swoiste akcje promocyjne narkotycznego life style’u.

Powyższe przebieżki z polskiego „życia wyższych sfer” można by mnożyć. Prowadzą one do swoistego jądra ciemności rodzimego high life’u, którego fragment pokazała nam sprawa „dilerów celebrytów” Cezarego P., skazanego za handel narkotykami, którą opisał w swojej książce Piotr Krysiak. Cezary P. miał przynajmniej 237 stałych klientów, a wśród nich znaleźli się syn byłego premiera, aktorzy, znane postacie mediów, wzięci muzycy. Filip W., były kandydat na posła z list PiS, ponoć niedoszły wice-minister sportu w rządzie Beaty Szydło – jedyna osoba, która przyznała się do uzależnienia i kontaktów handlowych z Cezarym P. – mówił, że sam wydał ok. 750 tys. zł na kokainę. W 2019 r. dawał także, że miał ok. 100 tys. zł długu wobec dilerów. Można zrozumieć, że dla takich ludzi zakazy związane z marihuaną są śmiechu warte.

Jacy ludzie byli klientami Cezarego P.? Jak mówił w jednym z wywiadów Piotr Krysiak – tacy, dla których wydanie 5 tys. zł w jeden wieczór nie stanowi problemu. Stać ich na narkotyki, stać na terapię odwykowe albo trwanie w nałogu. Rzeczywistość „niższych sfer”, które w narkotyzowaniu się zobaczają jakiś rodzaj szansy na aspirację do tych „wyższych”, przynajmniej w imprezowaniu, kończy się często – jak możemy przeczytać w tekście Piotra Filipczyka opublikowanym po wywiadzie Stanowskiego z Kapelą pt. „Dla ciebie nie ma ratunku, czyli co epają nasze dzieci” – śmiertelnym cyklem: ciąg – odwyk – szpital psychiatryczny – detoks – ciąg. W pewnym momencie ten cykl się urywa. Często na zawsze, w najgorszy możliwy sposób.

Kadr z „Mythic Quest”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wszysto gra



Piotr Gociek

„Mythic Quest” to najlepsza, obok „Teda Lasso”, komediowa produkcja Apple TV+. I niegłupi komentarz do naszych czasów

Jedna z najzabawniejszych scen w serialu komediowym „Mythic Quest” jest mocno nieoczywista i pewnie mało kto zwrócił na nią uwagę. Przedstawiciel kierownictwa firmy, która odniosła sukces wielce popularną sieciową grą RPG, negocjuje z programistami, którzy grożą strajkiem. Oferuje im rozmaite bajery, fontanny, wodotryski, maszyny do lodów i rozmaite inne atrakcje. Oni tymczasem odpowiadają, że chcieliby tylko dostać pieniądze za nadgodziny. Reszta – łącznie z gadką szmatką o wyjątkowości firmy – niespecjalnie ich interesuje.

Jakże szybko przeszliśmy tę drogę. Drogę do normalności. Były przecież czasy, gdy w „Grach wojennych” zwykła komputerowa rozgrywka w kółko i krzyżyk miała doprowadzić do wojny nuklearnej; czasy, gdy bohater filmu

„TRON” wessany został do wnętrza jednej z atrakcji stojących w zapomnianym salonie gier wideo. Zatem zestawienie: komputer i gra oferowały niebywałą grozę lub oszołomienie możliwościami nowego świata.

Jednocześnie pierwsze commodore’y 64, amigi czy wcześniej ZX Spectrum oferowały rozrywkę, co do której nasi rodzice byli przekonani, że jest idiotyczna i kompletnie dziecinna. Dziś ten świat zdaje się odległy jak przeszłość, w której po ulicach jeździły dorożki zamiast samochodów. Przez długi czas uważano powszechnie, że wszystko, co związane z grami komputerowymi, jest niedojrzałe, ogłupiające i stanowi chorobę wieku dojrzewania, jak pryszczę albo skłonność do głośnej muzyki wykonywanej przez niedomytych osobników z długimi włosami przesadnie podkreślających wzmacniacze. Ba, nawet sami miłośnicy pikselowych rozrywek uważali, że są członkami sekty wyjątkowo mało poważnej.

STARA ZABAWA W NOWYCH DEKORACJACH

Dzisiaj wielkie koncerty zarabiają miliardy na 40- i 50-latkach odpalających po pracy swoje ulubione gry na konsolach. Inne korporacje liczą krociowe zyski z gier mobilnych, które

znajdują się zarówno w smartfonach menedżerów, jak i gospodyń domowych. Budżety gier przebijają budżety niejednej hollywoodzkiej produkcji, a Internet podpowiada i podkreca (oraz pożera) wszystko.

„Mythic Quest” wyprodukowany na zlecenie Apple TV+ (drugi sezon właśnie wjechał do serwisu) to serial komediowy z dobrze znanego gatunku, który Amerykanie nazywają workplace comedy. Tyle że to stara zabawa w nowych dekoracjach: oglądamy bowiem siedzibę firmy, do której należy popularna internetowa gra typu MMORPG (massively multiplayer online role-playing game). Miliony użytkowników logują się do niej każdego dnia, by za pomocą awatarów przeżywać niezwykle przygody w świecie fantasy (rzecz wzorowana jest ewidentnie na fenomenie gry „World of Warcraft”), tymczasem w biurze firmy wszelkie przygody pozbawione są już magii. A to inwestorzy z Montrealu zadzwonią z pretensjami, że dochody spadają, a to szefowa działu HR łązi po firmie z nudnymi ankietami do wypełnienia, a to specjalistka od PR przyjdzie zawracać głowę jakimiś wydumanymi pretensjami z korespondencji od klientów. Nudy, panie, nudy.

Szef tego całego biznesu, Ian Grimm (w tej roli Rob McElhenney, który jest tak-



Kadr z filmu „Ted Lasso” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

że pomysłodawcą serialu), także nie przypomina w niczym wielkich herosów złotej ery komputerów. To już nie figura w typie Billa Gatesa czy Steve'a Jobsa, nawet nie nerdowaty studenciak, jakim był Mark Zuckerberg. Ot, w miarę utalentowany gość z Kalifornii, który miał w życiu jeden dobry pomysł i na tyle dużo szczęścia, że udało mu się stworzyć niewielką firmę, której los zresztą – mimo sukcesu – wciąż wisi na włosku. Rynek jest przecież bezlitosny, a fani nieustannie pragną czegoś nowego. Seria negatywnych komentarzy jakiegoś dzieciaka prowadzącego popularny kanał na YouTube może zatopić „Mythic Quest” na zawsze.

To już nawet nie nowa normalność, to po prostu normalność – pewne zmiany trudno zauważyć, gdy żyje się w ich rytmie. To, co ćwierć wieku temu było nowinką lub wydawało się ekscentryczne, teraz jest oczywistością. Prawdę mówiąc, trzeba się mocno od tego wszystkiego odsunąć, by uzmysłowić sobie, że staliśmy się świadkami, użytkownikami i przedmiotem rewolucji. Nie zauważyliśmy tego, bo była rozciągnięta w czasie. Bo rzeczywiste zmiany odbiegały od kolorowych wizji z powieści cyberpunkowych („Neuromancer”) czy filmów w stylu „Kosiarza umysłów”. Gotowani pomalutku, pływaliliśmy w garnku, nie odczuwając, że temperatura rośnie. Teraz osiąga temperaturę wrzątku, a dla nas to oczywiste.

REALIA NOWEJ FABRYKI SNÓW

Chociaż technologiczna rewolucja, w której sercu są komputery i Internet, przyniosła nam nowe rozrywki – i nowe możliwości konsumowania rozrywek starych – to sama popkultura rzadko trafnie ukazywała kulisy owej rewolucji. Wspaniałą opowieścią o narodzinach epoki komputerów osobistych jest mało znany w Polsce serial „Halt and Catch Fire”. Realia nowej fabryki snów – oraz gier, aplikacji i wszelkich rzeczy cyfrowych – czyli Doliny Krzemowej – ładnie w komediowej formie ukazał serial pod takim właśnie tytułem wyprodukowa-

ny przez HBO. Paranoiczny „Mr. Robot” ukazywał ciemną stronę wszechobecnej inwigilacji i potencjał cyfrowej manipulacji, zaglądając jednocześnie do świata hakerów. Mieliśmy też oczywiście portrety liderów zmiany technologicznej (filmy o Stevie Jobsie) oraz społecznej („The Social Network” o Marku Zuckerbergu i powstaniu Facebooka). Omijam przy tym filmy i serie dokumentalne.

Ciekawą ewolucję przeszły odnotowujące technologiczną zmianę serie komediowe. Brytyjski „The IT Crowd” (u nas znany jako „Technicy-magicy”) pokpiwał z tego, jak głęboka jest niewiedza na temat technologii u użytkowników, ale także pokazywał personel działu IT jako nielichych świrów. „The Big Bang Theory” (u nas „Teoria wielkiego podrywu”) żartował z nerdów, ale jednocześnie ich rehabilitował: jego bohaterowie to utalentowani naukowcy, choć zarazem trochę duże dzieci. A ich rozrywki to gry karciane i planszowe, gry komputerowe, serie science fiction oraz komiksy. Czytają także zapamiętałe powieści o Harrym Potterze – ale zarazem najtrudniejsze publikacje naukowe to dla nich lektura lekka, łatwa i przyjemna.

WAŻNY PRZEŁOM

Serial „Mythic Quest” przynosi nam domknięcie tej zmiany: zwyczajni, często niespecjalnie ciekawi ludzie chodzą każdego dnia do normalnego biura, żeby zaspokajać jedną z codziennych potrzeb innych zwyczajnych ludzi. Murarz domy buduje, piekarz piecze chleb, a pracownicy Iana Grimma sklejają linijki kodu, żeby wieczorem zmęczony everyman mógł w wirtualnym świecie pomachać mieczem. Rewolucja nie tylko dobiegła końca – ona nawet jest już nieco nużąca.

Wszystko to jednocześnie sprawia, że „Mythic Quest” jest dobrą zabawą. Komedia potrzebuje postaci pełnych słabości i całą kolekcję takich dostajemy. Ozdobą obsady jest zdobywca Oscara za rolę Salieriego w „Amadeuszu”, czyli F. Murray Abraham, aktor, który sam o sobie mówi, że pewne przesada i bufonada to cechy

charakterystyczne jego stylu. Wciela się w rolę emerytowanego pisarza science fiction C.W. Longbottoma, który został zatrudniony przez Grimma do wymyślania fabuł na potrzeby gry.

Longbottom jakimś cudem (jakim – dowiecie się w drugim sezonie) zdobył kiedyś prestiżową nagrodę, ale nigdy już nie udało mu się powtórzyć wydawniczego i literackiego sukcesu. Co nie przeszkadza mu w byciu nieznośnym pyszałkiem – Abraham gra go perfekcyjnie. Ale nie jest to postać jednowymiarowa. Oto kolejny znak zmiany: w „Mythic Quest” nawet pogardzani pisarze science fiction mają dusze, osobowości i ciekawą przeszłość. Jednym z najlepszych odcinków serialu jest opowieść o młodości Longbottoma, kiedy to nie tylko stawia pierwsze kroki jako pisarz i przeżywa pierwsze miłosne zauroczenie, lecz także poznaje (w pewnym sensie) takie sławy jak Isaac Asimov, Ray Bradbury i Ursula K. Le Guin.

Jest dla mnie „Mythic Quest” najlepszą komediową produkcją Apple TV obok świetnego „Teda Lasso”. I jednocześnie ciekawym przykładem opowieści o tym, jak to, co kiedyś podrzędne, niepoważne, campowe, stało się dziś istotne, normalne, mainstreamowe. Jednocześnie bardzo zaciekał mnie nietypowo przedstawiony wątek lesbijskiej pary komputerowych testerek: nie dość, że delikatny, to inteligentnie obszmiany. Czyżby już było można?

Nie, nikt tu nie szydzi z cudzych seksualnych preferencji, dochodzi jednak do innego ważnego przełomu. W jednej z kluczowych scen drugiego sezonu szef firmy, Ian Grimm, zmęczony narzekaniem swej podwładnej, która nieustannie opowiada o tym, że jest ofiarą opresji, nietolerancji i że nie może rozwinąć skrzydeł, mówi do niej: „Powiedz tylko, czego chcesz w mojej firmie, a ja po prostu spełnię twoje życzenie”. Domorosła lesbijska aktywistka milknie i nie ma nic do powiedzenia. Wcześniej w serialu pojawia się inna znacząca scena: Jo i Rachel postanawiają ujawnić w biurze, że są parą. Przychodzą więc do pracy w bojowym nastroju, żeby zmagać się z oczekiwaną falą nietolerancji i niechęci. Po ogłoszeniu swojej rewelacji odkrywają, że ich preferencje po prostu nikogo nie interesują, bo to ich prywatna sprawa. Prywatna, powtórzę. Tak właśnie być powinno. Nie tylko w serialach.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Bez przebaczenia

KINO

świat” młodego Bondarczuka według Strugackich). Uroczy i bezlitosny, charyzmatyczny i psychopatyczny, pasuje do roli doskonale. Z kolei żonę Hutcha Mansella, kilerka zamienionego w księgowego, a potem ponownie w zabójcę, gra duńska gwiazda Connie Nielsen. Na drugim planie show kradnie Christopher Lloyd, którego pamiętamy jako szalonego naukowca z trylogii „Powrót do przyszłości”.

„Nikt” zaczyna się jak kino zemsty w stylu lat 70., ale tylko przez kilka chwil sugeruje, że może to być opowieść o zwykłym obywatelu biorącym sprawiedliwość w swoje ręce. Potem film szybko zamienia się w czysto rozrywkową, pełną adrenaliny fantazję, którą docenią zwolennicy tego typu bezpretensjonalnej rozrywki. Jeśli już doszukiwać się przesłania, to jest prościutkie: rodzina musi trzymać się razem, Amerykanie zawsze dokopią Ruskim, Ruskie to dranie, a Bob Odenkirk to bardzo dobry aktor. ©©

Bob Odenkirk dołączył do Liama Neesona czy Seana Penna, którzy odkryli w sobie żyłkę bohaterów kina akcji już po pięćdziesiątce. „Nikt” to film autorstwa Ilii Naishullera, który debiutował energetycznym „Hardcore Henrym” (2015). Scenariusz napisał zaś Derek Kolstad, którego „John Wick” rozrósł się do sporej serii (powstały już trzy filmy, dwa kolejne w planach).

I to właśnie duch „Johna Wicka” unosi się nad filmem „Nikt”. Najważniejsze są precyzyjnie ułożone sceny walk, z których przynajmniej jedna – starcie Odenkirka z chuliganami w autobusie – przejdzie do historii jako majstersztyk gatunku. Cała historia opowiedziana jest zresztą bardzo zręcznie

– na tyle zręcznie, że nie zwracamy uwagi na jej absurdalność. Hutch Mansell (Odenkirk właśnie), spokojny księgowy z przedmieścia, nie skrzywdziłby muchy. Ręki nie podniesie nawet na włamywaczy robiących mu w domu kłopoty. Dzieci uważają go za miększono, żona od dawna z nim nie sypia. Gdy nadejdzie chwila próby, okaże się jednak, że z Hutchem lepiej nie zaczynać (z powodów mało oryginalnych – jego tajemnej przeszłości). Cała rodzina okaże się zresztą bardzo nietypowa.

Głównego łotra gra utalentowany rosyjski aktor Aleksey Serebryakov, który świetnie daje sobie radę i w kinie artystycznym („Lewiatan” Zwiagincewa), i w rozrywkowym (choćby „Przenicowany



★★★★★
REŻ. ILYA
NAISHULLER
„NIKT”
(„NOBODY”)
USA 2021

wyst. Bob
Odenkirk, Aleksey
Serebryakov, Connie
Nielsen



NOWE SERIALE: „BIAŁY LOTOS”

Nowy serial komediowy autora świetnej serii „Iluminacja” z Laurą Dern (także wyprodukowanej dla HBO). Mike White ma również w dorobku ciekawe scenariusze kinowe: m.in. „Nacho Libre” czy „Szkoła rocka”, a ostatnio także disneyowski „Jedyny prawdziwy Ivan”. White pisze inteligentnie, zabawnie i zgrzyliwie.

W „Białym lotosie” trafiamy do luksusowego kurortu wakacyjnego na Hawajach, by obserwować perypetie grupy gości hotelowych przybyłych na tygodniowy turnus oraz pracowników zatrudnionych ku ich wygódzie. ©©

Piotr Gociek

• reż. Mike White „Biały lotos” („The White Lotus”), USA 2021, HBO GO

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Ridley Jones: Strażniczka muzeum” („Ridley Jones”), USA 2021, animowany
- „Nad Niemnem”, Polska
- reż. Eiichirō Hasumi „Resident Evil: Wieczny mrok” („Resident Evil: Infinite Darkness”), Japonia 2021



Taki jest sport



To nie tak miało być. Sieć HBO zamówiła laurkę dla wielokrotnej mistrzyni MMA, katoliczki i patriotki, twardej jak stal z Huty Łabędy. Pech chciał, że film zaczęto kręcić, gdy zwycięska passa Joanny Jędrzejczyk dobiegała końca. Co prawda, maltretowana kobieta budzi większą sympatię niż maltretująca, jednak widać, że Tom Koliński et consortes nie byli na taki obrót spraw przygotowani. Wo-jownicza z Olszyna chciała zawiesić rękawice na kołku już w 2017 r., lecz apetyt rośnie w miarę jedzenia. Prze-praszam, w domu powieszzonego nie powinno się mówić o sznurze. W boksie sukces w dużej mierze zależy wszak od stosowania drakońskiej diety i skutecznego zbijania wagi.



★★★★★
REŻ. TOM KOLIŃSKI
„NIEZWYCIĘŻONA” („INVINCIBLE”)
POLSKA/ SZWAJCARIA 2021

Chcąc spełnić oczekiwania kibiców i sponsorów, Joanna katowała swe ciało, ale nie ono ją zawiodło. Co takiego zaszło w życiu bohaterki, że straciła odporność psychiczną, spadła ze szczytu i nie zdołała już nań powrócić? Jesteśmy skazani na domyśły, gdyż twórcy dokumentu nie popisują się szczególną wnikliwością. Wolą poprzestać na oklepianych formułkach i nieśmiałyach sugestiach. Zaszko-dziła jej zmiana ekipy trenerskiej i przeprowadzka na Florydę, a może zgrzeszyła nadmierną wrażliwością? Więcej dowiedziałem się o Jędrzejczyk z Wikipedii niż z tego filmu. Przyszłością sportu są gladiatorzy i nic się na to nie poradzi.

© © **Wiesław Chełminiak**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZEW KRWI

KINO



★★★★★
REŻ. MAIWENN
„DNA” („ADN”)
FRANCJA 2020

Śmierć patriarchy spada jak grom z jasnego nieba na skłóconą rodzinę. Spory zaczynają się, zanim zwłoki zdążą wystygnać. Karton czy trumna? A jeśli trumna, to z sosny czy z dębu? Czy zaprosić kogoś z meczetu? Dziadek co prawda był komunistą, lecz zdarzało mu się nucić wersety Koranu. Sfrancuziałem potomkom Emira Algieria kojarzy się co najwyżej z miętową herbatą, jednak każda okazja jest dobra, by skoczyć sobie do oczu. Antypatyczny zięć głosował na panią Le Pen i nie zamierza tego dłużej ukrywać. Opowieść o przeżywaniu żałoby dryfuje w stronę tożsamościowej psychodramy. Urna z prochami, zamiast na cmentarz trafia do mieszkania Neige, która chce być dumna z afrykańskich korzeni. Szczera fascynacja czy rodzinna wendeta? Temat wcale nie taki niszowy, lecz realizacja zgrzebna, zaś improwizowane dialogi ranią uszy. Ktoś mógłby wytłumaczyć madame Maiwenn, że prawdziwy artyzm na czymś innym polega?

wyst. Maiwenn, Fanny Ardant, Louis Garrel

BYŁE DO SYLWESTRA

KINO



★★★★★
REŻ. SANDRA KOGUT
„ŚWIĘTA, ŚWIĘTA I PO ŚWIĘTACH” („TRÊS VERÕES”)
BRAZYLIA/ FRANCJA 2019

Madá – jak na Łatynoskę przystało – jest kobietą obdarzoną tysiącem talentów. Jednym z nich jest oprowadzanie wycieczek. Pokazuje turystom, które rezydencje są opuszczone, bo ich właściciele siedzą w więzieniu, w których tli się życie, gdyż wobec posiadaczy zastosowano areszt domowy, a którym ruina nie zagraża. Jej pracodawca również okazał się aferzystą. Jako były majordomus Madá czuje się odpowiedzialna za przyszłość swych podwładnych, albowiem pan Edgar przed aresztowaniem nie zdążył wypłacić należnych pensji. Dziwnym trafem zmiany w życiu bohaterów dokonują się zawsze w okresie świąt Bożego Narodzenia. Dla Brazylijczyków, potrafiących śmiać się z sytuacji, w której znalazł się ich kraj, film Sandry Kogut jest zapewne seansem terapeutycznym. Dla patrzących z boku to aktorski benefis Reginy Casé, która całkowicie wypełnia sobą ekran.

wyst. Regina Casé, Rogério Fróes, Ottávio Müller

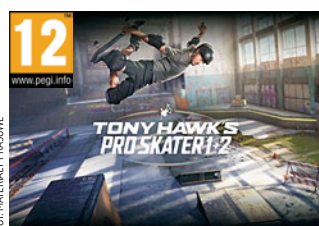
recenzuje **Wiesław Chełminiak**

GRA TYGODNIA: „TONY HAWK'S PRO SKATER 1+2”

Nie chciałbym wyjść na boomer, ale doprawdy trudno uciec od wspomnień, gdy w 2021 r. na handheldzie odpala się grę, w którą w 2000 r. zagrywało się na zajmującym pół biurka zestawie Big Tower + CRT. Banalnych przemysłów może nasunąć się kilka. Tak – czas szybko leci, tak – technika „poszła

do przodu”, tak – zestarzałem się, kiedyś palce zręcznie wykręcały niesamowite tricki. Chociaż chyba jednak nie zestarzałem się aż tak bardzo, bo zremasterowane pierwsze dwie części THPS w wersji na Switcha bawią mnie tak samo jak oryginały przed laty i remaster na „duże” konsole

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



wypuszczony w ubiegłym roku. Najlepsza decha i jedna z najlepszych gier sportowych na Switcha w ogóle. Świetna robota! © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** Sportowa
• **Platforma:** NS
• **Producent, dystrybutor:** Vicarious Visions, Activision

MOJA PÓŁKA

Piłkarski portret trumienny

KRZYSZTOF
MAŚŁOŃ

Nie mogła się ta powieść ukazać w lepszym czasie niż właśnie teraz, gdy po potężnej dawce futbolu zastanawiamy się, czy przypadkiem nie zamieniliśmy sobie głów z piłkami, i powoli powracamy do rzeczywistości, w której – co jeszcze niedawno wydawało się niewiarygodne – dzieją się ważniejsze rzeczy od bramek uznanych i nieuznanych przez sędziów, faulów taktycznych i wynikających z głupoty, złośliwości czy braku umiejętności kopania lewą lub prawą nogą, wreszcie, co nie ulega kwestii, przekleństwa ciężącego nad naszą reprezentacją.

Na piłkę nożną, przede wszystkim polską, ale nie wyłącznie, możemy spojrzeć oczyma tytułowego bohatera książki, kogoś takiego jak CR7 czy RL9, czyli, niech będzie, że Magdalena Pucha (takie jest imię i nazwisko kopacza – Magdalen Puch), byłego futbolisty Kaczanówki Znojnica, następnie Pilicy Radomsko, Nieuległej Wierszawa, a w końcu – pomarzyć rzecz piękna – sławnej FC Barrony. I oczywiście, reprezentacji Polski, w której grał obok Prawandowskiego, Turbocenta, Błyszczukowskiego, Łapiana, Blika, a także Doszczętnego i Zgrychy. Poznał złe i dobre strony trenerów Nawałnicy i Karo, jak również prezesów Gniewosza Jera i Dobrogniewa Botaka.

W „MP4” pojawiają się i takie postaci, jak Wiśław Męcina, który „wyglądał jak skrzyżowanie eksponatu z muzeum socrealizmu w Kozłówce z sarmackim portretem trumiennym”. Niech jednak nikogo nie zmyli anegdotyczna wersja powieści Mariusza Soleckiego, autora ważnych książek historycznych i historycznoliterackich. To bynajmniej nie jest nowa wersja „piłkarskiego pokera”, lecz opowieść o piłce nożnej z na-



FOT. WYDANICTWO LTW

szych dziecięcych snów i marzeń, nietkniętej chamstwem, korupcją, oszustwem, wielkimi pieniędzmi nieprzystającymi do boiskowej bylejakości.

Bohater „MP4” widzi więcej niż inni, jemu „światło bramki – jak pisał Tadeusz Różewicz – nie zastąpiło światła wiekiustego”, gra świetnie, bo piłka jest jego pasją i namiętnością, ale w zjawiskach towarzyszących futbolowi postrzega drugie dno. „Przykładowo pierwszego sierpnia – czytamy – w okrugłą rocznicę warszawskiego ludobójstwa, przypomnieli światu, że nasi sąsiedzi, zanim przemienili się w nieporadnych Turklandczyków, byli lojalnymi obywatelami Trzeciego Imperium. Turklandczykom bardzo nie spodobało się przypomnienie ich dziedzictwa historycznego z przełomu sierpnia/września 944 roku, mającego wszelkie znamiona zbrodni przeciwko ludzkości; przypominanie poprzez wywieszenie na Rozecie wielkoformato-

wego płótna, przedstawiającego oficera z kryminalnej SS w trakcie wykonywania czułego gestu przystawiania lufy Walthera do skroni przerażonego chłopczyka. Nie wiedzieć czemu, międzynarodówka piłkarska bezwzględnie tępiła takie stadionowe akcje, służące głoszeniu prawdy, zasłaniając się paragrafem o promowaniu futbolu wolnego od ideologii. Taż sama międzynarodówka piłkarska, rozpinająca parasol ochronny nad dzieciobójcami, rzekomo dbająca o to, żeby sport zawierał 100 proc. sportu – i żadnej innej domieszki – zezwalała na rozgrywanie meczów w tęczowych kostiumach (szkoda, że nie w brunatnych – byłoby bardziej męsko)”.

Nie kto inny jak kibice potrafiłi upomnieć się i upamiętnić żołnierzy wyklętych, „Inkę” Siedzikównę, Witolda Pileckiego i innych polskich bohaterów, wskazywać palcem zbrodniarzy w sowieckich, niemieckich, ale i rzekomo polskich mundurach, wykrzyczeć słowa prawdy zarówno o bezmyślnych politykach, jak i „przyspawanych do stołków” działaczach sportowych. Tych „artystów trybun” nikt za to nie nagradzał, trwają jednak „w archiwum wspomnień kibicowskiej braci” i mają „satysfakcję nad satysfakcjami, że zachowali się, jak trzeba”.

A mnie dodatkową przyjemność sprawił Mariusz Solecki zacytowaniem zapomnianego Adolfa Rudnickiego, wprawdzie autora fatalnego „Majora Huberta z armii Andersa”, ale i kilku przynajmniej więcej niż dobrych nowel, a i wciąż świetnie się czytających felietonów sportowych. W jednym z nich napisał: „Podobnie jak geniusz filmu, geniusz piłki posiada naturę wędrującą. Dziwne jest tylko to, że przy swej wędrującej naturze żaden z nich nie może trafić do nas”. ©



★★★★★
MARIUSZ SOLECKI
„MP4. OPOWIEŚĆ PIŁKARSKA”
LTW, ŁOMIAŃKI
2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dusza ukryta

Pisał Murakami tę książkę trochę ze wstydu, że tak długo nie zajmował się sprawami własnego kraju. Pisał bardzo długo, poprawiał, negocjował, cyzelował, czasem wycinał, bo życzyli sobie tego bohaterowie. Praca ostatecznie zajęła lata i przyniosła dwa potężne tomy, z których później powstała wersja skrócona na potrzeby rynku anglojęzycznego. I ta właśnie wersja pojawia się w Polsce zatytułowana „Podziemie. Największy zamach w Tokio”.

20 marca 1995 r. członkowie sekty Aum Najwyższa Prawda dokonali w tokijskim metrze zamachu terrorystycznego z użyciem bojowego gazu sarin. Ucierpiało ponad 5 tys. osób; 12 zginęło. „Pragnąłem dogłębnie zbadać, jak społeczeństwo japońskie mogło się dopuścić tego rodzaju podwójnej przemocy” – pisze w przedmowie Murakami. Dlaczego podwójnej? Bo tragiczne skutki zamachu wykrywały dalece poza liczbę hospitalizacji. Ci, którzy ocaleli, stali się najpierw ofiarami wtórnej wiktylizacji: wyśmiewani, pogardzani, wytykani palcami. Potem ofiarami zapomnienia i odrzucenia, pozostawieni sam na sam z traumą.

Tytuł „Podziemie” nie odnosi się do labiryntów metra, lecz do Japonii i społeczeństwa japońskiego, do tego, co ukryte za fasadą uśmiechów

i grzecznościowych ukłonów. Murakami eksploruje nieznane w sposób najprostszy: w pierwszym tomie (w polskiej edycji – w pierwszej części) przeprowadza wywiady z ocalałymi. W drugim oddaje głos sprawcom: członkom sekty Aum. W pierwszej części głównie słucha, w drugiej pozwala sobie na polemikę, ale nigdy osoba autora/słuchacza nie przesłania tego, co mówią ci tak różni świadkowie.

Wszystko to układa się w niewesołą całość. Japonia okazuje się krajem skamieniałej formy, krajem, który nie oferuje dróg awansu, ścieżek rozwoju, duchowego przebudzenia. Opowieści ofiar są poruszającym dokumentem życia codziennego i znajdziecie w nich więcej cennych informacji o współczesnej Japonii niż w jakimkolwiek reportażu. Opowieści sprawców nie różnią się od wyznań urodzonych na Zachodzie młokosów, których wciągnęli w terror radykalni imamowie: oto ktoś zaoferował im coś w miejsce pustki.

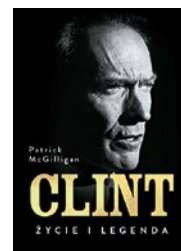


★★★★★
HARUKI MURAKAMI
„PODZIEMIE. NAJWIĘKSZY ZAMACH W TOKIO”
CZARNE 2021

Przyjrzawszy się przywódcom sekty, Murakami odkrywa, że niczym ojcowie bolszewickiej rewolucji zwrócili się ku przemocy nie dlatego, że należeli do elity, ale właśnie dlatego, że do niej należeli. Wstrząśnięty pisarz apelował do rządu o szczegółowe badania i powołanie specjalnej komisji. Nikt nie odpowiedział na ten apel. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerna biografia legendarnego aktora i znakomitego reżysera, człowieka, który przez pół wieku na rozmaite sposoby odcisnął swe piętno na filmach z Hollywood (nie zapominajmy i o spaghetti westernach). Plus ilustracje.



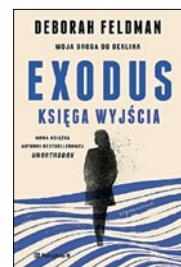
PATRICK MCGILLIGAN
„CLINT. ŻYCIE I LEGENDA”
ZNAK

Nieznana dotąd praca jednego z pilotów Dywizjonu 302 i słynnego Cyrku Skalskiego. „Polscy myśliwcy 1939–1945” – głosi podtytuł. „Razem lataлиśmy, razem zwyciężaliśmy i razem boleliśmy nad stratami” – pisał autor we wstępie.



WACŁAW KRÓL
„LOTY KU ZWYCIĘSTWU”
FRONDA

Ciąg dalszy bestsellerowej powieści „Unorthodox” (znamy też wersję serialową Netflixu). Autorka porzuca świat ortodoksyjnych Żydów z Brooklynu i rusza do Europy, by odkryć swoje korzenie. Przez ten czas ciągle uczy się życia na nowo.



DEBORAH FELDMAN
„EXODUS: KSIĘGA WYJŚCIA”
PORADNIA K

Zdaniem znanego astronoma z Harvardu obiekt ochrzczony Oumuamua, który niedawno przemknął przez Układ Słoneczny, był dziełem obcej cywilizacji. Jakie niesie to konsekwencje i dlaczego tak trudno w to uwierzyć?

poleca Piotr Gociek

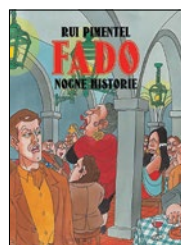


AVI LOEB
„POZAZIEMSKIE”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

„FADO. NOCNE HISTORIE”

Kto zabija wyróżniające się artystki fado, gwiazdy nocnej sceny Lizbony? Kim jest tajemniczy (i przystojny) śpiewak, który błyskawicznie pnie się w górę, i dlaczego nieustannie powraca do tego samego, niezbyt popularnego lokalu? Zaskakująca portugalska opowieść kryminalna z domieszką czarnego humoru, imponująca odważną warstwą



RUI PIMENTEL
„FADO. NOCNE HISTORIE”
TIMOF COMICS 2021

graficzną. A jako że w centrum znajduje się tu – prócz serii morderstw – muzyka fado, to zgodnie z naturą tego gatunku rzecz jest ekspresyjna, melodramatyczna i nostalgiczna. ©©

poleca Piotr Gociek



FOT. MATERIAŁY PROMOCYJNE

– Chyba gdzieś po drugiej płycie porzuciliśmy wizję zrobienia wielkiej kariery i pogodiliśmy się z niszowością naszej muzyki. Dlatego tę płytę nagrywaliśmy na luzie i wszystko poszło jak z płatka – mówił w Czwórcie Bartosz Chmielewski z Muzyki Końca Lata o najnowszym albumie zespołu – „Prywatny Ciechocinek”. W rozpoczynającej album „Nie napiszę już

piosenki” śpiewa: „Nie napiszę już piosenki / Pomyślałem tuż przed snem / Tyle jest muzyki / Nie ma komu słuchać jej [...] Można już odetchnąć”. Najnowszy album świętujący niebawem 20-lecie działalności grupy jest „hymnem na cześć życia, zachętą do bycia po swojemu, do zadbania o siebie i swoje granice”. Jest to hymn melodyjny, wpadający w ucho, ale „zebrane na

płycie piosenki, choć brzmią lekko, musująco i słonecznie – czytamy w opisie płyty – korzeniami sięgają trudnych uczuć: bólu po rozstaniu, niemocy twórczej, napadów nerwicy, toksycznych relacji w pracy, samotności i wypalenia”. Album jest „uniwersalną opowieścią o człowieku, który w obliczu licznych kryzysów próbuje znaleźć w sobie siłę do przejścia przez nie”.

Muzykę Końca Lata powołał do życia w 2002 r. w Mińsku Mazowieckim wokalista i gitarzysta Bartosz Chmielewski. Na początku jako projekt solowy, ale z czasem dołączali kolejni muzycy („Marcina Biernata poznałem podczas koncertu w remizie w Mrozach, gdzie grał w zespole Musztarda Saperska” – opowiadał w jednym z wywiadów założyciel MKL). Dziś w składzie oprócz założyciela są także: wokalistka Ola Bilińska, Marcin Biernat (gitarza, wokal), Piotr Majczyk (bas) i Arkus na perkusji. Dyskografia zafascynowanej polską muzyką rockową i bigbitową, odwołującej się w swojej twórczości do lat 60. i 90. MKL to oprócz „Prywatnego Ciechocinka”: „Jedno wesele, dwa pogrzeby” (2006), „2:1 dla dziewczyn” (2007), „PKP Anielina” (2011), „Szlagiery” (2012), „Złoty krążek” (2017). ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Hołd

Ta płyta nie podlega ocenie. Zawiera zapis koncertu sprzed 10 lat, który odbył się w hołdzie dla przedwcześnie zmarłego, wspaniałego człowieka i wybitnego perkusisty.

Piotr „Stopa” Żyżelewicz nigdy nie aspirował do bycia liderem, a jednocześnie wielu liderów chciało go mieć w swoich zespołach. Dzięki temu wziął udział w nagraniu tak przełomowych dla polskiego rocka płyt, jak: „1991” Izraela, „Legenda” Armii, „Łobi Jabi” Voo Voo czy „Cosmopolis” Brygady Kryzys. Przed śmiercią występował w aż trzech zespołach (Voo Voo, Izrael i 2Tm2,3).

6 czerwca 2011 r. w klubie Stodoła w Warszawie odbył się koncert pamięci Stopy. Wystąpili

m.in. zespoły: Zakopower, Brygada Kryzys, Armia, 2Tm2,3, Maleo Reggae Rockers, Abradab, Kim Nowak, Kazik na Żywo, Voo Voo, Karimski Club oraz Adam Nowak i Jozsko Broda. Wzruszającym momentem koncertu było pojawienie się na scenie Katarzyny Żyżelewicz (żony Piotra), która z Katarzyną Nosowską i Mama-dou Dioufem zaśpiewała „Nim stanie się tak, jak gdyby nigdy nic”. W finale mezzosopranistka Małgorzata Walewska w otoczeniu 18 muzyków przejmująco wykonała „Requiem Amicum”.

Piotr zmarł w wieku 46 lat na skutek wylewu, który zaskoczył go podczas jazdy na rowerze. Dochód ze sprzedaży albumu zostanie przekazany na rzecz rodziny perkusisty. ©©



★★★★★
RÓŻNI
WYKONAWCY
„KONCERT DLA
STOPY 2011”
ART2



★★★★★
BOBBY GILLESPIE/
JEHNNI BETH
„UTOPIAN ASHES”
THIRD MAN

Lider Primal Scream

i liderka Savages nagrali płytę z chwytającymi za serce duetami. Gillespie opowiada o rozpadającym się małżeństwie, a Beth wtóruje mu chłodnymi harmoniami. Kontrast między ich głosami uwypukla różnice dzielące męża i żonę. Album o rozstaniu, który brzmi szczęśliwie.



★★★★★
KOMAN BAND
„SŁONECZNA”
GAD

Ambitne dzieło
Janusza Komana do

baletu, który nigdy nie został wystawiony. Materiał nagrany przez orkiestrę Henryka Debicha czekał na wydanie 42 lata. Potężne smyki zderzają się z funkującym Koman Bandem i w ten sposób tworzą nastroje od lirycznych do mocno burzliwych. ©©

Niedługo stuknie 27 lat, odkąd na telewizorach w Polsce pokazał się pierwszy odcinek serialu wszech czasów, czyli „The Bold and the Beautiful”, wyświetlanego u nas jako „Moda na sukces”. Przez długie lata ta całkowicie odklejona od rzeczywistości i prawdopodobieństwa opera mydlana biła rekordy oglądalności i paniom w wieku postbalzakowskim do dziś rozświetlają się oczy na sam dźwięk nazwiska Forresterów, bohaterów tej bredni nadawanej zazwyczaj ok. godz. 16 w telewizyjnej Jedynce.



„Moda na sukces” złote lata ma już dawno za sobą. FOT. SONJA FLEMMING/CBS



Krzysztof Masłoń

Kochani seniorzy!

„Żena za pulcem”. Nie mogę już doczekać się chwili, gdy w którejś z rywalizujących ze sobą stacji (o mniej więcej 0,3 proc. rynku telewizyjnego) wyświetlonych zostanie 12 odcinków przygód Ottona von Stirlitza, którego w serialu „Siemnadcat” mgnowieniem wiesny” brawurowo zagrał Wacław Tichonow. Były czasy! A i NRD-owski „Telefon 110” (w sumie lepszy niż współczesne niemieckie seriale, głównie komediowe, co samo w sobie brzmi upiornie, pokazywane w Romance TV) wskazane byłoby odkurzyć, a w ramach rewitalizacji naszej historii najnowszej przypomnieć zasłużony krajowy „Podziemny front”.

Cieszymy się na razie tym, co już mamy. Bo jak się nie emocjonować perypetiami

klanu Forresterów, swego czasu podgryzanego przez rywalizujący z jego biznesem dom mody Spectra Fashions. Sterowała nim niezapomniana Sally Spectra, rudowłosa i ekscentryczna. Dla mnie jednak aż nadto i gdy scenarzyści kazali jej urodzić dziecko w babcinym wieku, uznałem, że tego już za wiele, i poświęciłem tej postaci pewien gazetowy felieton, po którym zganił mnie sam Jan Tadeusz Stanisławski, wielki fan całej tej bzdury, a powody swojego uwielbienia dla Sally, Stephanie, Brooke, Ridge’a, Erica, Thorne’a i reszty tej aktorskiej czeredy wyjaśnił mi przy okazji. Otóż, jego zdaniem „Moda na sukces” z racji nieliczenia się z jakimikolwiek realiami, opowiadania o wymyślnym

świecie bogaczy, którzy nie mają innych zmartwień jak tylko zakochiwanie się i odkochiwanie, w takim kraju jak Polska, podnoszącym się ze ścierniska komunistycznej zapaści, odgrywa rolę terapeutyczną. Coś na zasadzie Golcowej piosenki o ściernisku, na miejscu którego urośnie nowe San Francisco. Przyjąłem do wiadomości argumentację sławnego profesora mniemanologii stosowanej, ale skłamałbym, mówiąc, że mnie przekonał.

Darlene Conley grającej Sally zmarło się w roku 2007, ku swojemu zdumieniu stwierdziłem zaś, że serialowa Brooke Logan, czyli Katherine Kelly Lang, nie ma jeszcze 60 lat. A przecież jeśli dobrze się doliczyłem, wychodziła już w „Modzie na sukces” za mąż 22 razy, w tym równo połowę, czyli 11 razy, za Ridge’a Forrester.

Do czasu związku uczuciowego przedstawiane w tej soap operze były wyłącznie heteroseksualne, później jednak, zgodnie z obowiązującymi trendami, zaistniały w niej lesbijki, a nawet osobnik (osobniczka) transpłciowy. Czy wpłynęło to na zmniejszenie popularności „Mody na sukces”? Trudno orzec, ale złote lata serial ma już dawno za sobą.

W każdym razie seniorzy powinni być usatysfakcjonowani. Trudno bowiem przypuszczać, żeby raptem odnaleźli w sobie podobnie gorące uczucia do bohaterów uporczywie lansowanych w telewizji publicznej tasiemców tureckich i rosyjskich, nawet mających tak efektowne zwiastuny jak „Kozacka miłość”.

Zatem, kochani seniorzy, przed telewizory! Przeżyjmy to jeszcze raz i jeszcze mnogo, mnogo raz. A potem paciorek, rączki na kołdrę i lulu. Jutro czeka was kolejny odcinek ulubionego serialu. ©©

Antena, a jakże, HD kusi również potencjalnych odbiorców takimi serialowymi atrakcjami, jak pocziwa „Bonanza” i rodzima „Święta wojna” z Bercikiem i Andzią, dziwnie nie lubiana na Śląsku, gdzie saga rodu Cartwrightów, sądząc po programie TVS, podoba się tak samo jak w innych częściach naszego pięknego kraju.

Seniorzy też ostrzą sobie protezy na propozycje innego startującego właśnie kanału Red TopTV, gdzie poza sławną „Niewolnicą Isaurą” zapowiadane są takie evergreeny ery niedorozwiniętego socjalizmu jak czechosłowackie „Nemocnice na kraji mesta” czy



Łukasz Warzecha

Po powrocie Donalda Tuska na stanowisko szefa Platformy Obywatelskiej plan dużych graczy stał się natychmiast czytelny: dążyć do przywrócenia sytuacji sprzed mniej więcej dekady, gdy nie istniał żaden alternatywny wybór. Były dwa obozy i trzeba się było zapisać do jednego albo do drugiego

Nie zmieniło tego powstanie Nowoczesnej Ryszarda Petru, która po raz pierwszy weszła do Sejmu w poprzedniej kadencji, ale relatywnie szybko okazała się tylko przybudówką do PO i ostatecznie została przez nią wchłonięta. Jednak IX kadencja Sejmu to już co innego. Po pierwsze – w Sejmie znalazła się 11-osobowa reprezentacja Konfederacji. Za mało, żeby utworzyć klub (potrzeba minimum 15 posłów), ale wystarczająco wiele, żeby zaznaczyć swoją obecność i brać udział w najważniejszych starciach. Po drugie – na scenie pojawiła się formacja Szymona Hołowni, powołana na fali jego wyniku w wyborach prezydenckich (13,67 proc., 2,7 mln głosów w I turze) – Polska 2050. Choć Polska 2050 jest obecna w Sejmie w postaci szczątkowej (siedmiosobowe koło), bo nie istniała jeszcze w momencie, gdy odbywały się wybory w 2019 r., to sondażowo stała się liczącym się graczem, regularnie przeganiając PO. Czy ta przewaga utrzyma się po powrocie Tuska – nie wiadomo. Do pierwszych sondaży, pokazujących wzrost poparcia dla PO, nie warto się przywiązywać. Efekt nowości (jakkolwiek jest to nowość mocno leciwa) nie jest niczym niezwykłym i na ogół znika po kilku tygodniach.

ZAGROŻONA ODRĘBNOŚĆ

Te dwie siły, Konfederacja i Polska 2050, najmocniej dążyły do rozszczelnienia układu zbudowanego na przeciwstawieniu dwóch biegunów. W jakimś stopniu dołączyła do nich jeszcze Lewica, ale jako uczestnika tego przedstawienia od dawna kierowanego przez doświadczonego towarzysza trudno uznawać ją za czynnik służący rozszczelnieniu układu.



Między obozami

Powrót Tuska stanowi zatem największy problem dla Krzysztofa Bosaka i jego kolegów oraz dla Szymona Hołowni. Każda z tych sił jest natomiast zagrożona w trochę inny sposób.

Gdy idzie o Konfederację, swoją odrębność budowała od początku na kilku wątkach. W jednym z nich – liberalnym – jest z pewnością niezagrożona. Tusk co prawda nie głosi dzisiaj liberalnego przesłania, ale tak będzie przedstawiany przez PiS, który z całą pewnością nie odejdzie od swojego socjalistycznego rysu – pokazało to wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego na kongresie PiS, w którym było mnóstwo akcentów etatystycznych. Jednak oddziaływanie liberalnego przesłania Konfederacji, jakkolwiek nie ma ona w tej sferze dzisiaj konkurenta, jest ograniczone, tak jak ograniczona jest liczba wyborców o liberalnych poglądach.

Bardziej chwytliwe były inne wątki przesłania Konfederacji, takie jak sceptycyzm wobec korzyści z dalszego pozostawania w UE czy stanowcze przeciwstawianie się żydowskiemu roszczeniu. W obu tych sprawach PiS próbuje nadrobić, a kontrast z PO Tuska mu posłuży. W sprawie żydowskich roszczeń partia rządząca wzmocniła retorykę i Konfederacja nie ma tutaj na razie pola manewru.

Nieco inaczej wygląda rzecz w kwestii UE. Wspólna deklaracja Jarosława Kaczyńskiego i liderów konserwatywnych

ugrupowań w Europie jest próbą zaznaczenia niezależności kursu – nawet jeżeli fakty mówią co innego. I tu pojawia się wciąż szansa dla Konfederacji. Z jednej strony, Tusk – co już widać – będzie próbował grać takimi decyzjami, ustawiając PiS jako partię proputinowską i skrajnie eurosceptyczną (punkt zaczepienia jest mniej niż słaby, ale faktem jest, że niektórzy sojusznicy, tacy jak Salvini, mają z Kremlem względnie dobre kontakty), co z kolei zmusi PiS do podkreślania, że jest zdecydowanie za trwaniem w UE, tyle że na naszych warunkach. Z drugiej strony, PiS realizuje przecież najważniejsze, lecz uciążliwe dla Polaków kierunki unijnej polityki, przede wszystkim gdy idzie o zielony ład. Zaakceptował również wspólne zadłużenie, wynikające z utworzenia Funduszu Odbudowy.

SZANSA KONFEDERACJI

To są punkty, gdzie Konfederacja jest nadal mocna. Jej politycy nie są dogmatycznie przywiązani do idei obecności w UE, a w miarę jak ta obecność będzie się wiązać z coraz większymi kosztami, będą zyskiwać. Podczas gdy PiS będzie spierał się z PO o to, że nie chodzi na pasku Putina i nie chce wyprowadzać Polski z UE, jedynym depozytariuszem autentycznie eurosceptycznych sentymentów może się stać Konfederacja, która nie ma żadnych oporów przed stwierdzeniem, że wystą-



pienie z Unii jest jedną z możliwości, jakie należy poważnie rozważać.

Dodatkowa korzyść, którą Konfederacja może odnieść, to przynajmniej chwilowe zniknięcie konkurencji w postaci Solidarnej Polski. Formacja Zbigniewa Ziobry właśnie w sprawach unijnych i klimatycznych silnie zaznaczała swoją odrębność od PiS, ale w ostatnim czasie główny konflikt dotyczy innych spraw i trwa na osi Kaczyński-Gowin, zaś powrót Tuska będzie sprzyjał wyciszeniu sporów na linii Kaczyński-Ziobro.

W rozmowie na kanale Moniki Jarużelskiej, przeprowadzonej wieczorem w gorącą politycznie sobotę, Krzysztof Bosak mocno podkreślał, że Konfederacja nie zamierza zajmować się Tuskiem, a tworzony przez główne media obraz, w którym nagle znów ważnych jest tylko dwóch wielkich graczy, jest sztuczny i nieprawdziwy. Faktem jest, że Konfederacja zawsze korzystała z innych kanałów docierania do odbiorców, czy jednak nie jest to robienie dobrej miny do złej gry?

Dzień później partia Bosaka, Działobora i Brauna zorganizowała konwencję. Było tam może trochę amatorszczyzny (choć można ją również uznać za świeżość, której brak starym partiom), ale przede wszystkim impreza odbyła się na otwartym powietrzu, w warszawskim parku im. Śmigłego-Rydza. Było to symboliczne odcięcie się od politycznych „dziadersów” i pokazanie, że Konfederacja nie musi się zamykać i chronić przed zwykłymi ludźmi.

Zaprezentowane przez Konfederację propozycje, opatrzone hashtagiem #PolskaNaNowo, są ciekawe, ale też budzą

sporo wątpliwości. Pierwsza to ta, że nie znajdziemy nigdzie żadnych dotyczących ich wyliczeń czy spisanych projektów. Konfederacja postawiła na multimedia i poza krótkimi omówieniami dostajemy jedynie filmy, na których liderzy lub eksperci, związani z partią, te propozycje omawiają.

Niektóre mogą być nawet zaskakujące. Na przykład w kwestii gospodarki odpadami Konfederacja chce stworzenia systemu automatów, w których konsumenci mogliby oddawać różne jednorazowe opakowania i uzyskiwać za to niewielką gratyfikację. Ale natychmiast pojawiają się pytania, kto ten system miałby sfinansować i utrzymywać, skąd miałyby pochodzić pieniądze na owe gratyfikacje i czym w takim razie miałyby się co do swojej istoty różnić od państwowego systemu kaucji za plastikowe opakowania, który zamierza wprowadzić rząd.

W kwestiach energetycznych dostajemy wielką pochwałę energetyki jądrowej, z którą trudno się nie zgodzić, ale która ignoruje fakt, że zbudowanie jednego bloku jądrowego to czas ponad dekadę, a koszty unijnej polityki klimatycznej ponosimy już teraz. Konfederacja chciałaby dla Polski miks węglowo-jądrowy, co brzmi ciekawie, ale w warunkach zielonego ładu jest niestety nierealne.

Kilka pomysłów wydaje się dość prostych i sensownych – dobrowolny ZUS dla przedsiębiorców czy mieszkaniowe konta oszczędnościowe, na które wpłaty miałyby być zwolnione z podatku. Inne są trudniejsze do realizacji, ale też ciekawe – takie jak bon zdrowotny czy edukacyjny. Jednak tu objawia się jeden z najwięk-

szych problemów Konfederacji – brak sprawczości. Cóż z tego, że Konfederacja może mieć nawet najciekawsze pomysły, jeśli, realnie rzecz biorąc, mają one w przewidywalnej przyszłości nikłe szanse na realizację? Na tym prawdopodobnie w walce o hegemonię będzie grało Prawo i Sprawiedliwość, prezentując się jako jedyna siła, która może cokolwiek zmienić. Odbudowanie polaryzacji w sporze z PO może w tym partii Kaczyńskiego pomóc.

HOŁOWNIA POMOŻE PiS?

O programie ugrupowania Hołowni właściwie nie ma co pisać, bo trudno tu znaleźć spójną koncepcję. Szansą Polski 2050 jest stworzenie wrażenia odrębności i niebrania udziału w pojedynku dwóch politycznych „dziadersów” poprzez personalia. Są tu pułapki, bo przecież samo koło Polski 2050 to ludzie, którzy weszli do Sejmu z innych list, a polityczne transfery takie jak Joanna Mucha nie pomagają. W dodatku potencjalnie największa szansa Hołowni jest zarazem jego największym zagrożeniem: Rafał Trzaskowski. Sojusz tych dwóch polityków może być dla Platformy Tuska dużym zagrożeniem, lecz gdyby do niego doszło, zachowanie przez Hołownię wizerunku postaci z zewnątrz układu, a już zwłaszcza układu dwubiegunowego, stałoby się bardzo trudne. Wówczas pojawi się pytanie o to, ilu pozostałoby przy Hołowni zwolenników spośród tych, których przyciągnęła jego polityczna świeżość.

Ciekawie będzie przyglądać się, czy uderzając w Tuska – a przecież pierwszym i najpilniejszym realnie przeciwnikiem PO będzie teraz właśnie Hołownia, nie Kaczyński, choć to on będzie punktem odniesienia – lider Polski 2050 stanie się funkcjonalnym sojusznikiem PiS, przypominając wszystkie wątpliwe poczynania byłego premiera za dawnych czasów.

Nowa sytuacja dla ugrupowań próbujących grać własną grę, niezależnie od dwóch największych sił, może być bardzo trudna, ale może też stworzyć nową szansę. Na razie za wcześniej przewidywać, który scenariusz się zrealizuje: czy ten, w którym PiS i PO biorą w kleszcze i miażdżą tych, którzy nie pasują do manichejskiej wizji walki politycznej, czy też ten, w którym dwie zgrane siły toczą coraz nudniejszy pojedynek, a kontestujący ten układ na tym właśnie zarabiają. Dla Polski lepszy byłby, nie mam wątpliwości, ten drugi wariant.

RYSZARD GROMADZKI: Pana formacja podczas prezentacji programu „Polska na nowo” ogłosiła plan zniesienia 15 podatków i danin obowiązujących obecnie. To dobrze brzmi. Ale skąd rząd miałby wziąć pieniądze na dopięcie porcesyjnego budżetu obciążonego deficytem przekraczającym 80 mld zł?

KRZYSZTOF BOSAK: Te 15 podatków, które wytypowaliśmy, to nie są główne podatki, z których pochodzą dochody budżetu państwa. Są to raczej uciążliwe dodatki, które generują spore komplikacje dla ludzi, ale niewielkie dochody dla państwa, a do tego mają wysokie koszty poboru. W naszej ocenie jest to element upraszczania i racjonalizowania systemu finansów publicznych. Jeśli po tej operacji będzie jakiś ubytek w systemie finansów publicznych, to trzeba będzie to rekompensować oszczędnościami. Jesteśmy przede wszystkim przeciwnikami absurdalnych wydatków na różne rządowe projekty, często niemające nic wspólnego z interesem obywateli, a wiele wspólnego z widzimisię polityków. Projekty, które niejednokrotnie trwają latami i nie przynoszą absolutnie żadnych rezultatów, ale prowadzą do przetrwania publicznych pieniędzy. Uważamy, że trzeba w większym stopniu postawić na gospodarność w sektorze publicznym i w ten sposób osiągnąć oszczędności, które są niezbędne.

Życie publiczne w Polsce obciąża potężny biurokratyczny nawis, przerośnięty aparat urzędniczy generujący ogromne koszty rzutujące na system finansów państwa. Macie pomysł, jak wypłenić tę zarzę?

Ten problem jest wielowymiarowy. Moim zdaniem trzeba uchwycić kontrolę nad liczbą procesów, którymi państwo ma się zajmować. Od wielu lat żyjemy w myśleniu jednorowym, w którym jeśli jest jakiś problem, to mają go rozwiązać politycy. A politycy doskonale potrafią tworzyć nowe obowiązki urzędnikom. Tą drogą administracja i jej koszty mogą rozwijać się bez końca, aż metodą ewolucji większość naszego życia będzie zależna od administracji, a większość naszego dochodu narodowego będzie szła na finansowanie jej różnych działań. W związku z czym w moim przekonaniu właściwym torem myślenia jest myślenie nie tylko o nieprawidłowościach wynikających ze złych działań poszczególnych urzędników, lecz przede wszystkim zawężenia zakresu spraw, którymi oni



Z Krzysztofem Bosakiem,
posłem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Trzeba zmniejszać podatki i wydatki państwa

się zajmują. To jest walka z tendencją, która jest powszechna nie tylko wśród polskich polityków i mediów, ale jest to walka z tendencją, która jest narzucana i wzmacniana przez Unię Europejską. Przypomnijmy, że za rozrost polskiej administracji w znacznym stopniu odpowiada właśnie Unia Europejska, która swoimi różnego rodzaju rozporządzeniami, dyrektywami i politykami dokłada obowiązków państwu polskiemu i jego administracji.

Czas pandemii COVID-19 nie tworzy świetnej pożywki dla dalszego reprodukcji tego zjawiska?

W pełni się zgadzam, że właśnie tak jest. To znaczy epidemia i cała polityka sanitarnego stanu nadzwyczajnego dały uzasadnienie tego typu procesom. Trochę tak jak 20 lat temu w Stanach Zjednoczonych hasło „wojny z terroryzmem” pozwoliło dać państwu uprawnienia nigdy wcześniej nieznane. Podobnie jest teraz w związku z COVID-19 w Polsce.

Oczywiście to rodzi koszty. Są to i koszty działania aparatu administracyjnego, który wdraża różnego rodzaju polityki, i koszty odszkodowań czy tzw. tarcz, które są taką pośrednią formą odszkodowań dla gospodarki. Wreszcie koszt, o którym się jeszcze bardzo mało mówi, ale moim zdaniem powinien być wyliczony, a mianowicie ogromny koszt obsługi tysięcy nowych spraw prowadzonych w sądach i prokuraturach, związanych z obostrzeniami, w których państwo polskie przegrywa ze swoimi obywatelami, ponieważ prawo było pisane na kolanie, a służby państwowe nie kierują się prawem i często stosują się do wytycznych polityków wygłaszanych w czasie konferencji prasowych, niemających wystarczającej mocy prawnej wynikającej ani z konstytucji, ani z ustaw. Wprowadzono porządek oparty na rozporządzeniach, co skutkuje tysiącami spraw sądowych, które będą nas wszystkich kosztować miliony złotych.

Jak ratować polskich małych i średnich przedsiębiorców przed skutkami trendów w postaci dyktatu państwa i presji wielkich korporacji, które tak bardzo przyspieszyły w czasie koronakryzysu?

Uważam, że przedsiębiorcy nie potrzebują ratunku. Oni potrzebują raczej powstrzymania prześladowań. Działalność gospodarcza polega przecież na budowaniu zysku poprzez zaspokojenie jakiegoś popytu, tworzenie jakiejś wartości dodanej. Istota działalności gospodarczej w dużej mierze zawiera to, że ona dzieje się spontanicznie przez rozpoznawanie potrzeb i ich zaspokajanie. Dlatego tu żaden ratunek nie jest potrzebny, potrzebna jest przestrzeń do działania.

A jeśli tę przestrzeń ogranicza się poprzez wprowadzanie lockdownów i groźby kolejnych zamknięć?

To oczywiście zabija swobodę działalności gospodarczej. Trzeba wziąć pod uwagę, że jej prowadzenie zawsze wiąże się z ryzykiem. Przedsiębiorcy podejmują inwestycje. Jeżeli państwo tworzy kompletnie nieprzewidywalne warunki dla działalności gospodarczej, to ci, którzy mają pewien kapitał, mogą go konsumować, oszczędzać bądź z pewnym ryzykiem podejmować inwestycje, dwa razy się zastanowią. Moim zdaniem Polska staje się państwem niezwykle mało przewidywalnym dla osób, które chcą cokolwiek zainwestować. Prze-

cież nikt przy zdrowych zmysłach po ostatnim lockdownie nie zdecyduje się otworzyć restauracji czy zainwestować w hotel. Być może powrót do jakiejś takiej pewności inwestycyjnej w branżach najbardziej dotkniętych lockdownami potrwa wiele lat. Ryzyko inwestycyjne zostało zwiększone działaniami państwa także w innych branżach. Na przykład poprzez podwójne opodatkowanie spółek komandytowych, a w przemyśle poprzez zupełnie nieprzewidywalne ceny prądu powodowane polityką unijną i wdrażaniem tej polityki przez polski rząd. Kolejnymi przykładami są rolnictwo i hodowla, w które uderzyło ogłoszenie „piątki dla zwierząt” w ubiegłym roku czy próby delegalizacji hodowli niektórych zwierząt. Polska staje się państwem wysokiego ryzyka dla ludzi, którzy chcą inwestować, i wszyscy będziemy ponosić tego koszty dlatego, że alternatywą dla zainwestowania pieniędzy w Polsce jest zainwestowanie ich w innych państwach. My konkurujemy także o pieniądze polskich obywateli. Jeżeli ktoś ma milion złotych, to może je zainwestować w Polsce, ale równie dobrze może je zainwestować w Niemczech, Czechach, na Ukrainie, na Węgrzech albo w ogóle wyjechać poza Europę. Jeżeli nie będziemy tworzyli stabilnego otoczenia gospodarczego, w którym ci, którzy stanowią prawo, poważnie traktują tych, którzy chcą inwestować swoje prywatne pieniądze, to skończy się tak, że jedynym sposobem pobudzenia gospodarki będą transfery rządowe. A to się nazywa socjalizm.

Czy polski rząd prowadzi samodzielną politykę w czasie koronakryzysu?

W mojej ocenie to, co się dzieje w Polsce, jest wynikiem decyzji zapadających przede wszystkim przez Jarosława Kaczyńskiego, ale także przez kolejnych ministrów zdrowia i premiera. Natomiast ta polityka jest bardzo silnie inspirowana tym, co się dzieje w innych państwach. W konsekwencji politycy stojący na czele naszego państwa nie mają przekonania do jakiegokolwiek własnej wizji. Próbuja wyciągać swego rodzaju średnią z tego, co się dzieje w innych państwach europejskich, i tą średnią przedstawiać w Polsce jako tzw. drogę środka, licząc na to, że za pomocą bardzo chętnie stosowanego przez polityków wszystkich opcji głównego nurtu argumentu – iż coś w Polsce robi się tak jak za granicą – społeczeństwo uzna to

za sytuację bezalternatywną. Dokładnie tak się w zeszłym roku stało.

Stoimy w obliczu wprowadzenia przymusu szczepień przeciw COVID-19 i kolejnych praktyk segregacyjnych wobec osób, które nie chcą się zaszczepić. To też sytuacja bezalternatywna?

Mogę powiedzieć tylko, że zobaczymy i że będziemy tutaj sprzeciwiać się przymusowi państwowemu.

Spodziewa się pan spektakularnego przewarśnięcia politycznego w Polsce? A jeśli tak, to w jakiej perspektywie czasu?

Szczerze mówiąc, nie spodziewam się. Role na scenie politycznej są rozdane. Główne partie w sprawie epidemii COVID-19 czy lockdownu przyjęły dość podobne stanowiska, dlatego nie jest to przedmiotem wielkiego sporu politycznego. Konfederacja ma swoją odrębną jakość polityczną i czerpie też z innych tematów. Nie spodziewam się, żeby temat pandemii przewartościował polską politykę. Tym, co uruchomi pewien proces zmian, będzie raczej dezintegracja tzw. zjednoczonej prawicy i wykształcenie się nowego przywództwa dla sektora wyborców konserwatywnych, patriotycznie zorientowanych, z których obecnie część głosuje na Konfederację, a część na PiS. W którą stronę to pójdzie, w którym momencie to się stanie – tego nie podejmuję się przewidywać.

Konfederacja będzie beneficjentem tego procesu, który pan prognozuje?

Bardzo bym chciał, żeby była. Oczywiście. Uważam, że Konfederacja jest z gruntu, z biografii ludzi, którzy ją tworzą, projektem ideowej prawicy. Jestem przekonany, że zasługuje na znacznie większe zainteresowanie wyborców patriotycznych i konserwatywnych, niż to ma miejsce obecnie. Natomiast zdajemy sobie sprawę, że procesy zmiany postaw politycznych, przenoszenia poparcia zachodzą ewolucyjnie, są rozciągnięte w czasie często na wiele lat. Znamy przecież dynamikę zmian politycznych na scenach innych państw europejskich i wiemy, że ta dynamika trwa wiele lat. Jesteśmy stosunkowo nową partią, więc zdajemy sobie sprawę z tego, że żeby zbudować zaufanie wychodzące poza dotychczasowy milion wyborców, idące w zdecydowanie większe liczby, potrzebujemy po prostu przepracować rzetelnie kolejne kadencje w Sejmie. Co robimy.



Gruz, pamięć i prawo



Marek Jurek

Dmowski pisał, że obowiązki narodowe są tym większe, im wyższy poziom moralny reprezentujemy. Są więc tym większe, im bardziej ktoś się do wartości narodowych odwołuje

Gruz Warszawy ma swoją symbolikę. Z niego po wojnie na ruinach stolicy odbudowywano kościoły. Pośród tego gruzu prymas Wyszyński mówił, że Warszawa stała się męczennym Sanktuarium Narodu. Nie jestem zwolennikiem wysypywania czegokolwiek przed ambasadami, ale w wypadku happeningu Młodzieży Wszechpolskiej przed ambasadą Izraela od niestosowności samego wydarzenia jeszcze istotniejsze było opisujące je hasło.

„Oto wasze mienie” nie jest stwierdzeniem respektującym żałobę, pobrzmiwa w nim raczej (oby moje odczucie

było błędne) jakaś niepojęta satysfakcja. A przecież tyle zostało nie tylko z domów żydowskich rodzin, lecz także z niemal wszystkich domów Warszawy w ogóle. Hasło „Tyle zostało z naszego miasta” wskazywałoby i na bezduszną nękania Polski, i na wspólnotę losu Polaków i Żydów, i na żałobę. A żałoba Polski po ofiarach Zagłady jest najlepszym tytułem, by od świata, również od Izraela, domagać się szacunku dla całej polskiej Ofiary złożonej w czasie drugiej wojny światowej, szacunku dla Polski jako kraju, który najdłużej, od pierwszego do ostatniego dnia wojny, walczył z Niemca-

mi Hitlera, co więcej – zapłacił za to półwiekową utratą niepodległości. Domaganie się tego szacunku od wszystkich (więc również od Izraela czy społeczności żydowskich w świecie) jest narodowym obowiązkiem władz Rzeczypospolitej i wszystkich Polaków. Dmowski pisał, że obowiązki narodowe są tym większe, im wyższy poziom moralny reprezentujemy. Są więc tym większe, im bardziej ktoś się do wartości narodowych odwołuje.

SĄ ZACZEPKI, JEST OKAZJA

Tymczasem środowiska egzaltujące uprzedzenia antyżydowskie przypadkami antypolskiej pogardy (a niekiedy i nienawiści) w Izraelu się nie tyle oburzają, ile podniecają. Nie domagają się, by władze Rzeczypospolitej domagały się reakcji rządu Izraela na słowa jednego z ministrów. Nie domagają się, by polski rząd systematycznie, spokojnie i stanowczo przypominał polski los w czasie ostatniej wojny światowej. Tymczasem nowy nacjonalizm powinien właśnie polegać na mobilizowaniu opinii publicznej do kształtowania polityki państwa, a nie do produkcji emocji i „eventów” zgodnie z najgorszą demokratyczną rutyną. Na perory Ja'ira Lapida o „hańbie” powinna paść symetryczna odpowiedź polskich władz o podwójnie haniebnej wypowiedzi nowego izraelskiego ministra spraw zagranicznych. Wypowiedzi haniebnej, bo jej autor jeszcze nie sprostował niedawnych antypolskich kłamstw, a znowu w ten sam sposób obraża kraj najdłużej walczący z hitlerowskimi Niemcami.

Zresztą sama obecność pana Lapida w nowym izraelskim rządzie powinna dziwić w kontekście deklaracji Morawiecki-Netanjahu, potępiającej antysemityzm i antypolonizm. Może zresztą

przypomnienie o jego ekscesach będzie za jakiś czas okazją do oczyszczającego resetu w stosunkach polsko-izraelskich?

PAŃSTWO, O KTÓRYM MÓWIĆ NIE WOLNO

Ktoś powie: no dobrze, ale przecież to nie tylko wypowiedź jednego sfrustrowanego polityka (Ja'ir Lapid akurat powody do frustracji ma, bo ministerstwo spraw zagranicznych ma znaczenie drugorzędne, tak że nawet kontrolująca je komisja Knesetu jest połączona z bezpieczeństwem, obejmując sprawy wojska, wywiadu i kontrwywiadu). Jednak to nie tylko Lapid, lecz także rezonans jego wypowiedzi w Ameryce, a to już znacznie więcej niż skandaliczny incydent.

Otóż to! Emocjonujemy się każdą zaczepką ze strony Izraela, tymczasem ów (symboliczny oczywiście) gruz lepiej byłoby wysypać przed ambasadą amerykańską. Stany Zjednoczone – formułując absurdalne sądy na temat materialnej odpowiedzialności Polski za komunistyczne wywłaszczenia – do tej pory nie tylko nie zapłaciły odszkodowań za Jaltę (w końcu układ wymierzony w suwerenność i legalne władze Rzeczypospolitej), lecz także nawet werbalnie nie przyjęły żadnej związanej z tym odpowiedzialności politycznej.

W tej sprawie potrzebne jest więc doktrynalne (czyli stale przywoływane) stanowisko państwa polskiego. A w odniesieniu do tej konkretnie sytuacji (bo trzeba zawsze respektować proporcje) na przykład publiczny list ministra spraw zagranicznych do sekretarza stanu USA. Takie reakcje władz naszego państwa powinna egzekwować (i wspierać) polska opinia publiczna.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
**URODZIŁAM SIĘ
NA PAWIAKU.
ROZMOWA Z OFIARĄ
III RZESZY**

Ryszard Kaczmarek – **Boje powstań śląskich**
Tomasz Stańczyk – **Dramat Korfanteo**
Piotr Zychowicz – **Dlaczego Hitler przegrał wojnę**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Warneńczyka**
Jacek Bartosiak – **Przyszła wojna Polski z Rosją**
Mikołaj Iwanow – **Romans Mannerheima**
Sławomir Cenckiewicz – **Między Hitlerem a Stalinem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Apologia Nie-ludzkiego Boga

FOT. ADRIE STICK



ks. Przemysław Artemiuk

Na drodze poszukiwania Boga spotkanie z Jezusem objawiającym Ojca staje się nieuniknione. Dlatego trzeba, jak sugeruje Paweł Lisicki, obronić prawdę o Nie-ludzkim Bogu, który nie jest na nasz obraz

Eseistyka Pawła Lisickiego, usytuowana na pograniczu literatury, filozofii i teologii, ujawnia nie tylko niezwykłą intuicję jej autora w rozumieniu wiary, lecz także odsłania nerw rzeczywistości, w której przyszło chrześcijaństwu egzystować. W esejach tych nie ma miejsca na pobieżne analizy czy zbyt pochopne sądy. Czuć tutaj kompetencję i szerokość spojrzenia. Przedzierając się przez gęsto naszpikowane odwołaniami teksty Pawła Lisickiego, czytelnik może opatrzyć je stwierdzeniem „niełatwe”, niemniej jednak wchodząc w nie, ma szansę odkryć głębię, którą zawierają. Eseistyka Pawła Lisickiego to – zdaniem krytyków – jedno z najciekawszych intelektualnych zjawisk ostatnich lat w Polsce. Jego sposób myślenia i mówienia wciąga czytelnika, niepokoi, czasem denerwuje, ale zawsze zmusza do zajęcia własnego stanowiska. Jaki cel stawia sobie Paweł Lisicki? „Nie przypisuję sobie roli nauczyciela – wyznaje. Nie, nie porywam się z motyką na

słońce, nie wierzę, bym dokładniej i precyzyjniej przedstawił to, co mądrzejsi zrobili wcześniej. Staram się jedynie, z pozycji prywatnego myśliciela, sprawdzić niektóre przeczucia, pokazać znane problemy w innym, niż to się przyjęło, świetle”.

Pawłowi Lisickiemu, od chwili publikacji pierwszego tomu esejów w roku 1996, towarzyszy nieustannie takie samo, nazwałbym je, apologetyczne nastawienie. Jego teksty „są usiłowaniami wyrażenia pierwszej [...] intuicji, zgodnie z którą człowiek współczesny, jeśli chce się zbawić, musi odnaleźć na nowo Nie-ludzkiego Boga. Nie-ludzkiego to nie znaczy obcego nam, wrogiego, przeciwnego. W żadnej mierze. Chodzi raczej o to, by Bóg nie został skrojony na naszą miarę, nie był projekcją naszych potrzeb, zachcianek, oczekiwań. Prawdziwy Bóg zawsze przychodzi sam, w jego objawieniu zawsze jest coś nieoczekiwanego, zagadkowego, coś, czego byśmy nie wymyślili, nie przewidzieli”.

ITINERARIUM WIARY

U źródeł apologii Pawła Lisickiego tkwi osobiste doświadczenie, które zostało poddane głębokiej analizie. Wyznaje: „Jestem katolikiem, ponieważ zasady tej religii zostały mi przekazane przez innych, a wewnętrzny głos sumienia je uznał”. Zatem świadomość ciągłości przekazu wiary (od apostołów aż do współczesności) skłania do refleksji nad naturą samego świadectwa. Najbardziej fascynujące dla Pawła Lisickiego jest samo przejście, które dokonało się w postawie apostołów. Nie chcą oni jedynie

relacjonować wydarzeń przeszłości, ale pragną wyznaczyć nową miarę i wzorzec postępowania. „Widzą, iż z tych faktów wypływa roszczenie uniwersalne, skierowane do każdego człowieka. Wierzą, że dla wszystkich ludzi, niezależnie, czy kiedykolwiek spotkali i słyszeli o Jezusie, jest jedna miara doskonałości i dobra, i jeden sąd podług niej. I jeszcze więcej: twierdzą, że uznanie tej przyjętej w wolności prawdy o pośredniku między ludźmi a Bogiem w osobie Chrystusa jest obowiązkiem moralnym każdego człowieka. [...] Taki jest paradoks chrześcijaństwa. W głębi serca każdy człowiek słyszy głos sumienia, dostrzega potrzebę oddawania Najwyższemu czci i odczuwa, że sam się zbawić nie może. Ostateczna odpowiedź przychodzi z zewnątrz, z historii, ze słów i czynów Mistrza z Nazaretu”.

Czy taka postawa – pyta Paweł Lisicki – jest absurda? Na pozór wydaje się, że tak. „Chrześcijaństwo chce bowiem, aby to, co jednostkowe i ograniczone – objawienie nieskończonego Boga dokonane w historycznej, cielesnej osobie nauczyciela z Nazaretu, stało się wzorem uniwersalnym. A jednak mówienie o szaleństwie takiego roszczenia jest co najmniej wątpliwe. Otóż wydaje się, że świadectwo chrześcijan opiera się na pewnym powszechnie przyjmowanym przeświadczeniu. A mianowicie, że każde niewidzialne dobro duchowe przejawia się w dziejach przez widzialne czyny i słowa. Wiara we Wcielenie jest wyciągnięciem ostatecznych konsekwencji i nadaniem przez to pełnej miary owej zasadzie mądrości”.



PAWEŁ LISICKI
„KONTRREWOLUCJA. ESEJE I SZKICE”
FRONDA 2021

Szukając zatem uzasadnienia dla faktu przyjęcia wiary, powinniśmy odwołać się najpierw, jak podpowiada Paweł Lisicki, do świadków, czyli „do tych ludzi, którzy przez pokolenia dowodzili swą postawą realności dóbr ducha”. W ich postawie możemy odnaleźć nie tylko pierwotną siłę świadectwa, lecz także swego rodzaju itinerarium zmagania o właściwe rozumienie samej wiary. Przywołując myśl Johna Henry’ego Newmana czy Josepha Ratzingera, Paweł Lisicki pragnie rozprawić się z mrocznym dziedzictwem oświecenia. Wsparty autorytetem świadków tej miary, z niezwykłą dokładnością analizuje hasła nowożytności, aby ukazać ich niewystarczalność i przekonać, że wiara nigdy nie była i nie jest przeciwnikiem ludzkiego rozumu. Oświecenie, dokonując jego apoteozy, przy równoczesnym odrzuceniu wszelkiego rodzaju podpórki, takich jak wiara czy Objawienie, doprowadziło nie tylko do radykalnego odwrócenia dotychczasowych relacji między Bogiem a człowiekiem, lecz także postawiło na skrajny indywidualizm, który ostatecznie skierował się przeciwko samemu człowiekowi.

LUMEN FIDEI

Jak zatem wybrnąć z pułapki oświeceniowego racjonalizmu? Jedynym sposobem, jak sugeruje Paweł Lisicki, jest przywrócenie właściwej proporcji relacji wiary i rozumu. Wyjście poza siebie, zwrócenie się do autorytetu, którym nie jestem jedynie ja sam, pozwala odkryć nie tylko głęboki sens własnej egzystencji, lecz także przede wszystkim dostrzec obecność Boga, który będąc początkiem wszystkiego, pozwala rozumowi odkryć jego prawdziwe możliwości. Przywołując myśl kard. Newmana, Paweł Lisicki akcentuje zasadę pewności w sprawach wiary, bez której „nie można by występować z całym możliwym zdecydowaniem przeciw błędowi. Bez wiary pewnej interwencja Boska w dziejach, która miała na celu zniweczyć grzech, okazałaby się nieskuteczna”.

Szukając dowodu obecności Boga i niejako źródła wiary, angielski konwertyta wskazuje na sumienie, które nie polega na sobie samym, ale sięga do czegoś poza sobą i niejasno dostrzega dla swych decyzji sankcję wyższą od siebie. Autor „Logiki wiary” w sumieniu upatrywał pierwszeństwa. „Jest ono tym, co sam Bóg wszczepił

na początku, stwarzając każdą istotę rozumną. Sumienie jest tą świętą i czcigodną częścią, dzięki której człowiek jest podobny do swego Stwórcy. Akt sumienia jest przeciwieństwem kaprysu, nie ma w sobie nic z dowolności, w żadnym razie nie jest tym samym co opinia czy sąd prywatny. Wręcz przeciwnie: głos od pozostańca boskiego nie dopuszcza dyskusji, podważania, wątpienia”.

Sumienie pozwala zatem odkryć zależność człowieka od Boga. A najlepszym lekarstwem na bunt, dodaje Paweł Lisicki, jest wiara, w swej istocie racjonalna i zobowiązująca. Uwalnia ona rozum z nowożytnych oków i pokazuje mu jego wyższe powołanie, dzięki któremu może trwać i budować. Współczesny chrześcijanin, podkreśla Paweł Lisicki, „musi bronić racjonalnego poznania. Inaczej jego wiara będzie funta kłaków warta”. Wierzyć to po pierwsze oznacza za prawdę to, czego do końca nie ogarnia nasz umysł. To przyjąć całe objawienie Boga, które może być dla nas niepojęte. Sam akt przyjęcia poszerza horyzont naszego poznania i pozwala dotrzeć do tajemnicy, w której jesteśmy zanurzeni. Ale wierzyć, to po drugie zaufać osobie – nie takiej zwyczajnej, ale Chrystusowi.

BÓG BLISKI I DALEKI

Po przezwyciężeniu oświeceniowych mitów i uzasadnieniu racjonalności wiary Paweł Lisicki prowadzi czytelnika do jądra swojej apologii. Jest nim wciąż powracający problem poznawalności/niepoznawalności Boga. Kwestia ta, zdaniem redaktora „Do Rzeczy”, jest tak istotna po pierwsze dlatego, że rozstrzygnięcie takich pozornie abstrakcyjnych problemów decyduje o jakości kultury. Po drugie, doświadczenie Boga w kontekście rozmaitych zjawisk współczesności (takich jak chociażby niewinne cierpienie) domaga się uzasadnienia. Po trzecie wreszcie, nie jest bez znaczenia, w kogo wierzymy oraz co implikuje nasza wiara, każde bowiem pytanie o możliwość dotarcia do Boga jest pytaniem o jakość naszej wiary i wrażliwość serca, które jest przez nią kształtowane. Jeśli „relatywizuje się fakt, że Jezus był jedynym i pełnym obrazem Bóstwa, to również jego pouczenia tracą swój autorytatywny charakter”. Uzasadniając sens badania poznawalności/niepoznawalności, Paweł Lisicki stwierdza: „Wszyscy mogą dojść do niewyraźnego poznania, że istnieje Bóg, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, że przebywać przy Bogu

jest dobrem najwyższym. Ale to poznanie jest niewyraźne – potrzeba objawienia się Boga w historii, przekazu zmysłowego, dostępu na mocy autorytetu zewnętrzny, aby zostało utwierdzone i umocnione. Jednym słowem, dane wszystkim ludziom światło naturalne potrzebuje wzmocnienia i wywyższenia przez objawienie dokonane w historii. Niepoznawalność Boga nie jest więc argumentem na rzecz równorzędności znanych systemów ujmowania Boga przez ludzi. Wręcz przeciwnie: owa niepoznawalność absolutna wskazuje na historyczne objawienie, zawarte w materialnym przekazie, konkretne i wyłączające inne przekazy religijne”.

Na drodze poszukiwania Boga spotkanie z Jezusem objawiającym Ojca staje się nieuniknione. Dlatego trzeba, jak sugeruje Paweł Lisicki, obronić prawdę o Nie-ludzkim Bogu, który nie jest na nasz obraz. „Jeśli nie pojmimy, na czym polega owa niepoznawalność Boga, na którą obecnie tak chętnie powołują się nawet myśliciele uważani za religijnych, to nigdy nie odkryjemy najważniejszego napięcia w chrześcijaństwie: między nędzą a doskonałością. Nie zrozumiemy tej cudownej i nadprzyrodzonej nauki o człowieku nędzniku, przed którym, dzięki miłości Bożej, stanęła otworem droga do doskonałości. Nie będziemy wiedzieli, jak to jest, że skrytość i niepoznawalność objawia się w ludzkim kształcie z Nazaretu”. Co nam wówczas zostanie? Jedynie namiastka religii proponowana przez Kanta i jego następców.

Apologia Pawła Lisickiego wypływa z przekonania, że „nie można zapominać o dziedzictwie Oświecenia, o krytyce, której wciąż musi podlegać jego wiara. [...] Chrześcijanin, który żyje w świecie postoświeceniowym, musi być doskonałym szermierzem rozumu. Nie wolno mu się bać czy skrywać się przed jego zarzutami. Musi go jednakże używać nie dla samej przyjemności, zdobycia pokłasku czy uznania świata, ale kierować ostrze jego pytań przeciw niemu samemu, przeciw pysze, jaką ma w sobie człowiek”. Precyzja argumentacji, ujawniająca doskonałą znajomość myśli teologicznej i filozoficznej oraz niezwykła umiejętność prowadzenia dyskursu przekonują, że apologia Pawła Lisickiego, w której główną osią obrony są takie kwestie, jak racjonalność wiary czy niepoznawalność Boga, jest najwyższej miary.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Książd Przemysław Artemiuk – teolog fundamentalny, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego i wykładowca w Wyższym Seminarium Duchownym w Łomży.



1410. Zwycięstwo po bitwie



Maciej Rosalak

Wynik bitwy stoczonej w święto Rozesłania Apostołów pod Grunwaldem umożliwił narodziny wielkiego państwa polsko-litewsko-ruskiego

To prawda, że Jagiełło – po jednej z największych bitew średniowiecza i jednym z największych zwycięstw w dziejach Polski i Litwy – zbytnio ociągał się z wyruszeniem pod Malbork, a Witoldowi, jak się wydaje, w ogóle na zdobyciu głównej siedziby krzyżackiej i dobitu zakonu nie zależało. A jednak król polski odniósł wyraźne – i kto wie, czy nie bardziej znaczące – zwycięstwo

dla Polski już po Grunwaldzie. Zbudował bowiem autentyczny prestiż Królestwa Polskiego jako państwa silnego i respektującego prawa (również boskie) oraz siebie – jako władcy w pełni chrześcijańskiego i europejskiego. Wzmocnił unię dwóch państw i porozumienie dwóch – a właściwie trzech – narodów, przed którymi otwierało się kilka wieków współżycia w centrum Europy. Okazał się mistrzem – jak to dzisiaj się określa – PR, i to w pełni uczciwego!

W polityce wewnętrznej dokonał tego, choćby wprowadzając pierwsze w naszej historii święto narodowe.

PIERWSZE POLSKIE ŚWIĘTO NARODOWE

Dzień 15 lipca stał się pierwszym oficjalnym świętem narodowym. Już dwa dni po bitwie Jagiełło rozkazał, by do wszystkich świeckich i duchownych dostojników, profesorów Akademii Kra-

kowskiej oraz władz Krakowa rozesłano listy z opisem bitwy. „Gdy [...] wiadomość o zwycięstwie rozeszła się szeroko po Królestwie Polskim – zanotował Jan Długosz – we wszystkich miastach i wsiach polskich brzmiały głosy radości ludzi, którzy niepomniernie cieszyli się zwycięstwem swoim i swoich wojsk”.

W całym kraju zarządzono dziękczynne nabożeństwa i festyny.

„Król Władysław i wszystkie stany duchowne i świeckie zgodnym postanowieniem i decyzją zatwierdziły obowiązującą powszechnie uchwałą, by dzień Rozesłania Apostołów (15 lipca) był obchodzony uroczyście jako święto w całym Królestwie Polskim i by ojcowie uczyli swoich synów, wnuków i prawnuków oraz następców, żeby po wieczne czasy zachowali w pamięci ten dzień, w którym łaska Boża okazała swe miłosierdzie wobec narodu i ludu polskiego, by wszystkie kościoły w całym

„Bitwa pod Grunwaldem”, Jan Matejko,
1875–1878 FOT. LIGIER PIOTR/MUZELUM NARODOWE W WARSZAWIE



Królestwie Polskim tak miejskie, jak wiejskie czciły ze swym ludem szczególnie uroczystymi mszami i procesjami dzień tak wielkiego triumfu i by składały Bogu ogromne dzięki za dobrodziejstwo udzielone narodowi polskiemu”.

I tak do końca rządów dynastii Jagiellonów, a nawet jeszcze za Jana III Sobieskiego, dnia 15 lipca świętowano rocznicę zwycięstwa uroczystymi nabożeństwami ze specjalnymi modlitwami, procesjami oraz kazaniami sławiącymi zwycięstwo pobożnego króla Władysława nad bezbożnym zakonem. W czasie mszy śpiewano zaś:

*Król Władysław polski,
Witold książd wielki litewski
posiekli brodacze,
iż leżeli jako kołacze
na polu Grinwaldskim.*

Dopiero 25 listopada 1411 r. król Władysław Jagiełło po raz pierwszy od zwycięstwa wkroczył na Wawel. Dostojnicy nieśli przed nim 51 zdobytych chorągwi krzyżackich – wywierający wielkie wrażenie dowód grunwaldzkiego triumfu. Zawieszono je w krakowskiej katedrze jako pamiątkę i wotum dziękczynne dla św. Stanisława, patrona Polski. Długosz

napisał, że „cieszą swoim widokiem swoich i obcych i pokazują stale triumf króla i klęskę Krzyżaków... Polacy winni je strzec i przechowywać jako wieczystą pamiątkę i symbol, w miejsce starszych winni tkąć nowe, by ze względu na ogromną i nieprawdopodobną walkę i odniesiony w niej triumf istniał dowód tak wielkiego zwycięstwa”.

Aby ułatwić odnawianie tych chorągwi, nasz dziejopis w 1488 r. wydał na swój koszt księgę „Banderia Prutenorum” („Chorągwie pruskie”). Na dzieło składały się barwne wizerunki krzyżackich chorągwi wykonane przez Stanisława Durinka, malarza krakowskiego, uzupełnione opisem i komentarzem samego Długosza. Chorągwie wisiały w katedrze do trzeciego rozbioru Polski. Potem Austriacy wywieźli je do Wiednia, a tam ślad po nich zaginął.

Podobny los spotkał ponad pół wieku później dwa słynne miecze, które wielki mistrz zakonu przysłał królowi, a posłowie powiedzieli zuchwale w imieniu Ulricha von Jungingena: „Byś się stał z nim i z jego wojskami bez ociągania i odwaznij, niż się tym chwalisz, żebyś się dłużej nie chował w lasach i gajach, zwodząc go i byś nie odsuwał walki na potem”. Miecze złożono w skarbcu koronnym na Wawelu, obok regaliów, jak pisze Długosz, „by ciągle na nowo przypominać i świadczyć o pysze i klęsce jednej strony, a pokorze i triumfie drugiej”. Z czasem służyły jako insygnia władzy królewskiej i podczas koronacji były niesione jako symbol Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Żołnierze pruscy, rabując w 1795 r. skarbiec wawelski i nieznający znaczenia tych prostych mieczy, wzgardzili nimi. Wykorzystał to Tadeusz Czacki i przeniósł je do zbiorów Czartoryskich w Puławach. Tam zostały zrabowane w 1853 r. przez władze rosyjskie i przepały. Ślad urwał się w twierdzy zamojskiej.

MIŁOSIERDZIE KRÓLA, GENIUSZ WŁODKOWICA

Wiadomo, że król Władysław Jagiełło polecił odnaleźć zwłoki wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena i co ważniejszych braci zakonnych, aby odesłać je z honorami do Malborka. Jak pisze Długosz: „We środę, nazajutrz po uroczystości Rozesłania Apostołów, 16 lipca, po ustaniu deszczu wstał słoneczny dzień i król polski Władysław natychmiast o świcie rozkazał odszukać wśród trupów zwłoki mistrza pruskiego Ulryka, marszałka, komturów i pozostałych dostojników, którzy polegli

w bitwie, chcąc je wydać, by je pogrzebano z należytą czcią w kościele, uznając za rzecz równie chwalebna odnoszenie zwycięstwa nad wrogiem, jak okazanie litości nieszczęśliwemu i pokonanemu”.

Mniej znany jest jego gest z jesieni 1410 r., po zwycięstwie polskiego rycerstwa pod Koronowem. O Grunwaldzie słyszeli nawet ci, którzy liczbę 1410 kojarzą przede wszystkim z recepturą na bimbrowy zacier: 1 kg cukru, 4 l wody i 10 dag drożdży. O Koronowie nie słyszało natomiast nawet wielu wykształconych ludzi, chociaż opis tej bitwy znajduje się w przetłumaczonych z łaciny księgach Długosza, a barwne opowiadanie „Ongi i dziś. Bitwa pod Koronowem” poświęcił mu autor „Krzyżaków”. To Henryk Sienkiewicz, wierny na ogół wielkiemu kronikarzowi z XV w., odkrył i jeszcze ubarwił urok tego boju, kiedy twarzą w twarz, zgodnie z regułami walk turniejowych borykali się na kopie, miecze i topory bitni rycerze polscy z jednej strony, a kwiat rycerstwa niemieckiego, czeskiego, węgierskiego i francuskiego – z drugiej.

Nie dżgano z tyłu, kilku nie napadało na jednego, jeńców nie dorzynano, ale z honorami brano pod opiekę. W przerwach rycerze pili razem wino, chwalili nawzajem swoje męstwo, opatrywali rany przeciwników. Sienkiewicz pisał: „... aż nareszcie z jednej i z drugiej strony wyciągnęły się ku sobie, prawie mimo woli, drżące jeszcze z wysiłku prawice.

– Cześć, Niemce, waszemu męstwu – huknęli polscy rycerze.

– Cześć wam! – odpowiedzieli Niemcy. – Lwie serca biją wam w piersiach i nie znajdziecie równych w chrześcijaństwie.

– Należliśmy równych, potykając się z wami”.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bitwa jednak nie zaczęła się i nie skończyła jak dworski turniej. Goście zakonu prowadzeni przez Krzyżaka Küchmeistra chcieli zająć niemal bezbronny, jak sądzili, gródek, a na widok pancernych zabijaków spod Grunwaldu zaczęli uciekać. Zatrzymali ich konni łucznicy (zapewne Tatarzy...), których udział w dalszych wypadkach nie do końca jest jasny. Polscy rycerze, choć było ich znacznie mniej niż wrogów, zwyciężyli po wielogodzinym boju, a dzieła zniszczenia dokonali, ścigając uciekających rycerzy europejskich.

Schwytanych z wielkimi honorami zaprowadzili do Bydgoszczy, gdzie

■ przebywał Jagiełło. Ten podjął rycerzy uczcią, zwrócił im konie oraz broń i odesłał do domu, przekonawszy przedtem, że to Polacy i Litwini, a nie Krzyżacy walczą o słuszną sprawę. Goście, już nie zakonu, ale polskiego króla, roznieśli wieść po Europie, która z ulgą odwróciła się od Krzyżaków, zajęta bardziej sporami o trony papieski i cesarski albo francusko-angielską wojną stuletnią.

Bitwa pod Koronowem miała więc zarówno istotne znaczenie militarne, gdyż zażegnała niebezpieczeństwo idące z Pomorza, jak i też trudne do przecenienia znaczenie propagandowe. Nareszcie sprawę polską omawiano na dworach europejskich równie przychylnie jak witano polskich rycerzy, z Zawiszą Czarnym na czele, symbolem męstwa i honoru.

I oto na soborze w Konstancji (1414–1418) życzliwie słuchano uczonego i duchownego Pawła Włodkowica, ówczesnego rektora Akademii Krakowskiej, i jego głęboko humanitarnych argumentów przeciw nawracaniu ogniem i mieczem pogan, mających pełne prawo do życia w pokoju, wedle własnych przekonań i obyczajów, na ziemi będącej ich własnością. Formułował więc przed najwyższym wówczas zgromadzeniem europejskim fundamentalne zasady przyszłego prawa międzynarodowego. Dodajmy, że on i inni delegaci z Polski publicznie – niestety, bezskutecznie – wystąpili w obronie Jana Husa.

Podczas soboru i po jego zakończeniu Polacy starali się u nieprzychylnego nam nowego papieża Marcina V o oficjalne potępienie rozpowszechnianej broszury „Satyra na herezje i inne nikczemności Polaków oraz ich króla Jagiełły”. Napisał go na zlecenie krzyżackie Niemiec z Gdańska, a podówczas dominikanin z krakowskiego (!) klasztoru przy kościele Świętej Trójcy, Jan Falkenberg. Oskarżał w nim Polskę o „nikczemne przestępstwo” korzystania ze zbrojnego wsparcia pogan w wojnie prowadzonej z zakonem. Argumentował, że wolno zabijać pogan tylko dlatego, że są poganami – natomiast Polaków tym bardziej, bo z poganami się sprzymierzają.

Po interwencji Włodkowica broszura była przedmiotem dochodzenia inkwizycji, a autora aresztowano. Papieżowi zawdzięczał, że traktatu nie uznano za heretycki, lecz jedynie za gorszący. Kapituła generalna zakonu dominikanów skazała Falkenberga na dożywotnie więzienie (ale w 1424 r. Marcin V przeniósł go

do Włoch i wkrótce uwolnił). W maju 1418 r. Polacy, których nie chciano wpuścić do pałacu papieskiego, dostali się do niego siłą, wyłamując bramę. I oto Zawisza Czarny z Garbowa i Janusz z Tuliszkowa w obecności papieża oświadczyli, że czci króla polskiego będą bronić „gębą i ręką”, i w końcu uzyskali od Marcina V potępienie traktatu Falkenberga.

CZAS WSPÓLNYCH BOHATERÓW

Mówienie o polsko-litewskim zwycięstwie pod Grunwaldem jest w pełni uprawnione, bo zwyciężyły Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie. Pokój, który podpisano 1 lutego 1411 r. w Toruniu, zwracał Litwie Żmudź, a Polsce – ziemię dobrzyńską. Okup za rycerzy zachodnich, który musiał zapłacić zakon krzyżacki – 100 tys. kop groszy – był tak wielki, że utopił Krzyżaków w długach do końca ich istnienia nad Bałtykiem (1525). Zrujnowany budżet, opór mieszkańców Prus i rosnąca potęga polsko-litewska sprawiły, że już nigdy nie byli w stanie – chociaż próbowali – poważnie zagrozić sąsiadom. To właśnie sprawili zakonowi owi lekceważeni sąsiedzi w święto Rozesłania Apostołów A.D. 1410.

Ale przecież zwycięstwo nie było tylko udziałem etnicznych (cokolwiek to miałyby w średniowieczu znaczyć) Polaków i Litwinów. Wśród 50 chorągwi polskich były przecież: lwowska, chełmska, podolska (podzielona na trzy chorągwie ze względu na liczebność rycerzy) oraz halicka. Wszystkie z ziem ruskiego księstwa halicko-włodzimierskiego, legalnie przyłączonego do Królestwa Polskiego w latach 40. XIV w. Z pewnością walczyli w tych chorągwiach rycerze polscy, ale w większości ruskiego pochodzenia. I bardzo dobrze! Byli też chorągiew przysłana przez polskiego lennika, hospodara mołdawskiego, oraz zaciężni Czesi.

Natomiast w 40 chorągwiach litewskich nie tylko trzy chorągwie smoleńskie i nie tylko rzadziej wspomniane chorągwie z republik Wielkiego Nowogrodu oraz Pskowa grupowały Rusinów. Ruscy rycerze z pewnością współtworzyli chorągwie: połocką, witebską, kijowską, pińską, drohicą, mielnicką, brzeską, wołkowyską, krzemieniecką czy starodubowską. Pod rozkazami księcia Witolda służyło też od 1 tys. do 2 tys. Tatarów, którzy odstąpili od Złotej Ordy (późniejsi nasi Lipkowie). Dowodził nimi Dżalal ad-Din, syn byłego chana Złotej Ordy Tochtamysza, zaledwie 11 lat temu walczącego pod wodzą tegoż Witolda ze

swymi promoskiewskimi rodakami w bitwie nad Worskłą po lewej stronie Dniepru, która zakończyła się straszliwą klęską armii litewsko-tatarsko-polskiej.

Tę klęskę prof. Andrzej Nowak uznał za korzystne dla Polski i Litwy zrządzenie losu. W rozmowie ze mną („Historia Do Rzeczy” nr 13/2014) powiedział m.in.: „Gdyby Witold wygrał z Moskwą pod Worskłą, byłyby to kres unii polsko-litewskiej. Być może stworzyłyby wielkie imperium, ale szybko przekształciłoby się ono w gigantyczną Ruś, w której Litwa roztopiłaby się jak kruszynka cukru w litrze wody. Taka była dysproporcja między nielicznymi, pogańskimi, dopiero latynizowanymi elitami litewskimi a wyższą kulturowo, prawosławną Rusią. Szybko straciłaby ona zainteresowanie trwaniem w przymierzu z małą Polską. Ale Witold przegrał. Na szczęście! Mówię to zarówno z polskiego punktu widzenia, jak i z litewskiego – bo po zwycięskiej dla Witolda Worskli rychło nie byłoby żadnej Litwy”.

Natomiast po wygranej pod Grunwaldem Witold musiał się zgodzić na unię w Horodle (1413), która wprawdzie dawała mu wielkoksiążęcy tytuł i rządy na Litwie, ale niedziedziczne i z wyboru Jagiełły. Wprowadzała też wspólne zjazdy polsko-litewskie i politykę obu państw. Kilkadziesiąt rodów litewskich przyjęło do herbów polskich.

Różne były dalsze wydarzenia we współpracy Królestwa Polskiego z Wielkim Księstwem Litewskim, z zapominanym często, ale znaczącym udziałem Rusinów (ich język był w Wielkim Księstwie językiem urzędowym do wieku XVII). Ale nawet po wygaśnięciu dynastii Jagiellonów pozostało wielkie dzieło ostatniego króla z tego rodu, czyli Zygmunta II Augusta, a mianowicie – Rzeczpospolita Dwojga (a właściwie Trojga) Narodów. Okazuje się, że pamięć o niej wraca szczególnie dziś nie tylko w Polsce i na Litwie, lecz także na Białorusi oraz Ukrainie – mimo trzech wieków dominacji Moskwy i rusyfikacji/sowietyzacji. Jakby idea oraz istota tej gwarantującej prawa i wolności, bardzo tolerancyjnej jak na owe czasy Rzeczypospolitej była tam i dziś potrzebna.

Ostatnio przypomina się tam również ich udział w wielkim zwycięstwie pod Grunwaldem. Nikt nam przez to nie zabiera tego zwycięstwa. Przeciwnie – podtrzymujemy wątki wspólnej tradycji i wspólnych bohaterów. Zwłaszcza że byli tacy naprawdę. Może narodzi się nowi...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Człowiek niezwykły

Rzecz będzie o człowieku niezwykłym. Tak swoją książkę rozpoczyna Grzegorz Łukomski. Jest to bez wątpienia określenie trafne. Sergiusz Piasecki był właśnie człowiekiem niezwykłym. Czytając jego powieści, wiemy, że to nie błaża. Że są oparte na prawdziwych przeżyciach i doświadczeniach pisarza.

Piasecki był przemysłowikiem na granicy polsko-sowieckiej. Był agentem polskiego wywiadu. Był bandytą – skazano go za pospolitą grabież – i przez wiele lat więzieniem najcięższego zakładu karnego w II RP. Był bohaterem polskiego podziemia, szefem komórki likwidacyjnej wileńskiej konspiracji.

Piasecki wachał proch i znał smak czarnego więziennego chleba. W swoim życiu przeżywał triumfy i klęski. Miał momenty słabości i heroizmu. Był człowiekiem z krwi i kości. Życiorysem Piaseckiego można by obdzielić kilku ludzi i żaden z nich nie mógłby uskarżać się na nudne życie.

Dotychczasowe książki o Piaseckim – pióra Krzysztofa Polechońskiego i Ryszarda Demela – skupiały się raczej na twórczości literackiej i losach pisarza. Grzegorz Łukomski pisze

zaś o światopoglądzie Piaseckiego, jego kapitalnej, a mało znanej, publicystyce.

Tożsamość pisarza wyznaczały dwa pojęcia – „Wielkie Księstwo Litewskie” i „antykomunizm”. Były one zresztą ze sobą ściśle splecione.

„Piasecki był nie tylko dzieckiem Kresów – pisze Łukomski – lecz także, i w równym stopniu, obywatel Wielkiego Księstwa Litewskiego, jednym z nielicznych jego prawdziwych epigonów”.

Urodzony w Lachowiczach nad rzeką Wiedźmą (obecnie jest to Białoruś) był synem tej ziemi. Jego powieści rozgrywały się w Mińsku, Rakowie, Wilnie, okolicznych miasteczkach i puszczech. Widać w nich miłość do ojczystej ziemi. Krajobrazów i ludzi.

Z miłości tej wypływał jego ideowy, bezkompromisowy antykomunizm. To bowiem właśnie bolszewizm

ostatecznie zniszczył to, co pozostało z Wielkiego Księstwa. Zmiażdżył tę unikalną krainę, jej kulturę i tkankę społeczną. „Twórczość Piaseckiego – pisze Łukomski – to hołd złożony ofiarom komunizmu”.

Zatem niech państwo czytają Piaseckiego! ☺☺



★★★★★

GRZEGORZ
ŁUKOMSKI
„SERGIUSZ
PIASECKI
(1901-1964)”
LW



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki polskiego filmu

Sztuka filmowa względnie szybko dotarła nad Wisłę i pierwszy pokaz odbył się 18 lipca 1896 r. w stołecznej Resursie Obywatelskiej przy Krakowskim Przedmieściu. Trzy lata później, przy ul. Piotrkowskiej w Łodzi, bracia Władysław i Antoni Krzemińscy założyli pierwsze stałe kino (Gabinet Iluzji). W 1902 r. Kazimierz Prószyński nakręcił dwa filmy inscenizowane („Powrót birbanta”, „Przygoda dorożkarza”), a w głównej roli wystąpił początkujący wówczas aktor Kazimierz Junosza-Stępowski. Nowa dziedzina sztuki błyskawicznie zdobywała popularność, a entuzjazm widzów był tak ogromny, że gdy w maju 1903 r. w Siedlcach zabrakło biletów, doszło do regularnych rozruchów. Rok później bracia Krzemińscy uruchomili pierwsze stałe kino w stolicy, którego widownia liczyła 260 miejsc (Bioscop). Niebawem w Łodzi Szwajcar z pochodzenia, Teodor Junod, otworzył Teatr Iluzji Urania, nie podejrzewając zresztą, że jedną z największych gwiazd nowej sztuki zostanie jego syn, Eugeniusz Bodo.

Początkującej kinematografii potrzebnymi byli producenci z prawdziwego zdarzenia, a pierwszym z nich okazał się Aleksander Hertz. Był typem wizjonera, jego wytwórnia filmowa Sfinks jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej zaplanowała sfilmowanie „Pana Tadeusza”! Zaskakiwały

również pomysły innych producentów, Kosmofilom zrealizował „Halkę” (w czasach niemego kina!!!), film wyświetlano zresztą często z podkładem muzyki Moniuszki.

Planowano też ekranizację „Potopu” – uzyskano osobistą zgodę Henryka Sienkiewicza. Nakręcono kilka scen do epizodu zatytułowanego „Obrona Częstochowy”, jednak na dalsze zdjęcia nie wyraziły zgody carskie władze. Warto jednak przypomnieć obsadę tej pierwszej ekranizacji: w rolę Kmicica wcielił się Bronisław Oranowski, Wołodjowski był Stefan Jaracz, natomiast Marię Dulębę obsadzono w roli Oleńki.

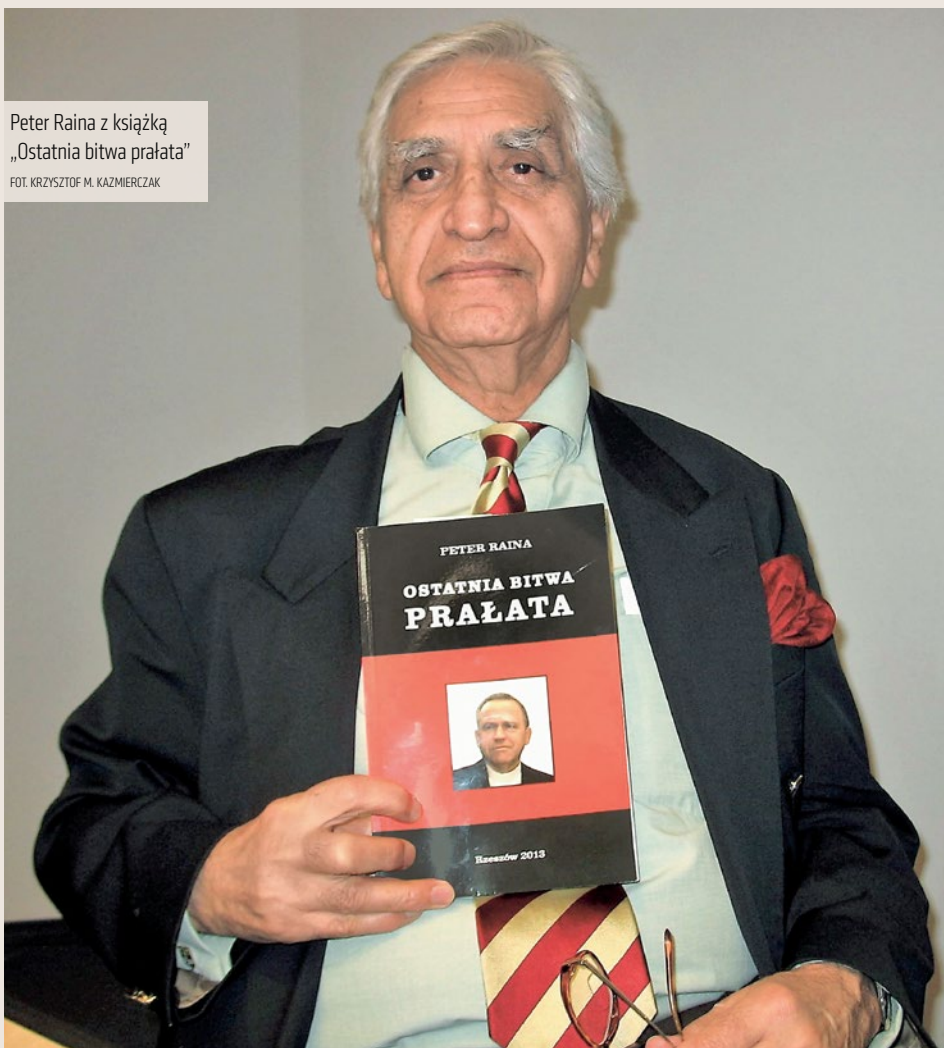
Pionierskie lata kinematografii wykreowały jej wizerunek jako plebejskiej rozrywki, przeznaczonej dla mało wymagającego odbiorcy. Faktycznie, podobno aż 90 proc. publiczności stanowili widzowie pochodzenia robotniczego, powszechnie zresztą uważano film za rozrywkę godną kucharek i służących. Inna sprawa, że nie wszyscy potrafili przystosować się do wymogów jego odbioru, a Tadeusz Boy-Żeleński narzekał na konieczność ciągłego patrzenia w ekran i nie pojmował zasad rządzących sztuką filmową. Dlatego klęską zakończyło się nakłonienie go do obejrzenia komedii Chaplina. Człowiek, uważany przez wielu za najdowcipniejszą osobę w Polsce, podczas seansu nie uśmiechnął się ani razu! ☺☺

Peter Raina jest znanym w polskiej sferze publicznej historykiem hinduskiego pochodzenia. Ma bez wątpienia zasługi w prezentowaniu życia i działalności kard. Stefana Wyszyńskiego oraz relacji państwo–Kościół w PRL (tu kluczowe było wydanie dokumentów z zasobu abp. Bronisława Dąbrowskiego). Przy czym, co należy jasno wskazać, jego działalność nie miała nigdy charakteru naukowego, bardziej pasuje tu określenie paranaukowy. Wszystkie jego publikacje są pozbawione właściwie aparatu krytycznego, źródła, które wydawał, nie mają zaznaczonych w wielu przypadkach opuszczeń, zdarzało mu się nawet źle opisywać tytuły edytowanych dokumentów, żadna z jego prac nie miała recenzentów naukowych (a przynajmniej nigdzie nie zostało to wykazane). Nawet wielotomowa seria wydawnicza dotycząca biografii Prymasa Tysiąclecia to tak naprawdę wypisy źródłowe z komentarzami autora – niejednokrotnie dość kontrowersyjnymi.

Peter Raina zasłynął także kolejnymi obronami duchownych skompromitowanych w polskiej sferze publicznej. Ma na koncie liczne publikacje wybielające życiorysy takich postaci jak ks. Henryk Jankowski (skandale seksualne i relacje z SB) czy o. Konrad Hejmo (współpraca z komunistycznym wywiadem). Szczególnie kuriozalna była obrona pierwszego z wymienionych kapłanów. Raina wydał w 2013 r. książkę zatytułowaną: „Ostatnia bitwa prałata”, w której bronił swojego przyjaciela (bo takie relacje łączyły go z ks. Jankowskim, co sam podkreślał) przed zarzutami dotyczącymi jego seksualnych nadużyć. Krzysztof M. Kaźmierczak, autor tekstu na ten temat, zauważył: „W książce podano pełne personalia świadków, w tym chłopców, którzy mieli być molestowani, chociaż te dane są objęte tajemnicą śledztwa i ochroną danych. Wśród dokumentów znalazły się kompletne protokoły przesłuchań i opinie seksuologów dotyczące małoletnich, z intymnymi szczegółami na ich temat. Autor twierdzi, że nie ma w tym nic niesłusznego. – Musiałem opublikować całość tych dokumentów, gdyż tylko wtedy dają one pełen obraz sytuacji. Poza tym spełniałem wolę prałata – tłumaczy Peter Raina”.

Warto przytoczyć jeszcze jedną wypowiedź Rainy o charakterze autokompromitującym: „Sam byłem kiedyś świadkiem całowania chłopców przez prałata i budziło to mój niesmak. Ale nikt

Peter Raina z książką „Ostatnia bitwa prałata”
FOT. KRZYSZTOF M. KAŻMIERZAK



Wybielanie



Rafał Łatka

Książka „Polowanie na kardynała. Sprawa Henryka Gulbinowicza” wpisuje się w nurt bezwzględnej obrony kapłanów o wątpliwej czy kontrowersyjnej przeszłości

nie widział w tym podtekście seksualnego. Książd Jankowski po prostu taki był, zachowywał się jak książę Kościoła”.

Trudno nie zadać pytania, co to ma wspólnego z obiektywnym badaniem rzeczywistości historycznej, wrażliwością na krzywdę nieletnich, a chętnie bym się

dowiedział, który z XX-wiecznych książąt Kościoła tak się zachowywał.

**RAINA NIČEGO
NIE WYJAŚNIA**

Dzięki pt. „Polowanie na kardynała. Sprawa Henryka Gulbinowicza”

– bo trudno nazwać książeczkę liczącą 79 stron (z czego część właściwa ma 44 strony) monografią, jak chce jej autor – wpisuje się w nurt bezwzględnej obrony kapłanów o wątpliwej czy kontrowersyjnej przeszłości.

Tekst w swojej części odnoszącej się do śledztwa Stolicy Apostolskiej i jej wyroku w sprawie kard. Gulbinowicza jest jedynie nieudolnym powtórzeniem niektórych tez Agnieszki Bugały z artykułu „Bohater wylany z kąpielą?” opublikowanego na łamach „Więzi” 24 listopada 2020 r. Raina, nie pisząc nic nowego, wyodrębia jedynie tezy wspomnianego wyżej tekstu oraz autokompromituje się, pytając np., dlaczego śledztwa w sprawie kard. Gulbinowicza Stolica Apostolska nie powierzyła archidiecezji wrocławskiej, tylko warszawskiej (widać, że udaje, iż nie zna starej rzymskiej zasady: *Nemo iudex in causa sua*). Oskarża także o zaniedbania kard. Kazimierza Nycza, choć – rzecz jasna – nie precyzuje jakie, bo trudno za nie uznać słowa: „Można przypuszczać, że sprawozdania Nycza dotyczące kard. Gulbinowicza musiały być skonstruowane tak, aby Stolica Apostolska zdecydowała się na wydanie wyroku skazującego wrocławskiego kardynała”. A więc Raina nie tylko niczego nie wyjaśnia, ale rzucił niczym niepodparte oskarżenia obraźliwe dla metropolity warszawskiego.

Równie nieudolne jest jego omówienie mojego tekstu „Rozmowy operacyjne funkcjonariuszy SB z kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem (1969–1985)”, opublikowanego na łamach „Glaukopisu” w czerwcu 2020 r., oraz monograficznej edycji źródłowej „»Dialog należy kontynuować...«. Rozmowy operacyjne Służby Bezpieczeństwa z ks. Henrykiem Gulbinowiczem 1969–1985. Studium przypadku” przygotowanej wspólnie z Filipem Musiałem, która liczy całe siedem stron (z czego półtorej strony dotyczy książki...). Otwiera ją kuriozalny wstęp, w którym Raina poucza o istnieniu wiarygodnych, rzetelnych historyków oraz takich, którzy nie rozumieją i nie uwzględniają kontekstu historycznego. Do grona tych pierwszych zaliczył Tomasza Balbusa i Katarzynę Stróżyne, którzy jakoby w wydaniu przez siebie tomie źródeł mieli przedstawić „pełny obraz” działań SB wobec ks. Gulbinowicza. Tylko w tym „pełnym obrazie” wspomniani autorzy nie uwzględnili dokumentów dotyczących rozmów kapłana z aparatem

bezpieczeństwa, które opublikowaliśmy w książce „»Dialog należy kontynuować...«. Nie ma w nich zatem materiałów źródłowych (szczególnie z okresu białoostockiego), które pokazują zupełnie inny obraz życia i działalności kard. Gulbinowicza, bardzo daleki od postawy prezentowanej po 1980 r.

KURIOZALNE ZAŁOŻENIA, KURIOZALNE WNIOSKI

Niechęć do przyjęcia do wiadomości, że wspomniane dokumenty stawiają hierarchę w znacznie gorszym świetle, prowadzi autora książki „Polowanie na kardynała” do dalszych kuriozalnych wniosków. Twierdzi m.in., że „całkowicie nieuprawnioną opinią” jest stwierdzenie, iż ks. Gulbinowicz deklarował wolę współdziałania z władzami – podczas gdy w rzeczywistości robił to kilkukrotnie, i to nie tylko w rozmowach z funkcjonariuszami SB, lecz także podczas spotkań z władzami partyjno-państwowymi.

Wbrew oskarżeniom Rainy nigdy nie mówiłem w mediach, że ks. Gulbinowicz był tajnym współpracownikiem SB – czekał zatem, aż mój adwersarz przytoczy stosowny cytat...

Kolejną niczym nieopartą tezę tego autora jest stwierdzenie, że za pomocą rozmów z bezpieką ks. Gulbinowicz osłaniał swoją wschodnią aktywność – to bardzo ciekawe w kontekście tego, że w momencie podjęcia dialogu z SB w 1969 r. był zaledwie rektorem WSD „Hosianum” (widać, że zdaniem Rainy czynił to z Olsztyna...). W podsumowaniu tej części dzieła „Polowanie na kardynała” jego autor twierdzi, że na podstawie przebiegu kilkunastoletnich rozmów ks. Gulbinowicza z aparatem bezpieczeństwa nie można wyciągać takich wniosków jak to, że: 1. prezentował się on w ich czasie jako „człowiek dialogu”; 2. „był przekonany, że prowadzi grę”; 3. zapewniał sobie przychylność SB przy ocenie jego kandydatury na kolejne stanowiska kościelne. Widać, że w jego przekonaniu trwające 16 lat rozmowy z bezpieką w żaden sposób nie wpływają na legendę „niezłomnego kapłana”, którą stworzono kard. Gulbinowiczowi. Trudno to nawet nazwać myśleniem życzeniowym, to już uporczywe nieprzyjmowanie do wiadomości realnej rzeczywistości historycznej.

Komediowym aspektem książeczki Rainy jest porównywanie działań Stolicy Apostolskiej w sprawie kard. Gulbinowicza do inkwizycji i losu Savonaroli... Równie kuriozalne jest poszukiwanie

ukrytych i daleko idących motywów w roku Watykanu w tej sprawie: „Dlaczego akurat polski Kardynał musiał posłużyć jako czarna owca? Czy może był jakiś inny powód tego werdyktu? Czy można przypuszczać, że chodziło o dokonanie zemsty na Janie Pawle II [...]”? Czy aby wymazać polskiego papieża z pamięci lub pomniejszyć jego autorytet, nie wkroczone na drogę wystawienia polskiego Kardynała na hańbę?” – pisze Raina. Trudno nawet skomentować te słowa sugerujące spiszek Stolicy Apostolskiej, którego celem miałyby być jeden z poprzedników papieża Franciszka.

Pracę Rainy wieńczy 24-stronicowy aneks, w którym znalazły się ogólnie znane dokumenty. Widać jednak, że autor nie rozumie treści jednego z materiałów, które edytuje, a mianowicie „Listu do duchowieństwa i wiernych archidiecezji wrocławskiej” abp. Józefa Kupnego odczytanego wiernym 15 listopada 2020 r. Obecny metropolita wrocławski pisał w nim: „Ufam, że Stolica Apostolska zbadała tę sprawę bardzo rzetelnie, a podjęte działania będą stanowić nie tyle sąd nad jego osobą, ile będą wyrazem ludzkiej uczciwości wobec osób, które w przeszłości doznały krzywd i cierpienia. Przede wszystkim tym osobom należy się słowo »przepraszam«. Prośbę o wybaczenie kieruję także do Was, którzy każdego dnia ofiarne z dużym poświęceniem budujecie Kościoł na Dolnym Śląsku [...]”.

Na koniec tego krótkiego tekstu chciałbym zaapelować do dr. Rainy, by zechciał szczegółowo opowiedzieć o swoich relacjach z wywiadem PRL. Byłoby właściwe, gdyby wyjaśnił także, kto kryje się pod pseudonimami: Peteros, Pred, Sanyo – rejestrowanymi przez Departament I MSW w latach 1973–1990. Warto w tym miejscu przytoczyć fragment dokumentu zatytułowanego „Sprawozdanie z pracy rezydentury berlińskiej za okres od 1 stycznia 1980 do 30 maja 1982 r.” z 10 czerwca 1982 r., sporządzonego przez rezydenta SB w Berlinie o ps. Mild, który stanowi dobry, myślę, trop do rozszyfrowania tej zagadki. Rezydentura „zainspirowała artykuł i wywiad z »Predem« w »Polityce«, doprowadzając do poruszenia w środowiskach dywersji Berlina Zach[odniego] i RFN, do skłócenia figurantów i osłabienia ich wrogiej działalności”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, doktorem habilitowanym, pracownikiem naukowym BBH IPN.



Maciej Szymanowski

Dyktator. Przyjaciół Putina. Homofob. Szaleniec, który rzucił wyzwanie samemu Sorosowi – mawiają niektórzy. Z drugiej strony to wielki reformator, najdłużej rządzący premier w dziejach Węgier i polityk, w którym niektórzy już widzą przyszłego przewodniczącego Komisji Europejskiej

Minęły całe wieki, kiedy po raz ostatni pojawiła się tak wspinała szansa, aby narody Europy Środkowej, mądrze zgrupowane wokół polskiego okrętu flagowego od Bałtyku do Bałkanów, same określiły swój los. „Działajmy pod przewodnictwem Polaków, bo polska gospodarka jest najbardziej odporną gospodarką w Europie Środkowej”. „Za 10 lat Polska stanie się nowymi Niemcami Europy” – to przykładowe wypowiedzi Viktora Orbána z ostatniego roku, które pokazują, że jego zafascynowanie Polską nie skończyło się na poświęconej ruchowi Solidarność pracy magisterskiej.

W tym kontekście wypowiedziane w czerwcowym wywiadzie dla chorwackiego tygodnika „Glas Koncila” słowa: „Szczególnie żałuję, że nie będę mógł uczestniczyć w beatyfikacji kard. Stefana Wyszyńskiego, która odbywa się w Polsce tego samego dnia co Światowy Kongres Eucharystyczny na Węgrzech” brzmią nie tylko wiarygodnie, lecz także przypominają, że Viktor Orbán należy do tych polityków, dla których ważne są wartości. Kiedy te zamieniają się w swoje przeciwieństwo – tak jak w wypadku liberalizmu, który współcześnie znalazł się w awangardzie ideologii ograniczających wolności obywatelskie – Viktor Orbán nie zawaha się wycofać swojej partii z frakcji liberałów. Podobnie jak nie zawahał się w Parlamencie Europejskim kontestować Europejską Partię Ludową, a następnie ją porzucić, kiedy ta pod wodzą duetu Juncker-Weber weszła w fazę lewicowego dryfu.

PREMIER PO RAZ PIERWSZY

Viktor Orbán przychodzi na świat w 1963 r. w małżeństwie młodych



Kim jesteś, Viktorze Orbánie?



W 1990 r. zostaje posłem Zgromadzenia Narodowego, aby w 1998 r., w wieku zaledwie 35 lat, pierwszy raz zająć stanowisko premiera. Rząd złożony z 30-latków dobrze sobie radzi, ale w 2002 r. jest zmuszony oddać władzę lewicowo-liberalnej opozycji, która wprowadzenie tzw. Karty Węgry, ułatwiającej podróże i podejmowanie pracy na Węgrzech przez Węgrów z państw ościennych, zręcznie użyła w kampanii wyborczej jako straszaka przed „najazdem biedoty” z Rumunii i ze Słowacji.

Fidesz oddaje władzę na długie osiem lat, ale czas ten dobrze wykorzystuje. Buduje własne prywatne media oraz poszerza zaplecze społeczne partii, której liczba członków – w okresie przebywania w opozycji – rośnie z 5 do 30 tys., dzięki gigantycznej pracy wykonanej w tzw. kołach obywatelskich i innych stowarzyszeniach o charakterze dyskusyjnym, zakładanych jak kraj długi i szeroki.

OLBRZYMIE TEMPO ZMIAN

W wyborach z 2010 r. Fidesz pod kierownictwem Viktora Orbána sięga nie tylko po imponującą większość dwóch trzecich w Zgromadzeniu Narodowym, którą to większością dysponuje do dzisiaj, lecz także dosłownie zasypuje parlament przygotowanymi wcześniej projektami ustaw, które reformują życie kraju w wielu podstawowych obszarach. Liczba posłów i ministerstw maleje o połowę, a w nowej konstytucji pojawia się odwołanie do Boga, potępienie komunizmu „i jego politycznych dziedziców”, małżeństwo zostaje zdefiniowane jako związek mężczyzny i kobiety. Na koncerty działające w energetyce, ubezpieczeniach, bankowości, telekomunikacji zostaje nałożony „podatek kryzysowy”, czemu towarzyszy akcja ponownego przejmowania przez skarb państwa wielu sprywatyzowanych wcześniej strategicznych przedsiębiorstw. Dzięki kombinacji różnych form przymusu wobec pobierających zasiłki dla bezrobotnych oraz zachęt wobec emerytów znacząco, bo o ok. 20 proc., wzrosła liczba osób pracujących w kraju. Zrewolucjonizowano system wsparcia dla rodzin, dzięki czemu wzrosła dzietność – z poziomu 1,2 do 1,6 dziecka przypadającego na statystyczną młodą kobietę. Według ubiegłorocznego raportu liberalnego think tanku Policy Solutions to właśnie politykę prorodzinną rządu Orbána Węgrzy cenią sobie najwyżej (57 proc. wskazań).

studentów agrotechniki. Dzieciństwo spędza na wsi w domu bez bieżącej wody. Bardziej niż zdobywanie wiedzy w szkole pasjonuje go wówczas bieganie za piłką. Polityką zaczyna interesować się podczas służby wojskowej, kiedy głupota napotkanych oficerów i przepisów, którymi się rządzą, zrodziła w nim pytania o kondycję rządzonych przez komunistów Węgrów. Podczas studiów prawniczych trafia do jednego z niezlikwidowanych przez komunistów kolegów, gdzie spotyka marzących o prodemokratycznych zmianach w kraju wykładowców, takich jak późniejszy szef kancelarii premiera István

Stumpf czy przebywający w Budapeszcie na gościnnych wykładach prof. Wacław Felczak, który doradza młodym studentom założenie własnej partii zamiast wstępowania do partii komunistycznej w nadziei na tzw. zmianę systemu od wewnątrz. Taka partia pod nazwą Związek Młodych Demokratów Fidesz rzeczywiście powstaje wiosną 1988 r., a jej współzałożyciel – Viktor Orbán – zdobywa wkrótce rozgłos poprzez sformułowanie żądania natychmiastowego wycofania wojsk sowieckich z kraju, dzięki czemu zostaje okrzyknięty politycznym ekstremistą. Nie po raz ostatni w życiu.

■ Brak zgody na masowe przyjmowanie imigrantów czy obniżenie cen energii wskazało odpowiednio: 45 proc. i 35 proc. Dla porównania: o tym, że „na Węgrzech nie ma już demokracji”, w tym samym sondażu było przekonanych 11 proc.

Tempo i zakres zmian wywołały nieprzychylnie reakcje Brukseli już w 2012 r. Podczas prezydentury Węgier w UE premier Orbán w Parlamencie Europejskim musi się bronić przed zarzutem prowadzenia polityki „eksperymentów ekonomicznych” i „ograniczania mechanizmów demokratycznych”. Rok później Węgry przed czasem spłacają zadłużenie w Międzynarodowym Funduszu Walutowym i zamykają jego siedzibę w Budapeszcie.

Prawdziwa konfrontacja z unijnymi organami i wieloma rządami w Unii zaczyna się jednak tak naprawdę dopiero w 2015 r., kiedy węgierski rząd najpierw jest ostro krytykowany za dotrzymywanie schengen-skich procedur regulujących rozpatrywanie wniosków o azyl polityczny, a następnie – już po otwarciu granic, które przekroczyło, w podróży głównie do Austrii i Niemiec, w krótkim czasie ok. 0,5 mln osób – o brak zgody na przyjęcie choć części imigrantów. Viktor Orbán czy jego minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó na oficjalnych rozmowach czy występując przed kamerami zagranicznych telewizji, doprowadzali wielu do białej gorączki, dobrym angielskim, bez nuty wstępu w głosie spokojnie oświadczać, że szanują wolę państw, które zdecydowały się na multikulturalizm, ale Węgrzy w znakomitej większości wolą pozostać dalej państwem jednorodnym etnicznie.

Tak otwarcie komunikowana polityka stojąca w sprzeczności z zasadami poprawności politycznej w Unii narobiła premierowi Orbánowi wielu wrogów. A także poza Unią, aby wspomnieć chociażby amerykańskiego multimiliardera węgierskiego pochodzenia George’a S. Sorosa. Wielu innym jednak takie zachowanie przywódcy Węgier niesamowicie zaimponowało. Jak zauważa w jednej ze swoich analiz publicystka czeskiego portalu Konzervativní Noviny: „Węgry stały się w tym momencie jakby drugim Izraelem. Państwem, o którym każdy ma jakieś zdanie”.

Viktor Orbán jest bez wątpienia politykiem sukcesu, ale nie wszystko mu się udaje. I nie chodzi tutaj tylko o kilkukrotnie przegrane wybory w przeszłości. Choć absencja reprezentujących obecne najmłodsze polityczne pokolenie nowych „młodych

Orbán doczekał się pięciorga dzieci i pięciorga wnuków.

To bardzo różni go od wielu liderów, takich jak Merkel czy Macron, którzy dzieci nie mają

demokratów” na wyższych piętach władz Fideszu może mieć swoje negatywne konsekwencje już wiosną, w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych.

Ogłoszone hucznie przed laty plany otwarcia nowych rynków zbytu dla węgierskich towarów nie przyniosły większych efektów. Strategia tzw. otwarcia na Wschód, odłożenie niejako na bok istniejących różnic w nadziei na zwiększenie wymiany handlowej z Rosją, Chinami czy Turcją nie doprowadziło do zahamowania procesu rosnącej dominacji rynków państw unijnych w węgierskiej gospodarce.

Podobnie dobre kontakty z niemieckim biznesem i częste z niemieckimi mediami też nie okazały się uniwersalnym panaceum w sytuacji pojawienia się sytuacji konfliktowej z Berlinem czy oddelegowywani do Brukseli politykami znad Szprewy. Świadczy o tym rażący rozdźwięk między tym, co zazwyczaj słyszymy w Berlinie i Brukseli, a treścią postulatów sformułowanych niedawno przez samego Viktora Orbána, który w następujący sposób włączył się do przebiegającej właśnie z inicjatywy Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej dyskusji na temat „przyszłości Europy”.

Zacytujmy tutaj tylko fragmenty kilku z nich. „Budowanie imperium brukselskiego nieuchronnie prowadzi do braku demokracji”, „Wyrażenie »coraz ściślejsza unia« powinno zostać przy pierwszej dogodnej okazji usunięte z Traktatu o UE”, „Aby ochronić tożsamość narodową i konstytucyjną państw członkowskich, należy utworzyć nową instytucję z udziałem trybunałów konstytucyjnych państw członkowskich”, „Parlament Europejski okazał się ślepą uliczką dla europejskiej demokracji. To krajowi ustawodawcy powinni wysłać swoich przedstawicieli do PE”.

I jeszcze kilka zdań na temat młodzieży, tym razem z dziennika „Magyar Nemzet”: „Musimy skupić się na wyrazistych tradycjach narodowych. Celem edukacji jest, aby nasze dzieci stały się patriotami, któ-

rzy mogą kontynuować nasze sprawdzone tradycje. Jako chrześcijańscy demokraci oczekujemy również, żeby szkoła wzmacniała tożsamość płciową, nadaną każdemu dziecku przy narodzinach przez Stwórcę – pomagając dziewczętom stać się dzielnymi i godnymi szacunku kobietami, a chłopcom zostać mężczyznami zdolnymi do zapewnienia bezpieczeństwa i wsparcia rodzinom. Szkoły powinny chronić ideały i wartości rodziny oraz trzymać ideologię gender i tęczową propagandę z dala od nieletnich”.

Marzenia ściętej głowy? Cóż, politycy dyktujący dziś warunki gry w Unii raczej nie będą w stanie zaprzeczyć własnemu kodowi kulturowemu jako osoby wywodzące się z państw zbudowanych zwykle w tradycji absolutystycznej i centralistycznej. Ale w tej ostatniej przynajmniej wspomnianej przez premiera kwestii słowa premiera Viktora Orbána nie pozostały tylko słowami. Węgierskie Zgromadzenie Narodowe zdążyło już przegłosować nawet ustawę gwarantującą nieletniemu prawo do zachowania tożsamości odpowiadającej płci w chwili urodzenia. Jak słusznie przed dwoma tygodniami zauważył w komentarzu redaktor naczelny Paweł Lisicki, poprawi to bezpieczeństwo nie tylko dzieci, lecz także rodziców.

POLITYK Z AMBICJAMI

Żonaty od 1986 r. z czarującą Anikó Viktor Orbán doczekał się pięciorga dzieci i pięciorga wnuków. To bardzo go różni od wielu innych przywódców, takich jak chociażby Angela Merkel czy Emmanuel Macron, którzy dzieci nie mają. Wbrew wieloletniej propagandzie swoich politycznych przeciwników żyje skromnie, w duchu najlepszych tradycji kalwinizmu. Osoby, które miały okazję go bliżej poznać, są zgodne, że humor i dyplomatyczna ogłada ukrywają prawdziwie chłopską twardość i chłpięczą zadziorność. Rozstał się z wieloma politycznymi współpracownikami i przyjaciółmi, co nie przeszkadzało mu zwykle wyciągnąć do nich dłoni ponownie. Obok Mateusza Morawieckiego i premiera Słowenii Janeza Janšy jest jedynym premierem, który posiada w swoim życiorysie antykomunistyczną przeszłość. Jako mówca potrafi używać tak niebanalnych porównań, że jego przemówień lubią posłuchać nawet osoby mu nieżyczliwe. Ma 58 lat. Wiek optymalny dla polityka z ambicjami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.



NAUCZYCIEL ZWOLNIONY ZA MÓWIENIE O PŁCI

Jesus Barron Lopez, nauczyciel biologii w szkole średniej w hiszpańskim Alcalá de Henares, został zawieszony w obowiązkach służbowych. Powód? Na lekcji biologii nauczał, że istnieją dwie płcie: męska i żeńska. Mówił też, że choć są transseksualiści i zmieniają operacyjnie genitalia, to nadal pod względem genetycznym zachowują chromosomy płci, z którą się urodzili. Rodzice poskarżyli się na takie nauczanie, dyrekcja zawiesiła go na sześć miesięcy i zmniejszyła mu pensję o 600 euro. Nauczyciel złożył skargę do sądu.

FOT. ADOBE STOCK

TRANSSEKSUALISTA ZOSTAŁ MISS

Kataluna Enriquez to pierwszy w historii mężczyzna, który wygrał z kobietami w wyborach miss. Chodzi o konkurs Miss Nevada w USA, gdzie po raz pierwszy dopuszczono start transseksualistów. Enriquez w wieku 14 lat dokonał „zmiany płci” na kobietę. Po wygraniu konkursu ujawnił, że jego celem nie jest konkurs stanowy, ale wygranie krajowego konkursu – Miss USA. Szlak ten wcześniej przecierał już inny transseksualista – Angela Ponce reprezentował Hiszpanię w światowym konkursie Miss Universe.

NIEMORALNE MANEKINY

Władze miasta Kano na północy Nigerii zakazały sklepikarzom używania manekinów przypominających ludzi. Powód? Policja religijna (jest to islamska część kraju i obok prawa krajowego stosowany jest tam szariat) uważa, że tego rodzaju manekiny są „odpowiedzialne za niemoralne myśli niektórych członków społeczeństwa”. Zapowiedziano publiczną kampanię w tej sprawie oraz zapowiedziano kontrole w supermarketach, butikach i u krawców.

KREWKA ŻONA AMBASADORA

Belgijski ambasador w Korei Południowej ma żonę bardziej znaną niż on sam. W kwietniu ujawniono film, na którym pani Xiang Xueqi spoliczkowała ekspedientkę w sklepie odzieżowym. Nic jej się nie stało, policja musiała umorzyć postępowanie ze względu na immunitet dyplomatyczny. Teraz – jak donosi „The Korean Times” – Xiang wdała się w bójkę z pracownikiem zamiatającym ulice. Wpadła w gniew, bo miał „dotknąć” jej miotłą. Teraz nie obędzie się bez kary, bo władze Belgii po ostatnim incydencie immunitet jej zabrały.

KIBICE ZA MOCNO ODLECIELI

Podczas zakończonego niedawno Euro 2020 wydarzały się rzeczy ciekawe. Poza boiskiem. Grupa francuskich kibiców poleciała na mecz swojej reprezentacji do Bukaresztu. Ale meczu nie zobaczyła. Odbijał się on bowiem w Budapeszcie. Takie podobne nazwy, to się można pogubić. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump walczy z cenzurą

Były prezydent USA ogłosił złożenie w sądzie federalnym na Florydzie pozwu zbiorowego przeciw Facebookowi, Twitterowi i Google oraz ich szefom. Donald Trump zarzuca im cenzurowanie konserwatystów i domaga się odblokowania kont. Zostały one zawieszone w związku z wygłaszanymi przez Trumpa opiniami o sfałszowanych wyborach, które – zdaniem cenzorów z Big Tech – podzęgały do przemocy.

– Nie ma lepszego dowodu na to, że Big Tech jest poza kontrolą, niż to, że zawiesili urzędującego prezydenta, a zakaz ten obowiązuje do dziś. To sytuacja niesprawiedliwa i bardzo,

bardzo zła dla naszego kraju. Jeśli mogą to zrobić mnie, mogą to zrobić każdemu. I w rzeczy samej dokładnie to robią. Wyrzucają ludzi, nie wiadomo za co – zauważył Trump.

Argument byłego przywódcy Ameryki jest prosty: skoro portale takie jak Facebook urastają do rangi aktywnego gracza państwowego, to muszą przestrzegać pierwszej poprawki do konstytucji, która gwarantuje wolność słowa.

Trudno odmówić mu racji: Big Tech ma ogromny wpływ na dzisiejszy świat, a pozostaje poza społeczną kontrolą z możliwością arbitralnego blokowania dowolnych treści.

Trump w tej wojnie przegrał już kilka bitew. Po pierwsze, zamiast wesprzeć konserwatywnych rywali Big Tech lub stworzyć własny serwis, założył bloga, co mogłoby wypalić 30 lat temu, ale nie dziś. Po drugie, pozew powinien być złożony wcześniej i lepiej przygotowany. Po trzecie, walka o powrót do serwisów, które bezkarnie cenzurują, nie brzmi poważnie. Podobnie jak płacz wielu konserwatywnych polityków na świecie, którzy regularnie skarżą się na cenzurę, obniżanie zasięgów etc. i karnie pozostają na Facebooku czy Twitterze. Skoro te media są złe, to trzeba konta zamykać, a nie pchać się z powrotem. ©©



Rodzina Rudnickich zamordowana przez UPA we wsi Chobuhtowa, powiat Włodzimierz FOT. OSRODEK KARTA

MACIEJ PIECZYŃSKI: Stwierdził pan, że działalność Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej pod kierownictwem Wołodymyra Wiatrowycza zmierzała w „niewłaściwym kierunku”. Co ma pan do zarzucenia swojemu poprzednikowi?

ANTON DROBOWYCZ: Z uwagi na etykę zawodową postaram się odpowiedzieć w możliwie wyważony sposób. Przede wszystkim jestem człowiekiem o poglądach liberalnych. Daleki jestem od radykalizmu przypisywanego Wołodymyrowi Wiatrowiczowi w Polsce. Uważam, że w kwestii pamięci historycznej trzeba stawiać na dialog z przedstawicielami różnych opcji. Tego wcześniej zabrakło. Dobrym przykładem jest kwestia dekomunizacji. Mój poprzednik nie był zbyt otwarty na dyskusję ze środowiskami artystów, ludzi kultury, którzy postulowali, by zamiast demontować pomniki słusznie minionej epoki, przekazać je np. do muzeum.

Które tradycje, postaci, wydarzenia są dla pana najważniejsze? Słowem: jaki jest dekalog polityki historycznej Antona Drobowycza?

Kierunki działalności UIPN określa ukraińskie ustawodawstwo. To nie jest koncert życzeń zwykłego urzędnika



Z Antonem Drobowyczem, prezesem Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej rozmawia Maciej Pieczyński

„I UPA, i AK miały krew na rękach”

państwowego, którym jestem. Główne cele to zachowanie miejsc pamięci i opieka nad nimi, walka ze spuścizną reżimów totalitarnych: nazistowskiego i komunistycznego, wspieranie dialogu na temat przeszłości, popularyzacja historii, upowszechnianie dostępu do archiwów. Najważniejszym zadaniem instytutów pamięci narodowej w krajach postkomunistycznych, takich jak Ukraina czy Polska, jest oczywiście troska o tę pamięć, która w czasach sowieckiej dominacji była zafałszowana, wykrzywiona. Komuniści zrobili wiele, aby świat nie usłyszał o walce wyzwoleniczej naszych narodów... Przede wszystkim chcę zwrócić uwagę na te epizody, które są najsłabiej zbadane przez historyków, na te postaci i te organizacje, które albo zostały zapomniane, albo zdyskredytowane przez komunistyczną propagandę. Chcę więc przypominać o antysowieckich powstaniach chłopskich, buntach przeciwko kolektywizacji w okresie wielkiego głodu, ale też o ukraińskiej rewolucji lat 1917–1921, kiedy to walczyliśmy o swoją państwowość. Wreszcie: bardzo ważny jest dla mnie temat Cudu nad Wisłą. Udział Ukraińców w wojnie polsko-bolszewickiej to nad Dnieprem wciąż bardzo mało znany fakt. A szkoda.

Nie wspominał pan o OUN i UPA. Czy Stepan Bandera, Roman Szuchewycz i Kłym Sawur to według pana bohaterowie narodowi Ukrainy?

Państwo powinno w możliwie najmniejszym stopniu zajmować się heroizacją konkretnych postaci historycznych. Wyjątkiem jest prezydent, który przyznaje oficjalnie tytuł bohatera Ukrainy. Kult działaczy politycznych czy dowódców wojskowych ociera się o niebezpieczną ideologizację, nawiązującą do mrocznych czasów totalitaryzmu. W realiach ukraińskich gloryfikacja na szczeblu państwowym uczestników współczesnej wojny rosyjsko-ukraińskiej jest zrozumiała, ale i tu trzeba zawsze zwracać uwagę na fakty i przestrzeganie prawa. Wobec postaci historycznych musimy natomiast zachować maksymalny obiektywizm i bezstronność. Obywatele mojego kraju mają prawo do wyznawania najróżniejszych poglądów. Na Ukrainie nie może być żadnej dominującej, powszechnie obowiązującej ideologii. Bohaterami stają się konkretni ludzie nie dlatego, że tak zdecydowała machina państwowa, ale dlatego, że tak uznało społeczeństwo.

Ale czy dla pana, osobiście, Bandera, Szuchewycz i Kłym Sawur są bohaterami?

To są postaci historyczne, które mają swoje miejsce w dziejach Ukrainy. Na poziomie UIPN były podejmowane próby ich heroizacji, co jednak wywołało pewne kontrowersje. Społeczeństwo różnie ich ocenia. Dla jednych to wielcy bohaterowie. Inni nie mają na ten temat zdania. Do tego dochodzi specyfika regionalna – wiadomo, że na zachodzie kraju Bandera czy Szuchewycz cieszą się większą sympatią niż na wschodzie. Jeśli chodzi o aspekt prawny, to w świetle obowiązującego ustawodawstwa członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, Ukraińskiej Wojskowej Organizacji oraz Ukraińskiej Powstańczej Armii, uczestniczący w walkach w czasie drugiej wojny światowej, uważani są za bojowników o niepodległość Ukrainy. Wciąż jednak trwa debata na temat oceny tych postaci – im więcej tego typu dyskusji, tym lepiej dla prawdy o naszej przeszłości.

Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie. Powtórzę: jak pan ocenia te postaci?

Nikt nie ma prawa narzucać innym własnej opinii na ten czy inny temat. Uważam, że Bandera, Szuchewycz i Kłym Sawur to postaci problematyczne dla historii Ukrainy. Bezsprzecznie byli bojownikami o niepodległość mojego kraju. To byli odważni ludzie, którzy walczyli o Ukrainę, ale ja nie podzielam wielu ich decyzji i metod.

Pośrednio Bandera, a bezpośrednio Szuchewycz i Kłym Sawur odpowiadają za rzeź wołyńsko-galijską. Czyli za śmierć ponad 100 tys. osób, które zginęły tylko dlatego, że były pochodzenia polskiego. Czy zgadza się pan, że „tragedia wołyńska”, by użyć popularnego nad Dnieprem eufemizmu, była ludobójstwem?

Mówią państwo o 100 tys. ofiar, ale ta liczba została ustalona przez polityków, a w środowisku akademickim nadal toczy się debata na temat liczby ofiar śmiertelnych. To jest kwestia badań archiwalnych i naukowych, a nie decyzji parlamentarnych. Z drugiej strony, ludobójstwo to kategoria prawa międzynarodowego. Są odpowiednie instancje, które mogą tak ocenić konkretną zbrodnię. Określenie w języku ukraińskim „tragedia wołyńska” w percepcji Ukraińców nie umniejsza cierpienia ani nie rozmywa odpowiedzialności osób zaangażowanych w zbrodnię. Słowo „tragedia” oznacza ogólnonarodowe nieszczęście spowodowane ostrym, niemożliwym do pogodzenia konfliktem, wysoki stopień katastrofy. Trzeba oddać

część ofiarom. Nie zapominajmy jednak, że do zbrodni dochodziło po obu stronach konfliktu. UPA mordowała polską ludność cywilną, AK natomiast – ukraińską ludność cywilną.

Nikt w Polsce nie zaprzecza, że ginęli również Ukraińcy. Ale nie można porównywać...

Dlaczego?! Zarówno OUN czy UPA, jak i AK to były formacje podziemia niepodległościowego, które dopuszczały się zbrodni na cywilach!

Nie można porównywać odgórnie zaplanowanej przez OUN i UPA masowej akcji eksterminacyjnej z akcjami odwetowymi czy pojedynczymi zbrodniami ze strony polskiej.

Po pierwsze, polskie zbrodnie też były zaplanowane. Po drugie, mówi pan o „akcjach odwetowych”. Czyli uważa pan, że słuszna jest zasada „oko za oko, ząb za ząb”?

Nie. Nie usprawiedliwiam polskich zbrodni, tylko tłumaczę, że doszło do nich w odpowiedzi na ukraińskie zbrodnie. A to ma znaczenie.

Rywalizacja o to, kto poniósł więcej ofiar, to bardzo nieuczciwa, niemoralna konkurencja. Powinniśmy się zgodzić, że zbrodnie dokonywane przez zbrojne formacje na bezbronnych ludziach są godne potępienia niezależnie od tego, kto był ich sprawcą.

Niemoralne jest stawianie znaku równości pomiędzy zbrodnią a zemstą za zbrodnie. Czy zgadza się pan z tezą Wołodymyra Wiatrowycza, że od 1939 do 1947 r. trwała tak naprawdę jedna wojna polsko-ukraińska?

Nie, ponieważ nie istniało wówczas ani polskie, ani ukraińskie państwo. Dlatego można raczej mówić o konflikcie etnicznym, w którego trakcie zginęły tysiące cywilów obu narodowości. Zarówno polskie, jak i ukraińskie ofiary zasługują na taki sam szacunek. Zamiast się kłócić, powinniśmy wzajemnie wybaczyć sobie krzywdy i zrobić wszystko, aby ta hańba nigdy więcej się nie powtórzyła.

Ofiarom należy się taki sam szacunek, ale sprawców już zrównywać ze sobą nie sposób. Liczne dokumenty: raporty dowódców UPA z przeprowadzonych akcji, „pozytywna ocena” rzezi na Wołyniu przez Szuchewycza, a nawet pisma teoretyczne Mychajły Kołodzińskiego z czasów przedwojennych świadczą o tym, że wydarzenia lat 1943–1944 były odgórnie zaplanowaną akcją, której celem była likwidacja ludności polskiej na Wołyniu i w Galicji. Nie ma dowodów, by

■ zbrodnie na Ukraińcach były równie metodyczną, konsekwentnie zorganizowaną akcją ludobójczą.

Czy pan kiedyś słyszał o wsi Pawłokoma?!

Tak, wiem, że Polacy wymordowali tam ludność ukraińską.

Celem polskiego oddziału była całkowita likwidacja ukraińskiej wsi! Czy to przypadek? Czy może jednak zorganizowana ludobójcza akcja?

Najpierw był Wołyń, potem była Pawłokoma. Nie usprawiedliwiam zbrodni, tylko podaję istotną w tej sprawie chronologię.

Pańskie „ale” to jest pewien rodzaj usprawiedliwienia zbrodni. Ja naprawdę nie twierdzę, że Ukraińcy byli całkowicie niewinni. Mówię tylko, że zbrodniarz wojenny jest zbrodniarzem wojennym niezależnie od narodowości.

To może osądzimy samych zbrodniarzy. Na przykład „Kłyma Sawura”, organizatora akcji antypolskiej na Wołyniu.

Albo Stanisława Basaja z Batalionów Chłopskich, który brał udział w zbrodni w Sahryniu. Trzeba przeprowadzić rzetelne śledztwa. Musimy za wszelką cenę uniknąć bolszewickiej praktyki, jaką jest tzw. odpowiedzialność zbiorowa. W przeciwnym wypadku będziemy musieli uznać, że wszyscy Ukraińcy są mordercami albo że wszyscy Polacy.

Ja nic takiego nie powiedziałem. Nie oskarżam narodu, tylko konkretnych sprawców, których narodowość jednak ma znaczenie.

Potępiając zbrodnie wojenne, trzeba potępić również tych, którzy ludobójczymi metodami odpowiadają na ludobójcze metody. Ponadto nie zapominajmy o antyukraińskiej polityce władz międzywojennej Polski. Bereza Kartuska, pacyfikacje wsi, burzenie cerkwi, potem tragedia wołyńska, polskie zbrodnie, wreszcie powojenna polityka polskich komunistów. To wszystko jeden łańcuch dziejów. Nie możemy przysmykać oczu na te jego ogniwa, które nam nie pasują do założonego z góry obrazu. Nie możemy wyrwać wydarzeń z kontekstu. Musimy znać nie tylko skutki, lecz także przyczyny zbrodni...

Oczywiście, antyukraińska polityka II Rzeczypospolitej może pomóc odpowiedzieć na pytanie o przyczyny Wołynia. Ale jakkolwiek by była, żadne działania ówczesnych polskich władz nie mogą usprawiedliwiać ludobójstwa dokonanego przez UPA.

Wszyscy potępiamy ludobójcze akty, ale z jakiegoś powodu ciągle do nich dochodzi

Zgoda. Żadne okoliczności nie usprawiedliwiają kogoś, kto zabił niewinne dziecko. Nawet jeśli zrobił to z zemsty. To dotyczy zarówno Polaków, jak i Ukraińców. Naszym zadaniem jest opowiedzieć o tym, jak doszło do tej tragedii – po to, aby nigdy więcej do czegoś podobnego nie doszło. Wszyscy potępiamy ludobójcze akty, ale z jakiegoś powodu ciągle do nich dochodzi. Moim zdaniem dzieje się tak dlatego, że zamiast skupić się na samym zjawisku zła, dzielimy ludzi na ofiary i zbrodniarzy, pogłębiając tylko nienawiść. To jest droga donikąd. I wielkie ryzyko, że ludobójstwo się powtórzy.

A może winne nie jest abstrakcyjne zło, tylko konkretna ideologia? Może trzeba przyznać, że ideologia ukraińskiego nacjonalizmu, której celem była depolonizacja Wołynia i Galicji, była z gruntu zbrodnicza?

Na każdego ukraińskiego nacjonalistę znajdzie panu polskiego nacjonalistę, któremu też można zarzucić zbrodnicze idee. Możemy się tak wyklęcać bez końca. To nie ma sensu. Przyznajmy po prostu, że zarówno UPA, jak i AK miały krew na rękach.

AK nie planowała masowych akcji eksterminacyjnych...

Co pan opowiada?! AK niszczyła całe ukraińskie wsie! To były zaplanowane akcje, są na to dokumenty. Trzeba dokładnie zbadać zbrodnie obu stron. Bez wyjątków!

Zmienimy temat. Ekshumacje polskich ofiar znów zostały zablokowane z powodu zamieszania wokół tablicy na górze Monasterz, upamiętniającej upowców poległych w walkach z NKWD...

Tablica została ufundowana legalnie, przez polskie władze, za zgodą Andrzeja Przewoźnika, ówczesnego sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Warszawa nie była w stanie zagwarantować bezpieczeństwa tego upamiętnienia, są więc uzasadnione wątpliwości co do tego, czy Warszawa jest gotowa do konstruktywnego dialogu w sferze pamięci historycznej...

Podobnie jak wcześniej Wiatrowycz, proponuje pan opcję „wszystkie za wszystkie”. Czyli zgodna legalizacja wszystkich miejsc pamięci – polskich na Ukrainie i ukraińskich w Polsce. Tyle że trudno porównywać groby polskich ofiar na Wołyniu z pomnikami UPA na Podkarpaciu. Co innego miejsca pochówku, co innego symbolika wychwalająca konkretną formację wojskową, odpowiedzialną za masowe zbrodnie...

Polska musi zrozumieć, że Ukraina jest niepodległym państwem i wymaga pełnej symetrii we wzajemnych relacjach. Możemy się zgodzić na likwidację pomników UPA w Polsce, ale to oznacza, że na Ukrainie nie będzie ani jednego upamiętnienia poświęconego AK. Układ „wszystkie za wszystkie” jest dla was bardziej korzystny niż dla nas. Na Ukrainie jest bowiem więcej polskich nielegalnych upamiętnień niż ukraińskich w Polsce.

Czy jest coś, co w sferze polityki historycznej może połączyć Polskę i Ukrainę?

Jeśli zintensyfikujemy pracę na poziomie historyków, to nawet Wołyń może nas połączyć – będziemy przecież wspólnie pracować nad odkrywaniem prawdy na temat przeszłości. Wspominałem już o Cudzie nad Wisłą – to jest niewykorzystana szansa na polepszenie naszych wzajemnych relacji. Wspaniały temat – Polacy i Ukraińcy wspólnie obronili Europę przed nawałą bolszewicką! U was to historia powszechnie znana. U nas – niestety wciąż biała plama. W tym roku UIPN wydaje komiks poświęcony konkretnym epizodom Bitwy Warszawskiej. Rok 1920 uczy nas tego, że musimy jednoczyć się przeciwko wspólnemu wrogowi, którym zawsze był, jest i najpewniej będzie Moskwa. Zamiast się kłócić, powinniśmy wspólnie opowiadać światu, jak wielkim zagrożeniem jest Rosja. Już Taras Szewczenko pisał z gorzkim wyrzutem, zwracając się do Kozaków, którzy bezrefleksyjnie przyczynili się do upadku Rzeczypospolitej – „Prawda wasza: Polska upadła i was zgniotła!”. Tak samo, gdy Warszawa zawierała z Moskwą układy, które prowadziły do podziału ziem ukraińskich, zawsze kończyło się to w końcu źle dla Polski. Wyciągamy wnioski ze wspólnej historii.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Anton Drobowycz
– prezes Ukraińskiego Instytutu
Pamięci Narodowej.



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 7990c306df

Z rzecznikiem małych i średnich przedsiębiorców Adamem Abramowiczem



rozmawia Jakub Wozinski

JAKUB WOZINSKI: Polski Ład mknie do przodu. Rząd chce zdążyć ze wszystkimi ustawami do końca wakacji i sprawić, żeby obowiązywały już od 2022 r. Czy dostrzega pan tu jeszcze jakąś przestrzeń do dokonania zmian?

ADAM ABRAMOWICZ: Ten kalendarz jest spowodowany tym, że ustawy podatkowe muszą być przyjęte w określonych terminach, a jeśli się weźmie pod uwagę, że będzie to przechodziło przez Senat i jeszcze zapewne wracało do Sejmu, to rząd chce wcześniej zacząć, żeby w ogóle zdążyć. Tak więc przestrzeń do zmian oczywiście jest. Polski Ład zawiera dużo dobrych propozycji, m.in. podniesioną do 30 tys. zł kwotę wolną od podatku, o co zresztą upominaliśmy się jako obywatele od dawna, gdyż dołączamy do krajów, które mają kwotę na tyle wysoką, aby wystarczyła rodzinie na zaspokojenie najbardziej podstawowych potrzeb. Mamy także podniesienie progu podatkowego, który przez ponad 10 lat nie był podnoszony pomimo inflacji. No i oczywiście popieramy, jako środowisko przedsiębiorców, zmniejszenie klina podatkowego dla grup niżej zarabiających, gdyż do tej pory zniechęcało to do podejmowania pracy. Mieliśmy system regresywny, który obciążał bardziej tych, którzy mieli mniejsze dochody, niż tych, którzy mieli większe. Tak że pojawienie się możliwości zwiększenia wynagrodzeń poprzez zmianę systemu podatkowo-składkowego jest również dobre. Ale cały koszt tej operacji mają pokryć przedsiębiorcy płacący głównie podatek liniowy. Na to się zgodzić nie można.

Mamy jeszcze trochę czasu, dlatego dobrze byłoby wypracować pewien optymalny model zmian, gdyż dobre elementy Polskiego Ładu nie mogą pociągać za sobą negatywnych konsekwencji. My te negatywne konsekwencje widzimy i chcemy je rządowi pokazać.

W związku z tym wystosował pan list do premiera. Czy to autorski projekt, czy raczej efekt szerokich konsultacji?

Wystąpiłem do pana premiera z pismem, które zawiera propozycje skonsultowane z 300 organizacjami zrzeszonymi



FOT. MAREK WIŚNIEWSKI / PULS BIZNESU / FORUM

w Radzie Przedsiębiorców przy Rzeczniku MŚP i kilkuset przedsiębiorcami z rad konsultacyjnych. Generalnie przedsiębiorcy optują za tym, żeby niczego nie zmieniać w podatku liniowym, dlatego że gdy został wprowadzony, to już po roku przyniósł zwiększone dochody do budżetu. Kolejne lata również zapewniły większe dochody z podatku dochodowego. Podatek liniowy przynosił korzyści budżetowi, ale też dawał przedsiębiorcom możliwość dokonywania większych inwestycji, ponieważ więcej pieniędzy zostawało w firmach. Ten system był prosty, a stawka trafiona w perspektywie

konsultacjach nasze stanowisko jest następujące: najlepiej by było, gdyby Polski Ład nie zmieniał podatku liniowego i zostawił go w takiej formie, jakiej on w tej chwili jest. Ale jeśli cała przedstawiona przez rząd koncepcja polega jednak na tym, że składka zdrowotna nie może być odliczana od podatku, to proponujemy, aby tą kwotą wolną objąć także przedsiębiorców płacących podatek liniowy.

Proponuje więc pan, żeby istniała możliwość skorzystania z kwoty wolnej do 30 tys. zł przez przedsiębiorców rozliczających się podatkiem liniowym – tak jak mogą to czynić inni podatnicy?

to, że przedsiębiorcy będą mieli większe obciążenia, ale już w tej grupie więcej zarabiającej nie będą one tak duże jak te, które zaproponowano w Polskim Ładzie. Podatek liniowy nie będzie na tyle dolegliwy, żeby przedsiębiorcy mieli z niego rezygnować. No i trzeci efekt: ci, którzy zarabiają dużo, a nie bierze się to znikąd, tylko z ich umiejętności, włożonej pracy czy ryzyka, nie będą zniechęceni do powiększania dochodu, ponieważ pojawi się wspomniany sufit. Zapłacą więc wyższą procentowo składkę zdrowotną niż przedsiębiorcy gorzej zarabiający, ale tylko do pewnego poziomu.

Nie zmieniamy podatku liniowego

krzywej Laffera. I wreszcie: przedsiębiorcy przestali kombinować, napompowywać koszty, gdyż uznali stawkę 19 proc. za rozsądną i zajęli się prowadzeniem działalności. Zwiększenie stawki z 19 do 28 proc. spowoduje koniec tego podatku, gdyż jest to zbyt wysoka stawka i przedsiębiorcy zaczną zmieniać sposób rozliczania się z fiskusem. Zaczną przechodzić na ryczałt, zasady ogólne albo zakładać spółki komandytowe czy małe spółki z o.o. Jest to niepotrzebne zamieszanie i likwidacja narzędzia, które było dobre i dla państwa, i dla przedsiębiorców.

Chodzi również o to, aby koniecznością opłacania wyższej składki zdrowotnej nie zniechęcać do pracy. Nadmierne opodatkowanie pracy nie służy gospodarce. Po przeprowadzonych przez nas

W tej chwili jeżeli liniowcy są pozbawieni tego prawa, to każda zarobiona od nich złotówka „od zera” jest objęta opodatkowaniem większym o 9 proc., a w innych grupach ta kwota do 30 tys. zł jest nieopodatkowana. Proponujemy więc wprowadzenie takiej zasady ogólnej, że wszyscy: pracujący na umowie o pracę, rozliczający się na zasadach ogólnych i liniowcy mają kwotę wolną od podatku w wysokości 30 tys. zł. Następnie proponujemy, żeby wprowadzić tzw. sufit w wypadku płaconej składki zdrowotnej. Taki sam mechanizm obowiązuje obecnie wobec składki na ZUS na umowach o pracę, czyli płacimy składkę procentową, ale do pewnej wysokości, obliczanej od podstawy stanowiącej 30-krotność średniego wynagrodzenia. Spowoduje

Trzeba przy tym pamiętać, w jakich czasach rząd wprowadza swoją reformę. Jesteśmy po pandemii i dla wielu firm, które reprezentują jako Rzecznik MŚP, jest to okres odrabiania strat. W tej chwili dodatkowo wciąż z ograniczeniami sanitarnymi, z utrudnionymi możliwościami zarabiania. W momencie, gdy ta licząca ok. 700 tys. grupa płaćca podatek liniowy, której część była zamknięta, chce pozyskać pieniądze na inwestycje, to ma dwa wyjścia: albo zarobić i zainwestować, albo pożyczyć w banku. Gdy ktoś z branży turystycznej czy gastronomicznej idzie teraz do banku po kredyt na inwestycje, to słyszy, że ma przyjść za rok. Firmy te są obecnie w grupie ryzyka i banki nie chcą ich finansować. Tak że jedynym źródłem środków na inwestycje są środki własne, a zwiększanie podatku o 9 proc. ■

■ znacząco je pomniejsza. Bez inwestycji firma umiera.

Ciężar, który w Polskim Ładzie mieli dźwigać mali i średni przedsiębiorcy, proponuje więc pan przerzucić na duże firmy, płacące podatek CIT.

My pokazujemy złe skutki wprowadzenia zmian podatkowo-składkowych, które zaproponował rząd, ale nie jesteśmy jednocześnie zobligowani do pokazania innego źródła przychodu. Poczuwając się do odpowiedzialności, mówimy, że gdyby rząd chciał skorzystać z naszych pomysłów, to są takie możliwości. Przede wszystkim w Polskim Ładzie nie ma w ogóle mowy o podatku CIT. Wiemy, że bardzo wiele spółek z kapitałem zagranicznym zwyczajnie nie płaci w Polsce podatku, korzystając z optymalizacji podatkowej. Proponujemy wprowadzenie zamiast CIT, który jest obecnie, podatku przychodowego w wysokości 0,5–1,5 proc., co spowodowałoby, że zapłaca go wszyscy. Także ci, którzy latami go nie płacą. Jednocześnie gdyby zastosować maksymalną stawkę 1,5 proc., to z wyliczeń wychodzi, że budżet otrzymałby z tego aż o 40 mld zł więcej, niż ma obecnie.

Druga rzecz to podatek cyfrowy, o którym pan premier mówił wielokrotnie. Tutaj również proponujemy stawkę 0,5–1,5 proc. Bylibyśmy pierwszym krajem w Europie, który skutecznie to wprowadził. Proponujemy, aby zobowiązać podmioty, które nie mają rezydencji podatkowej w Polsce, do tego, żeby ich transakcje przeprowadzane na terenie naszego kraju były opłacane na kontach w polskich bankach. Bank potrącałby, tak jak przy podatku Belki, automatycznie podatek przychodowy właśnie od tego rodzaju transakcji. Mielibyśmy z tego również kilka miliardów złotych. A jeżeli nie tymi sposobami, to rząd powinien znaleźć inne. Nam najbardziej zależy na tym, żeby nie zdemolować dobrze działającego podatku liniowego i żeby budżet się równoważył, bo jeśli zmiany będą wprowadzane w tej formie, to jest pewne, że zakładane przychody nie zostaną osiągnięte. Jest to zbyt wysoka stawka i przedsiębiorcy zaczęną szukać alternatywy.

Szanse na to, że rząd skorzysta z tej propozycji, nie są chyba zbyt wielkie, bo większe nadzieje pokłada w globalnej inicjatywie wprowadzenia minimalnej stawki CIT. Przy podatku dochodowym będą zawsze możliwości jego unikania, jeżeli nie przez przenoszenie opodatkowania

Jeśli rząd z dużą determinacją dąży do zmiany zasad, których zmieniać nie powinien, to przynajmniej zróbmy to w sposób, który nie zniszczy podatku liniowego

do innych krajów, to przez różne sposoby mnożenia kosztów. Jest to nieuniknione, pomimo że walka z rajami podatkowymi wciąż trwa. Po drugie, to rozwiązanie nie zostało jeszcze wprowadzone. Po trzecie zaś, jeżeli w Polsce i jakimś innym kraju będzie ta sama stawka CIT, to wcale nie jest powiedziane, że dochód nie będzie przerzucany do innego kraju, bo będą tam dostępne jakieś inne instrumenty, które umożliwią zapłacenie niższego podatku. Jedynym skutecznym podatkiem ściągającym od korporacji jest podatek przychodowy i w jego wypadku możemy nawet dość dokładnie określić wpływ do budżetu.

Czy to mimo wszystko nie jest jednak kuriozalna sytuacja, że Rzecznik MŚP musi zabiegać o nieco mniejszy ciężar podatkowy dla rodzimych przedsiębiorców? Uderzyła w nich pandemia i powinno się raczej mówić o tym, jak im ulżyć.

To prawda, przedsiębiorcy z branż, które były zamknięte przez ostatnie kilka miesięcy, potrzebują pieniędzy na odtwarzanie środków trwałych i inwestycje. Zwiększenie podatku o 50 proc. znacznie zmniejszy możliwości korzystania z wypracowanych środków własnych, a banki nie kwapią się z przyznawaniem kredytów dla tych branż. Z drugiej strony jednak popieramy podniesienie kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł, podniesienie progu podatkowego do 120 tys. zł i zmniejszenie klina podatkowego dla mniej zarabiających. Nie może się to jednak odbywać kosztem tych, którzy tworzą miejsca pracy, którzy inwestują. Kalkulacja polityczna, że 18 mln ludzi zyska, a 2 mln straci, może się okazać zawodna, ponieważ ci, którzy zyskają 100 czy 150 zł miesięcznie, też mają w rodzinie przedsiębiorców. Emeryci, którzy nie zapłacą podatku od emerytury do wysokości 2,5 tys. zł brutto, mają dzieci, które prowadzą własne firmy. Nie ma więc tu prostego przełożenia, że skutek polityczny będzie na pewno pozytywny.

W ostatnim czasie w obozie Zjednoczonej Prawicy dało się słyszeć głosy krytyczne wobec zmian dla przedsiębiorców. Czy to daje nadzieję na wprowadzenie zmian?

Kilka dni temu pan premier Gowin powiedział, że propozycja Rzecznika MŚP jest bardzo racjonalna. Jednocześnie wiele posłów, z którymi rozmawiam, mówi, że mamy dużo argumentów. Wygląda na to, że gdyby rząd się uparł i chciał przegłosować swoją wersję, to może to zrobić jedynie rękami skrajnej lewicy, bo nawet ugrupowania lewicy umiarkowanej mówią, że za tym nie będą głosować. Pozostaje więc rządowi poseł Zandberg, ale myślę, że nie byłoby dobrze korzystać z pomocy ludzi mających w programie skrajny socjalizm. Chyba lepiej więc wypracować szerokie poparcie.

Mówił pan we wcześniejszej rozmowie z „Do Rzeczy”, że liniowy PIT w wysokości 19 proc. to obok ustawy Wilczka największa zdobycz polskich przedsiębiorców. Czy nie warto byłoby jednak bić się o nią za wszelką cenę i nie godzić się na kompromis?

Na samym początku tej rozmowy wyraziłem pogląd większości naszego środowiska, że podatek liniowy w obecnej formie jest dobry. Jeżeli jednak rząd z dużą determinacją dąży do zmiany zasad, których zmieniać nie powinien, to przynajmniej zróbmy to w sposób, który nie zniszczy podatku liniowego i nie zniechęci ludzi aktywnych do aktywnej pracy i zarabiania. Nasza propozycja jest propozycją dialogu. Zdajemy sobie sprawę z tego, że rząd opracował jakiś system, który zmienia optykę podatkowo-składkową, żeby zmniejszyć obciążenie podatkowe osób o mniejszych dochodach oraz aby były większe środki na służbę zdrowia. Przedsiębiorcy też chcą lepszej służby zdrowia i zmniejszenia klina podatkowego. Nie odrzucamy zatem dobrych rozwiązań Polskiego Ładu, ale trzeba znaleźć najlepsze rozwiązanie. Stąd nasza realistyczna propozycja, popierana przez ekspertów z tytułami profesorskimi, próbująca pogodzić interesy wszystkich stron. Moim zdaniem lepszy jest konsensus: lepiej wprowadzić Polski Ład, w którym jest bardzo dużo dobrych rzeczy, oparty na kompromisie, niż wbrew interesowi gospodarczemu naszego państwa i dużemu oporowi środowiska przedsiębiorców wprowadzać progresję.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: ACER TRAVELMATE SPIN P4

Wysoka wydajność, solidna i wytrzymała konstrukcja, świetna bateria oraz przydatny rysik – to największe zalety konwertowalnego laptopa biznesowego tajwańskiej firmy Acer.

Pozostałe atuty testowanego modelu to „tygrysi” procesor Intel Core i7 jedenastej generacji, aż 32 GB pamięci RAM, układ graficzny NVIDIA GeForce MX350 oraz 1 TB pamięci masowej na dysku SSD M.2. Takie zestawienie procesorów sprawia, że TravelMate Spin P4 może pochwalić się ogromną wydajnością, która przyda się osobom pracującym na rozbudowanych arkuszach Excela, a które po pracy lubią odpalić sobie „Wiedźmina”.

Pochwalić można też solidnie wykonaną, wytrzymałą konstrukcję. Większość obudowy jest wykonana z aluminium. Z kolei błyszcząca, dotykowa 14-calowa matryca IPS o rozdzielczości Full HD (1920 x 1080) chroni Corning Gorilla Glass. Jakość ekranu dla przeciętnego użytkownika powinna być wystarczająca nie tylko do pracy biurowej, lecz także do oglądania filmów. Osoby, które zawodowo zajmują się obróbką zdjęć lub grafiką komputerową, powinny jednak rozzerzeć się za droższym modelem z bardziej atrakcyjną matrycą, lepszym odwzorowaniem kolorów oraz wyższą jasnością maksymalną.

Klawiatura jest dość wygodna i cicha. W codziennym użytkowaniu niektórych nieco



przeszkadzać mogą jedynie wąskie klawisze kierunkowe. Bez zarzutu działa również touchpad.

Zaletą Spin P4 jest rysik ze stacją dokującą, która jednocześnie chroni go przez zgubieniem i umożliwia jego ładowanie. Rysikiem można robić odręczne notatki, rysować, a także sterować za jego pomocą systemem Windows. Model Spin P4 jest też wyposażony w czytnik linii papilarnych. Głośniki grają poprawnie i potrafią wydawać naprawdę głośny dźwięk, choć przy maksymalnym natężeniu zauważalnie traci on na jakości. Do konferencji na Zoomie, zdalnych konferencji oraz relaksu po pracy głośniczki wydają się jednak wystarczające.

Użytkownicy Spin P4 docenią zapewne świetną baterię, która pozwala nawet na kilkanaście godzin pracy na jednym ładowaniu.

Plusem tego modelu jest też niezły wybór portów – na pokładzie znalazło się miejsce dla czytnika kart microSD, HDMI 2.0, portu USB-C Thunderbolt 4 oraz dwóch portów USB 3.2. Szkoda, że porty USB są umieszczone na tyle blisko siebie, że może to utrudniać korzystanie np. z dwóch pendrive'ów jednocześnie. W czasach pracy zdalnej również jakość wbudowanej kamery mogłaby być lepsza.

Dla niektórych wadą może być też waga urządzenia (1,5 kg), bo na rynku można znaleźć laptopy z 14-calowym ekranem, które są lżejsze niż 1,4 kg. Inne modele bywają też smuklejsze i mają mniejsze ramki wokół ekranu. Chociaż ten model Acera cudem wzornictwa przemysłowego na pewno nie jest, to i tak wygląda dość elegancko i profesjonalnie.

Po przeanalizowaniu jego wad i zalet można uznać, że Acer TravelMate Spin P4 to dobry konwertowalny laptop biznesowy ze średniej półki. Cena zależy od wybranego procesora czy wielkości pamięci RAM. W najtańszym wariantcie za model ten trzeba zapłacić 3699 zł. ©

Jacek Przybylski



ZWIERZAK NA NADGARSTKU

Producenci gadżetów wiedzą, że na nostalgii można zbić prawdziwą fortunę. Na rynek powraca więc kultowe Tamagotchi – elektroniczny zwierzątko, którego w latach 90. można było kilka razy dziennie karmić, myć i zabawiać. Tamagotchi wraca w postaci inteligentnego zegarka. Kolorowy, dotykowy ekran pozwala głaskać cyfrowe zwierzę, a mikrofon i głośnik pozwalają również na interakcję audio z wirtualnym pupilem. Tamagotchi Smart od listopada dostępny będzie w japońskich sklepach. Cena: równowartość 259 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TRENER NA STOPIE

Waży niecałe 11 g, a dzięki klasie IP68 może zostać zanurzony na 1,5 m nawet na 30 minut. Gadżet iKinesis Kapsule – zaprojektowany przez francuskiego fizjoterapeutę – ma pomóc biegaczom w prawidłowych treningach, udoskonalaniu techniki i unikaniu kontuzji. Niewielkie sensory mocuje się na sznurowadłach jednego z butów. Urządzenie komunikuje się ze smartfonem za pomocą modułu Bluetooth, oceniając w czasie rzeczywistym długość kroków, czas kontaktu stopy z podłożem, pronację stopy etc. Jeśli gadżet wykryje jakieś nieprawidłowości, to może wibrować lub przesłać ostrzeżenie na smartfona. Autorzy projektu zbierają fundusze na uruchomienie produkcji na Kickstarterze. Cena: 626 zł. Jeśli wszystko się uda, dostawy mają ruszyć w październiku. ©

Jacek Przybylski



To już kolejna odsłona programu, który ma zachęcić Polaków do porzucania diesli i benzyniaków na rzecz elektryków. Zeszłoroczny pilotaż – mówiąc ogólnie – zakończył się fiaskiem.

Tym razem szansa na sukces jest większa. Polski rząd zmniejszył bowiem ilość wymaganych formalności, podwyższył maksymalną kwotę dopłaty oraz maksymalną cenę dotowanego samochodu.

Jakie warunki trzeba spełnić, żeby otrzymać dopłatę? Po pierwsze, samochód elektryczny musi być fabrycznie nowy z przebiegiem mniejszym niż 50 km. Po drugie, pojazd, na który otrzyma się dotację, musi mieć wykupione nie tylko klasyczne ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej, lecz także tzw. autocasco od kradzieży czy uszkodzenia.

W przypadku zwykłego Kowalskiego, który nie dorobił się jeszcze trojga dzieci, kwota dopłaty wynosi maksymalnie 18 750 zł. Dla osób z niewielkimi rodzinami rząd wprowadził też dodatkowe obostrzenia, a więc maksymalną cenę samochodu. W tym roku wynosi ona 225 tys. zł brutto (rok temu było to zaledwie 125 tys. zł). Tak ustawiony limit pozwala już na spory wybór. W tej cenie, choć często w podstawowych wariantach, mieści się już kilkadziesiąt różnych modeli.

KILKADZIESIĄT MODELI DO WYBORU

Osoby marzące o własnym elektryku mogą więc za pomocą dotacji kupić np. nowe audi Q4 e-tron Sportback. Ten model w najdroższej wersji może pochwalić się zasięgiem wynoszącym nawet 497 km. Aby zmieścić się w rządowym limicie, trzeba zdecydować się na tańsze wersje. Cena katalogowa wersji Q4 35 e-tron



Mój elektryk?

Jacek Przybylski

Od 12 lipca Polacy mogą składać wnioski o dopłaty do zakupu nowego samochodu elektrycznego. Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej na bezzwrotne dopłaty do zakupu aut elektrycznych lub wodorowych przeznaczy aż pół miliarda złotych

z najsłabszym silnikiem wynosi 198 590 zł – audi w tej konfiguracji ma silnik elektryczny o mocy 170 KM, który rozpędza miejskiego SUV-a od zera do 100 km/h w 9 s. Pojemność baterii w tej wersji wynosi 51,5 kWh, a zasięg waha się w granicach 306–341 km. W górnej granicy dofinansowania mieści się też Q4 40 e-tron. Za 219,1 tys. zł można cieszyć się silnikiem o mocy 204 KM i większymi akumulatorami o pojemności 76,6 kWh oraz zasięgiem wahającym się w granicach 447–521 km. W przypadku obu wersji na niemieckiej autostradzie można mknąć takim autem z maksymalną prędkością 160 km/h.

Ci, którzy wolą mercedesy, ucieszą się z wiadomości, że w limicie mieści się kompaktowy elektryczny SUV EQA. Za 199,9 tys. zł można kupić wersję EQA 250 z silnikiem o mocy 190 KM i zasięgiem do 424 km. Dotację można też otrzymać do elektrycznego hyundaia. Model Ioniq 5 z napędem na jedną oś

z bateriami o pojemności 58 kWh i silnikiem o mocy 170 KM kosztuje według cennika 189,9 tys. zł. Zasięg według producenta waha się od 384 do 587 km. Mocniejsza wersja – 73 kWh oraz 218 KM – to już wydatek rzędu 203,9 tys. zł. W tym przypadku maksymalny zasięg szacowany jest na od 481 do 686 km. Oczywiście w obu przypadkach chodzi o auto w podstawowej klasie wyposażenia. Miłośnicy SUV-ów z napędem na obie osie mogą też – przy drobnych negocjacjach z dilerem – kupić Ioniq 5 z silnikiem o mocy 235 KM i baterią o pojemności 58 kWh. Cennikowo auto kosztuje jednak 225,9 tys. zł, więc do dopłaty dla zwykłego Kowalskiego się teoretycznie nie kwalifikuje.

Poniżej limitu można za to kupić innego SUV-a z Korei Południowej z napędem AWD. 216,9 tys. zł kosztuje w cenniku kia EV6 z napędem na wszystkie koła, silnikami elektrycznymi o łącznej mocy 325 KM i baterią o pojemności 77,4 kWh (z zasięgiem

460–490 km), która przyspiesza w zaledwie 5,4 s. Nieco mniej, bo 199,9 tys. zł, trzeba zapłacić za EV6 z napędem na jedną oś i słabszym silnikiem 228 KM, za to z zasięgiem maksymalnym szacowanym na 510 km. Wersja z najsłabszym silnikiem (170 KM) oraz najmniej pojemną baterią (58 kWh) kosztuje 179,9 tys. zł.

Miłośnicy dynamicznej jazdy mogą z pieniędzy podatników otrzymać dopłatę do nowiutkiego forda mustanga Mach-E. W pełni elektryczny SUV w podstawowej wersji wyposażenia z napędem na jedną oś kosztuje w oficjalnym cenniku 216 120 zł, ma zasięg maksymalny wynoszący 440 km, a silnik o mocy 269 KM rozpędza go do setki w 6,2 s.

Polski rząd jest gotów dopłacić również do tesli. Model 3 w podstawowej wersji Standard Range Plus kosztuje 199 990 zł. Deklarowany przez producenta maksymalny zasięg WLTP auta z napędem na jedną oś wynosi 448 km, maksymalna prędkość to 225 km/h, a przyspieszenie od



Kia EV6 to jeden z kilkudziesięciu modeli, na który można dostać dopłatę
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nalepkę o szerokości 44 cm, informującej o tym, że właściciel otrzymał pieniądze od Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Nalepka piękna nie jest, ale za kilkanaście tysięcy można się przemęczyć. Dużo poważniejsza wada rządowego programu jest taka, że auta nie można wykorzystywać do prowadzenia działalności gospodarczej. Przez co najmniej dwa lata nie można go też sprzedać.

Istotną wadą tego programu jest to, że o pieniądze do swojego elektryka starać się mogą tylko osoby fizyczne. Tymczasem statystyki od lat pokazują, że zakupu nowych pojazdów w zdecydowanej większości dokonują firmy. Na szczęście NFOŚiGW zapowiada, że w ciągu kilku tygodni możliwość zakupu otrzymają również przedsiębiorcy, samorządy i inne instytucje.

– Bez względu na formę finansowania pojazdu (zakup, leasing, najem) warunki wsparcia będą takie same – podkreśla wiceprezes NFOŚiGW Artur Lorkowski.

Realizację programu przewidziano na lata 2021–2026, a nabory wniosków będą prowadzone do 2025 r. lub do wyczerpania środków. Aby starać się o rządową dopłatę, najpierw trzeba wyłożyć pełną kwotę. Dotacja jest wypłacana dopiero po zarejestrowaniu i ubezpieczeniu samochodu. Szkoda również, że rząd promuje jedynie stu-procentowe elektryki – żadne dopłaty nie przysługują tym, którzy chcieliby kupić samochody hybrydowe czy hybrydy plug-in.

Według Licznika Elektromobilności PSPA i PZPM pod koniec maja 2021 r. w Polsce było zarejestrowanych łącznie 25 407 samochodów osobowych z napędem elektrycznym. Pojazdy w pełni

elektryczne odpowiadały za 49 proc. tej liczby, a pozostałą część stanowiły hybrydy typu plug-in (PHEV).

DOTACJE TO NIE WSZYSTKO

Podobne programy promujące zakup aut elektrycznych uruchomiło wiele państw na świecie. W Wielkiej Brytanii dopłata została w tym roku obniżona z 3 tys. do 2,5 tys. funtów (równowartość 13,2 tys. zł), za to zniżkę można dostać po prostu u dilerów w salonie. Rządy w Berlinie i w Rzymie dopłacają nawet 6 tys. euro (równowartość 27,3 tys. zł). W przypadku Niemiec premia dotyczy samochodów, które kosztują poniżej 40 tys. euro (równowartość 182,1 tys. zł), a we Włoszech dopłata może być niższa, jeśli kupujący nie oddaje starego samochodu na złom. Premię w wysokości 4 tys. euro (18,2 tys. zł) wypłaca również

przy zakupie auta elektrycznego m.in. Hiszpania.

W wielu krajach nabywcy aut elektrycznych mogą korzystać z dodatkowych przywilejów nie tylko przy zakupie auta, takich jak np. niższy podatek drogowy. Również w Polsce kierowcy elektryków mogą korzystać – w zależności od miasta – np. z darmowego parkowania w płatnych strefach, możliwości jazdy buspasem czy też darmowych przejazdów niektórymi autostradami.

Według PSPA wraz ze wzrostem liczby pojazdów z napędem elektrycznym rozwija się również infrastruktura ładowania e-samochodów. Z danych PSPA wynika, że pod koniec maja w Polsce funkcjonowało 1495 ogólnodostępnych stacji ładowania pojazdów elektrycznych. To niestety ciągle sporo za mało.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MATERIAŁ PARTNERA

zera do pierwszej setki to 5,6 s.

Na liście modeli do wyboru w ramach limitu dofinansowania są jeszcze m.in. nissan Leaf, mazda MX-30, peugeot e-2008, skoda Enyaq iV czy VW ID.3.

Dużo więcej zyskać mogą posiadacze Karty dużej rodziny. W ich przypadku bezzwrotna dotacja może wynosić nawet 27 tys. zł. Nie ma też żadnego limitu ceny samochodu, co oznacza, że podatnicy teoretycznie dołożą się nawet do najbardziej luksusowych i najszybszych elektryków. Dla osób, które nie liczą się nie tylko z limitem dopłat, lecz także z limitami na koncie, stworzono takie auta jak choćby Lotus Evija, pod którego maską drzemie moc wynosząca łącznie 2 tys. KM. Auto warte ok. 8 mln zł od zera do pierwszej setki rozpędza się poniżej trzech sekund, a na torze wyścigowym może pędzić z prędkością 320 km/h.

LISTA NAKAZÓW I ZAKAZÓW

Wracając na ziemię. W zamian za dopłatę na aucie trzeba będzie umieścić



Od 2 lipca w Muzeum Narodowym w Krakowie można oglądać ekspozycję „**Polskie style narodowe 1890–1918**”, otwierającą serię wystaw „4 x nowoczesność” dotyczących oryginalnych wzorców modernizacyjnych w sztuce, designie i architekturze polskiej XX i XXI w.

Ekspozycja prezentuje przykłady polskiego stroju narodowego z drugiej połowy XIX w., stylu zakopiańskiego czy poszukiwań narodowej formy inspirowanych sztuką ludową z Huculszczyzny. Na wystawie znalazły się też projekty artystów związanych z TPSS i Warsztatami Krakowskimi. Ekspozycja podkreśla także znaczenie „Wystawy architektury i wnętrz w otoczeniu ogrodowym” z 1912 r. oraz związek narodowej formy z opracowanym na ziemiach polskich językiem esperanto.

Wystawa jest dostępna do 2 stycznia 2022 r. w Gmachu Głównym MNK.





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czego już nie wolno Polsce?

Komisja Europejska nie zna granic w przekraczaniu granic. Nie zna granic w przekraczaniu granic wyznaczanych przez suwerenność państw członkowskich Unii Europejskiej, czyli – aż, ale i tylko – jednej z międzynarodowych organizacji (na czele której KE stoi), do której każde z tych państw członkowskich dziś należy – należy wyłączenie wskutek własnej, suwerennej decyzji, i z której może – takąż własną, suwerenną decyzją – w każdej chwili wystąpić.

„Bruksela chce jednolitości” – pod takim, zagadkowo brzmiącym tytułem „Rzeczpospolita” wydrukowała artykuł o tym, iż – uwaga, uwaga! – „Komisja Europejska oczekuje, że rząd wycofa z TK wniosek o prymat prawa krajowego nad unijnym”. Czyli – ni mniej, ni więcej – Komisja Europejska – pochodząca z niedemokratycznego wyboru, bo z nominacji pochodzących z demokratycznych wyborów władz państw członkowskich UE, w tym władz Polski – domaga się, aby pochodzący z demokratycznych wyborów rząd Rzeczypospolitej Polskiej wycofał z polskiego Trybunału Konstytucyjnego skierowany do niego wniosek. A może rząd RP ma w przyszłości uzgadniać z KE, jakie wnioski zamierza przesłać do TK, żeby nie zmuszać jej do niepotrzebnej mitręgi?

No, ale żarty żartami, a przecież Komisja Europejska po prostu „chce jednolitości”. I żeby nie wyszło na to, że uwzięła się na Polskę, przy okazji ujawniono, iż KE

podobne „postępowanie przeciwnaruszeniowe” wszczęła także wobec Niemiec, a to w związku z wydaniem przed rokiem przez niemiecki Trybunał Konstytucyjny głośnego orzeczenia, w którym niemieccy sędziowie w Niemczech przyznali – rzecz niesłychana! – prymat przepisom niemieckim nad unijnymi, uznając, że skupowanie przez EBC od 2015 r. obligacji strefy euro było niezgodne z konstytucją Niemiec – odrzucając tym samym postanowienie TSUE w tej sprawie z 2018 r. Co charakterystyczne, o ile w wypadku Niemiec KE reaguje dopiero po wydaniu orzeczenia przez TK Niemiec, o tyle w przypadku Polski już samo złożenie przez szefa rządu wniosku do TK jest – według KE – niedopuszczalne!

Przypomnijmy, że premier Mateusz Morawiecki – w związku z jednym z niekorzystnych dla Polski orzeczeń TSUE – ośmielił się złożyć do polskiego Trybunału Konstytucyjnego – bez pytania KE o zgodę! – wniosek w sprawie zbadania zgodności z Konstytucją RP Traktatu o UE (zwłaszcza zasady pierwszeństwa prawa unijnego) w kontekście polskiej, rudymenarnej zasady konstytucyjnej, że w Polsce to konstytucja RP jest najwyższym prawem.

Jak wiadomo, taki skandal nie może Polsce ani tym bardziej jej premierowi ujdąć na sucho. I zapewne nie ujdzie, tym bardziej że Morawiecki już odrzucił bezprecedensowe żądanie wycofania swego wniosku do TK. Wielce Szanowna Komisjo Europejska – a więc „wojna”?! ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rok bezprawia

Wyrok Sądu Najwyższego w sprawie wprowadzonego rozporządzeniem zakazu zgromadzeń (a tak naprawdę orzeczenie kasacyjne dotyczące kary dla dwóch uczestników takiego zgromadzenia) właściwie nie powinien być zaskoczeniem. To, co prawda, pierwszy wyrok na tym poziomie (kasacja to ostateczna „instancja”) i dotyczący tej konkretnej regulacji – zakazu zgromadzeń – ale przecież tylko kompletnie odcięty od rzeczywistości widz mógłby być zdziwiony.

Dlaczego obywatele ukarani na mocy sprzecznych z prawem ograniczeń musieli ponieść konsekwencje?

I dlaczego nie ponieśli żadnych ci, którzy takie ograniczenia nakładali?

Krytyka pseudoładu prawnego, wprowadzanego rozporządzeniami od początku epidemii, które to rozporządzenia odbierały obywatelom ich podstawowe, konstytucyjne prawa, była masowa – choć, rzecz jasna, nie wszędzie. W najważniejszych mediach elektronicznych ten wątek niemal nie istniał (obojętnie, czy wspierały rząd czy opozycję), ale nie trzeba było daleko

szukać, żeby ją znaleźć. Sporo o tym pisaliśmy również w naszym tygodniku.

SN w sprawie zgromadzeń powtórzył to, co wcześniej mówiło wielu prawników, co wskazywali publicyści i co pojawiało się w coraz liczniejszych orzeczeniach sądowych: że najważniejszych praw obywatelskich, w szczególności tych zawartych w konstytucji (właśnie prawa do zgromadzeń, do przemierzania się czy wolności prowadzenia działalności gospodarczej), nie można ograniczać rozporządzeniami. To akty zbyt niskiego rzędu. Można to zrobić jedynie w ustawie, a nawet – jak twierdzili niektórzy eksperci – jedynie po wprowadzeniu któregoś ze stanów nadzwyczajnych.

Rządzący się tym jednak nie przejmowali i nie przejmują się nadal. Pytanie brzmi: Czy przejmą się, gdyby przyszło im do głowy wrócić do daleko idących restrykcji? Lecz jest też kolejne pytanie: Dlaczego obywatele ukarani na mocy sprzecznych z prawem ograniczeń musieli ponieść konsekwencje? I dlaczego nie ponieśli żadnych ci, którzy takie ograniczenia nakładali? I wreszcie: Jakie jest dzisiaj stanowisko rządzących, jeśli idzie o ewentualne kolejne restrykcje?

Gdyby podsumować wyroki sądów w sprawach dotyczących czy to przedsiębiorców, czy obywateli, trzeba by zauważyć, że polityka restrykcji wprowadzanych rozporządzeniami została zmasakrowana. Nie pozostawiono na niej suchej nitki. Wejdziemy ponownie do tej samej rzeki? ©©

**Szanowny Pan
Mateusz Morawiecki,
Prezes Rady Ministrów**

List otwarty

Szanowny Panie Premierze,

pod koniec zeszłego roku wynegocjowano na poziomie UE uruchomienie tzw. Funduszu Odbudowy. Środki, jakie przewidziano z tego instrumentu na wsparcie gospodarek państw członkowskich, wynoszą ponad 700 mld euro, z czego blisko 60 mld euro trafić ma do Polski (34 mld to pożyczki, 24 mld to dotacje). Ze zrozumieniem należy przyjąć zaangażowanie Pana Premiera w uruchomienie tego narzędzia. Wynika ono z pewnością z troski o kraj i zapewnienia mu jak najlepszych warunków do rozwoju. Wiele wskazuje jednak na to, że wypłata tych pieniędzy wiąże się z coraz większym ryzykiem narzucania Polsce ideologicznych postulatów lansowanych obecnie w Unii, o czym świadczy m.in. ostatnia uchwała Parlamentu Europejskiego w sprawie aborcji.

Polska gospodarka stosunkowo dobrze radzi sobie z ekonomicznymi skutkami pandemii. Mamy niskie bezrobocie, stabilny napływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych oraz perspektywy nawet pięcioprocentowego zwiększenia PKB w tym roku i podobnego tempa w następnym. Dzięki sprawnemu działaniu państwa udało się uruchomić idące w setki miliardów złotych wsparcie dla przedsiębiorców i pracowników, co pozwoliło zachować miejsca pracy.

W tych okolicznościach wskazana wydaje się mobilizacja zasobów krajowych. Polski sektor bankowy jest nadpłynny. Wartość środków znajdujących się w bankach wynosi obecnie ok. 1,5 bln zł, są to głównie rachunki bieżące, które przy uwzględnieniu inflacji i środków obsługi rachunku realnie przynoszą stratę. Pieniądze te w pewnej części mogłyby zostać zaktywizowane przez państwo i wykorzystane zgodnie z priorytetami rozwojowymi Polski, jakimi są budowa silnej i innowacyjnej gospodarki.

Nie możemy jako państwo funkcjonować w warunkach presji uzależniającej wypłatę przyznanych środków od zgody na zanegowanie naszego dorobku kulturowego i prawnego. Musimy mieć zatem własny plan odbudowy i rozwoju gospodarczego oparty na zasobach wewnętrznych. To okazja do tego, aby wyemitować obligacje rozwojowe zaadresowane do polskich obywateli (obligacje detaliczne) za pośrednictwem państwowych instytucji rozwojowych, takich jak Bank Gospodarstwa Krajowego. Mogłyby one oferować atrakcyjną rentowność i być wykorzystane do inwestycji w polską gospodarkę. Jednocześnie wydatkowanie uzyskanych w ten sposób środków nie wiązałoby się ze wszystkimi ograniczeniami, jakie należy spełnić, wydając fundusze z Unii Europejskiej. Zauważyć należy, że tego typu papiery wartościowe obecnie cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem, zatem nie byłoby problemu z popytem. Jednocześnie byłyby one nominowane w polskiej walucie, co sprzyjałoby optymalnemu zarządzaniu strukturą zadłużenia publicznego. A większa swoboda w ich wydatkowaniu pozwalałaby na lepsze zaadresowanie środków zgodnie z realnymi potrzebami rozwojowymi Polski.

Liczmy, że ta propozycja zostanie przez Pana Premiera rozważona i spotka się z zainteresowaniem.

**Z poważaniem
Piotr Hofman**
Prezes Zarządu Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Piotr Barełkowski
Prezes Zarządu Izby Polskich Przedsiębiorców

Podczas meczów na Euro 2020 kibice
oglądali reklamy Gazpromu

FOT. POOL AP/EAST NEWS



Łukasz Majchrzyk

Reklamy Gazpromu podczas mistrzostw Europy nie powinny nikogo dziwić. Europejski futbol jest od dawna wspierany przez rosyjskiego gazowego giganta

Jeśli ktoś żyje w przekonaniu, że sport i polityka nie powinny się przenikać, a jednocześnie uważnie śledził mecze Euro 2020, to mógł być mocno zdziwiony. Bandy reklamowe bez przerwy wyświetlały logotypy firm wspierających turniej organizowany przez UEFA. Co jakiś czas, pomiędzy reklamami chińskich telewizorów czy katarskich linii lotniczych, pojawiała się też nazwa Gazpromu z charakterystycznym, błękitnym logo.

Rosyjski gigant w maju podpisał umowę, dzięki której jego symbol będzie się pojawiał także podczas meczów

Putin życzy dobrej zabawy

eliminacyjnych i podczas kolejnego turnieju o mistrzostwo Europy w 2024 r. Następną imprezę zorganizują Niemcy, co w całej historii zapewne nie jest bez znaczenia. Jeśli ktoś się oburza, to raczej po cichu albo jego głos nie jest brany pod uwagę. Gazprom to od wielu lat jeden z największych dobroczyńców europejskiej piłki nożnej, a kibice, którzy pasjonują się rozgrywkami, powinni być wdzięczni za miliony dolarów, które trafiają na konta najlepszych europejskich klubów za pośrednictwem UEFA.

SPONSOR MILE WIDZANY

Ta symbioza trwa już od dawna i nic nie zapowiada, żeby miała się zakończyć w najbliższej przyszłości. Kto miałby do tego dążyć? Współczesny sport, a piłka nożna w szczególności, nie może się obejść bez wielkich pieniędzy, więc każdy sponsor jest mile widziany, byle tylko realizował przelewy w umówionych terminach. Władze europejskiej piłki oficjalnie trzymają futbol z dala od polityki i zabraniają piłkarzom oraz kibicom prezentowania jakichkolwiek haseł, które mogłyby zostać odebrane jako kontrowersyjne. Zawodnicy za podciągnięcie koszulki, np. po zdobyciu bramki, mogą dostać żółtą kartkę, a za „niesubordynację” fanów odpowiedziałność ponosi klub. Wiedzą o tym doskonale choćby władze Legii Warszawa, które wiele razy płaciły kary finansowe za transparenty wywieszone na trybunach przez kibiców.

Doskonale było to widać także w trakcie turnieju mistrzostw Europy, a właściwie jeszcze przed jego rozpoczęciem. Każda reprezentacja zgłasza organizatorom wzory strojów, w których chce rozgrywać swoje spotkania. Dla producentów koszulek, a także kibiców to wydarzenie szczególne. Jedni mogą na tym zarobić, a drudzy dzięki temu dają wyraz przywiązaniu do narodowych barw i identyfikują się na trybunach. W Polsce przed Euro 2012 wiele szumu wywołało usunięcie orzełka z koszulek piłkarzy – zostało na nich tylko stylizowane logo Polskiego Związku Piłki Nożnej.

Teraz afera miała zasięg międzynarodowy i była komentowana oraz opisywana w wielu mediach. Ukraińcy na strojach umieścili mapę swojego kraju, obejmującego również Krym, a do tego wypisali hasło: „Chwała Ukrainie, chwała bohaterom”. Takie trykoty wywołały

protesty Rosjan, którzy chcieli usunięcia spornych elementów ze strojów piłkarzy. Może to ich rewanż za to, że kilka lat temu Ukraińcy domagali się ukrycia logo Gazpromu, które pojawiło się w strefie kibica w Kijowie. Stolica Ukrainy gościła wtedy finał Ligi Mistrzów, więc skandal szybko zażegnano.

W pierwszym momencie UEFA wydała oświadczenie, w którym przyznała, że koszulki zostały prawidłowo zgłoszone, więc właściwie nic nie można z tym zrobić, ale kilka dni później zmieniła zdanie. Obrys granic państwa w wersji zaproponowanej wcześniej mógł zostać (tutaj za uzasadnienie posłużyła Rezolucja Zgromadzenia Ogólnego ONZ 68/262 o integralności terytorialnej Ukrainy), podobnie jak hasło „Chwała Ukrainie”. Musiała zniknąć druga część zawołania, bo – jak stwierdziła rządząca europejskim futbolem organizacja – oba okrzyki wypowiediane razem mają historyczne i militarne znaczenie.

UEFA W ROZKROKU

W tej sprawie UEFA stanęła w szerokim rozkroku, a to w ostatnich latach ulubiona pozycja osób rządzących europejską i światową piłką nożną. Z jednej strony cytowana jest Rezolucja ONZ z zaznaczeniem, że popierają ją państwa członkowskie UEFA, a z drugiej strony Rosja może organizować mistrzostwa świata w piłce nożnej w 2018 r., a stadion w Sankt Petersburgu stał się jedną z aren rozrzuconych po całym kontynencie mistrzostw Europy. To tutaj gra klub Zenit, któremu kibicuje sam Władimir Putin, a pieniądze Gazpromu zapewniają mu finansową stabilizację i możliwość rywalizowania na najwyższym poziomie. Nie zawsze te pieniądze były wydawane uczciwie. Przewinienia włodarczy Zenitu były na tyle duże, że klub został objęty specjalnym dochodzeniem i trzeba było podpisywać porozumienie, a Rosjanie obiecali solennie poprawę.

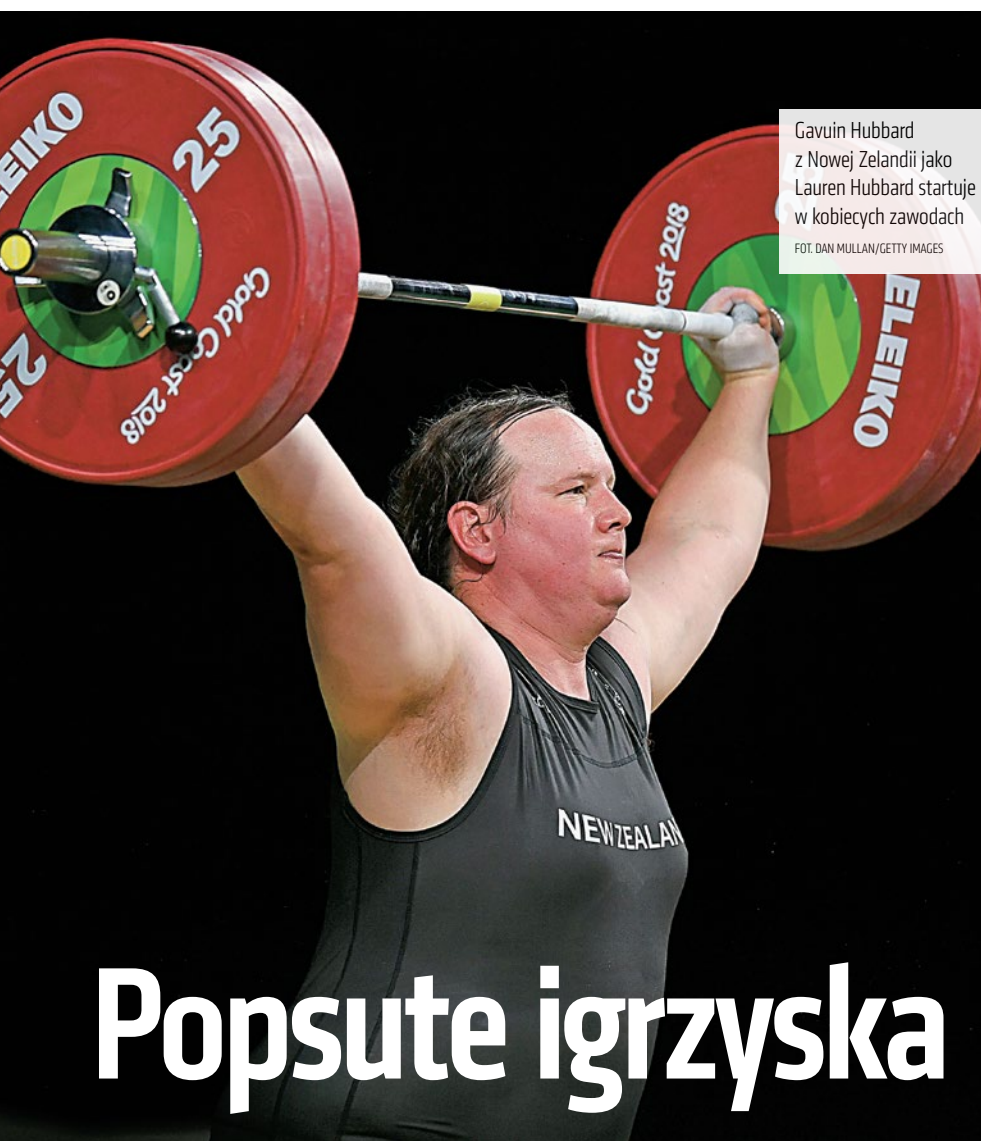
To wszystko działa się już po aneksji Krymu, a niemal w przededniu mistrzostw świata. Chociaż na wschodzie Ukrainy trwały walki, to pieniądze od rosyjskiego giganta płynęły do europejskiego futbolu w najlepsze. O tym, że Ukraina razem z Polską organizowała piłkarskie mistrzostwa Europy w 2012 r., świat zdążył już zapomnieć. Co ciekawe, właśnie od tego roku trwa ścisłe partnerstwo Gazpromu i rządzącej europejskim futbolem UEFA.

Latem 2012 r. oczy kibiców były zwrócone na Polskę i Ukrainę (finał odbywał się w Kijowie), ale już kilka miesięcy później ogłoszono, że Ligę Mistrzów, czyli najważniejsze rozgrywki klubowe, będzie sponsorował Gazprom, a w tym samym czasie oddano do użytku drugą nitkę gazociągu Nord Stream. Kiedy negocjowano kilka lat wcześniej warunki kontraktu, to Gazprom został sponsorem niemieckiego klubu Schalke 04 Gelsenkirchen. Podobną strategię Rosjanie przyjęli w sprawie budowy rurociągu South Stream, który ma przebiegać przez terytorium Serbii – zdecydowali się na wspieranie Crveneje Zvezdy Belgrad.

Partnerstwo między rządzącą europejskim futbolem UEFA a rosyjskim gigantem trwa w najlepsze i nic nie jest w stanie nim zachwiać, nawet nakładane przez rządy sankcje. Kilka lat po aneksji Krymu i tuż po zakończeniu mistrzostw świata w Rosji umowa na sponsorowanie Ligi Mistrzów została przedłużona. A powodów, by poszukać pieniędzy gdzie indziej, było wiele. Rosjanie byli powszechnie oskarżani o to, że dawali łapówki członkom FIFA, głosującym nad wyborem gospodarza turnieju. Śledztwo na zlecenie FIFA prowadził były amerykański prokurator Michael J. Garcia. Jego raport nigdy nie został opublikowany w całości.

UEFA nie przejmuje się też ewentualnymi stratami wizerunkowymi. Podczas jednego ze spotkań Ligi Mistrzów aktywiści Greenpeace wywiesili transparent z logo Gazpromu i hasłem „Nie faulujcie Arktyki”. Jedynym ukaranym w tamtej sprawie był szwajcarski klub FC Basel, który musiał zapłacić 30 tys. euro za niewłaściwą organizację meczu i dopuszczenie do incydentu.

Jeśli tego typu rzeczy nie przekonały ludzi w UEFA, to trudno sobie wyobrazić jakieś mocniejsze argumenty. Zwłaszcza że interesów Gazpromu na najwyższym szczeblu będzie pilnował Alexander Dyukov. Prezes Rosyjskiej Federacji Piłkarskiej wiele lat temu był zatrudniony w jednej ze spółek powiązanych z Gazpromem. W kwietniu został z kolei wybrany do Komitetu Wykonawczego UEFA. W dostąpieniu tego zaszczytu nie przeszkodziło mu nawet to, że w czasie, kiedy był prezesem Zenitu Sankt Petersburg, ten klub naruszał zasady finansowego fair play. To były tylko nic nieznaczące incydenty. Ważne, że kibice mają się z czego cieszyć.



Gavin Hubbard z Nowej Zelandii jako Lauren Hubbard startuje w kobiecych zawodach
FOT. DAN MULLAN/GETTY IMAGES

Popsute igrzyska



Łukasz Zboralski

Po raz pierwszy na igrzyskach olimpijskich w podnoszeniu ciężarów z kobietami będzie rywalizował mężczyzna, który dokonał „zmiany płci”. Czy kobiecy sport będzie miał jeszcze sens?

W Tokio 23 lipca zapłonnie olimpijski znicz i rozpoczną się najbardziej prestiżowe sportowe zawody – igrzyska.

Być może będą to igrzyska bez publiczności, bo z powodu pandemii pod koniec ubiegłego tygodnia władze Japonii ogłosiły lockdown. Stan wyjątkowy ma trwać do 22 sierpnia. Ale nie tylko z tego powodu te igrzyska będą inne niż zawsze. Podczas zawodów podnoszenia ciężarów w Tokio razem

z kobietami wystartuje mężczyzna, który „zmienił płeć”.

OD JUNIORA DO „SENIORKI”

Gavin Hubbard przyszedł na świat 43 lata temu w Nowej Zelandii jako mężczyzna. Ten syn byłego burmistrza miasta Auckland (i założyciela fabryki produkującej płatki śniadaniowe – Hubbard Foods) już jako junior zaczął startować w sportach wysiłkowych. W 1998 r. ustanawiał rekordy juniorskie w podnoszeniu ciężarów (zo-

stały potem pobite). W seniorskim sporcie jednak niewiele osiągnął. Do momentu, gdy w 2012 r. dokonał „korekty płci”, i od tej pory uznaje się za kobietę – Laurel Hubbard.

Jako „kobieta” w sporcie zaczął już dominować. W 2017 r. wygrał międzynarodowe zawody w Melbourne w najcięższej kobiecej kategorii sztangistek (90+). Już wtedy jego zwycięstwo wywołało niemałą burzę. Zdeklasowane zawodniczki – Hubbard podniósł w sumie o 20 kg więcej niż następna w klasyfikacji kobieta – mówiły wprost, że takie zdobywanie medali nie jest sprawiedliwe. Dopuszczenie Hubbarda do zawodów otwarcie skrytykowali m.in. australijska sztangistka Deborah Acason, nowozelandzka zawodniczka Tracey Lambrechts (ta sztangistka zrzuciła potem wagę, by walczyć w innej kategorii, gdzie nie musi rywalizować z transpłciową „kobietą”) czy samoński sztangista Toafitu Perive. O jawnej niesprawiedliwości mówił nawet dyrektor Australijskiej Federacji Podnoszenia Ciężarów, Michael Keelan. Hubbard znalazł też jednak zaraz obrońców, m.in. znanego dziennikarza sportowego, który przekonywał, że poziom testosteronu jest „znacznie bardziej naukowym sposobem mierzenia płci niż cokolwiek innego”.

Bo to właśnie mierzenie poziomu testosteronu stało się wyznacznikiem tego, kto w jakiej kategorii płciowej może startować. Do takich wytycznych Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego doprowadził Chris Mosier – czyli nadzieja i chluba środowisk LGBT przed igrzyskami w Rio. Odwrotnie niż Hubbard urodziła się jako kobieta, a w 2010 r. zmieniła się w „mężczyznę”. Wywalczyła miejsce w męskiej kadrze triathlonistów USA na mistrzostwa świata w 2016 r. Mosier obecna była na igrzyskach w Rio de Janeiro, a dzięki klipowi firmy Nike było o niej bardzo głośno. Reklamówkę pokazującą jej historię puszczano podczas transmisji olimpijskich w USA.

W 2015 r. MKOl opracował wytyczne pozwalające każdemu sportowcowi transpłciowemu konkurować jako kobieta. Warunkiem jest poziom testosteronu. Przez co najmniej 12 miesięcy przed zawodami musi on wynosić mniej niż 10 nanomoli na litr krwi (w sprawie kobiet, które chcą startować z mężczyznanami ograniczeń w zasadzie nie ma, MKOl nie wymaga żadnych stężeń hormonów).

Hubbard w 2019 r. ponownie zdominował sztangistki – wywalczył dwa złote medale podczas Igrzysk Pacyfiku w Samoa. Podobno w kuluarach zawodów

(otwartej krytyki nie było) mówiono o tym, że „okradł” kobiety z ich medali.

Na mistrzostwach świata z Hubbardem przegrała też Polka – Aleksandra Mierzejewska. Twierdzi, że środowisko kobiecej sztangi we własnym gronie uważa, iż zajęła wtedy miejsce wyżej, nie licząc Hubbarda. Sama Polka otwarcie do dziś wyraża rozżalenie. – Nie mam nic przeciwko osobom transpłciowym, ogólnie jestem tolerancyjna. Jeśli jednak mężczyzna ogłasza zmianę płci i chce startować w zawodach z kobietami, to dla mnie jest oszustem. O jakim fair play my mówimy? – powiedziała serwisowi Sport.pl.

Polska sztangistka nie jest jedyna. Już trzy lata temu, gdy Kanadyjczyk Rachel McKinnon, który wygrał mistrzostwa świata w kolarskim sprincie jako kobieta, publicznie ostrzegła przed transsportowcami Martina Navratilowa. Legendarna tenisistka, która nie kryje swojej homoseksualności, napisała ostry felieton w brytyjskiej prasie. „Nie mam problemu, żeby zwracać się do transseksualnych kobiet w jakiegokolwiek formie, w której sobie życzą, ale nie byłabym szczęśliwa, gdybym musiała z nimi rywalizować. To nie byłoby fair” – uznała. I tłumaczyła: „Powód jest bardzo

prosty: mężczyzna może zdecydować się zostać kobietą; brać hormony, jeśli tego życzy sobie organizacja sportowa, która ma pieczę nad zawodami, w których zamierza wystąpić; wygrać wszystko, co ma w zasięgu ręki, i może nawet zarobić małą fortunę, a potem zmienić swoją decyzję i wrócić do robienia dzieci, jeśli tego zapragnie”.

Na Navratilową wylało się morze krytyki. McKinnon nazwał ją transfobką i polecał kasowanie takich opinii. Navratilowa na takie zarzuty odpowiedziała krótko – że nazywanie „transfobem” każdego, kto krytykuje te środowiska, jest po prostu formą tyranii.

IGRZYSKA NIEUCZLIWOŚCI?

21 czerwca Komitet Olimpijski Nowej Zelandii potwierdził, że w narodowej drużynie znalazła się Laurel Hubbard.

– Zdajemy sobie sprawę, że tożsamość płciowa w sporcie jest bardzo delikatną i złożoną kwestią, wymagającą równowagi między prawami człowieka a uczciwością w rywalizacji. Jako reprezentacja Nowej Zelandii mamy mocno zakorzenioną kulturę manaaki [chodzi o wsparcie – przyp. red.] oraz uwzględnianie i szacunek dla wszystkich – zaznaczyła

dyrektor nowozelandzkiego komitetu olimpijskiego Kereyn Smith.

„Jestem wdzięczna za życzliwość i wsparcie, którymi obdarowało mnie tak wielu Nowozelandczyków” – napisał w oświadczeniu po informacji o kwalifikacji na igrzyska Hubbard. Oświadczenie to jego jedyny głos. Od czasu zmiany płci nie rozmawia z dziennikarzami, nie udziela wywiadów.

Wszystko wskazuje na to, że igrzyska w Tokio otworzą nowy rozdział w sporcie, czyniąc go zdecydowanie mniej uroczym. Bo o ile dało się kiedyś udowodnić, że biegający na bionicznym protezach Oscar Pistorius uzyskuje nad zwykłymi zawodnikami przewagę (choć przypominajmy, że ostatecznie prawnicy polegali w bojach i Pistorius został dopuszczony na igrzyska, a jego passę przerwało tylko to, iż zastrzelił swoją dziewczynę i odsiaduje 13-letni wyrok za krątkami), o tyle samo wypowiedzenie tego, że mężczyźni są inaczej anatomicznie zbudowani niż kobiety i będą nad nimi górować fizycznie, jest już dziś źle widziane.

Chyba że ktoś na świecie będzie w stanie przekonać MKOl, że testosteron to nie wszystko?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA



POBYTY: Po Covid-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Stół szwedzki, 15 albo 25 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00

www.podtezniemi.pl

Pobyty: 11.07 - 26.09 i 26.09 - 24.10.2021r.

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek



Jacek Komuda

Jeden z najpiękniejszych zamków Jury Krakowsko-Częstochowskiej, wznoszący się dumnie na wapiennej skale, jest jednocześnie przedmiotem wielu sporów i kontrowersji

Bobolice zostały zrekonstruowane, podniesione z ruin i do dziś zdarzają się opinie, że nie jest to budowla obronna, ale makietka, atrapa, fantazja na temat tego, jak 400 lat temu wyglądał zamek. Aby jednak zrozumieć fenomen tego miejsca, prześledźmy jego dzieje.

Zamek w Bobolicach, zbudowany za czasów Kazimierza Wielkiego jako jeden z kilku strzegących granicy od strony Śląska, w 1370 r. nadany został przez Ludwika Węgierskiego Władysławowi Opolczykowi. Ten z kolei przekazał go Węgrowi Andrzejowi Schonymu z Barlabas, który zasłynął jako rozbójnik, prawdziwy raubritter napadający na kupców i podróżnych. Już w 1396 r. Bobolice zostały zdobyte przez wojska Władysława Jagiełły. Później zamek pozostawał w rękach Krezów, Myszkowskich i Męcińskich. Został wzięty szturmem i uszkodzony w czasie wojny o tron w Polsce w 1587 r., kiedy wpadli tu stronnicy Maksymiliana Habsburga.

Później losy Bobolic były podobne do innych polskich zamków – zostały zrujnowane przez Szwedów, a przed 1683 r. opuszczone. W każdym razie Jan III Sobieski, który podążał tędy pod Wiedeń, nie nocował tutaj, gdyż obiekt nie nadawał się już do zamieszkania. W kolejnych stuleciach Bobolice stały się tylko malowniczą ruiną uwiecznioną na licznych szkicach i fotografiach.

TRWAŁA RUINA NA WIEKI

Dopiero pod koniec XX w. zaczyna się kolejny etap historii tego miejsca. W 1999 r. bracia Jarosław i Dariusz Laseccy kupują od miejscowego chłopca ruiny zamku, które stanowiły własność prywatną i powoli zamieniały się w stos gruzu i kamieni. Pięć lat

Bobolice – zamek



Bobolice

później wykupują także pozostałości pobliskiego Mirowa i cały pas ziemi pomiędzy zamkami.

Wkrótce rozpoczynają odbudowę Bobolic i równocześnie długą, jak by powiedział Władysław Łoziński, trzynastoletnią wojnę prywatną z konserwatorem zabytków, który robi wszystko, aby miejsce to pozostało ruiną, a zamek nigdy nie stanął na szczycie skały. „Wśród części konserwatorów zabytków panuje przekonanie, że tzw. trwała ruina jest dobrem najwyższym, że nie należy nic z tym robić – twierdził Lasecki w jednym z wywiadów. – To pogląd zakorzeniony głęboko w czasach Polski Ludowej. Zupełnie obce jest mi takie myślenie. W ten sposób stawiamy pomniki hołdu najeźdźcom, którzy nasze zamki w taką ruinę obrócili. Dumny naród odbudowuje swoje zabytki. Tak robią Niemcy, Francuzi, Austriacy. Dlaczego nie my, Polacy?”

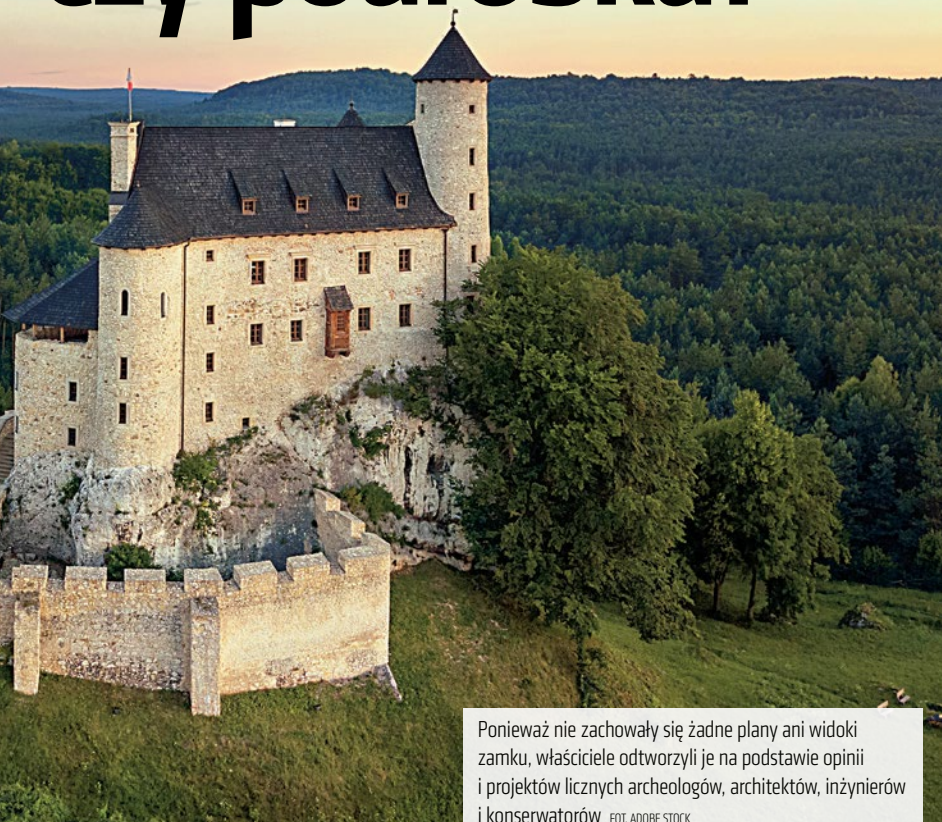
Jak wyglądała odbudowa? W świetle informacji udzielanych przez inwestorów chodziło o ścisłą rekonstrukcję historyczną. Ponieważ nie zachowały się żadne

plany ani widoki zamku, właściciele odtworzyli je na podstawie opinii i projektów licznych archeologów, architektów, inżynierów i konserwatorów, m.in. dr. Waldemara Niewaldy, dr. Sławomira Dryi, prof. Janusza Bogdanowskiego, prof. Stanisława Karczmarczyka i innych specjalistów. Prace poprzedziły wykopaliska archeologiczne, które odsłoniły podwaliny dawnego zamku; odnaleziono także wiele elementów zabytkowej kamieniarki. Do odbudowy Laseccy zatrudniali doświadczonych kamieniarzy i murarzy, do przygotowania zaprawy wykorzystali m.in. płukany piasek rzeczny i wapno gaszone trzymane w dołach przez 30 lat, przypominające stosowane w średniowieczu.

Głównym przeciwnikiem rekonstrukcji zamku wciąż był konserwator zabytków, który kwestionował poszczególne etapy i elementy odbudowy. Boje toczyły się, jeśli wierzyć wypowiedziom Laseckiego: o kąt nachylenia dachu, o rodzaje drewna na drzwi, o wspomnianą zaprawę i wiele innych kwestii.

We wrześniu 2011 r. zamek został otwarty i zaraz stał się przedmiotem

czy podróbka?



Ponieważ nie zachowały się żadne plany ani widoki zamku, właściciele odtworzyli je na podstawie opinii i projektów licznych archeologów, architektów, inżynierów i konserwatorów FOT. ADOBE STOCK

kolejnych sporów; tym razem pomiędzy architektami, miłośnikami sztuki i pasjonatami Jury Krakowsko-Częstochowskiej w szczególności. Dotyczyły one zasadności odbudowy oraz tego, czy stała ona w zgodności z historycznymi realiami, i w ogóle kwestii, czy takie zabytki powinny być odbudowywane, czy też nie. Niestety, wielu architektów po dziś dzień pozostaje wrogami jakiegokolwiek rekonstrukcji, a jednocześnie biada nad stanem ich zniszczenia. Nawet Maciej Rydel, jeden z największych specjalistów od dokumentowania i ratowania dworów polskich, określa np. zniszczony dwór z Rdzawy, który odtworzono w Sąddeckim Parku Etnograficznym w Nowym Sączu, mianem „atrapy”. Inny wybitny znawca architektury obronnych zamków i dworów – niezający już Leszek Kajzer – pisze o dworze w Łękach Kościelnych, który pokazany był w serialu „Rodzina Połanieckich” i odrestaurowany przez konserwatora zabytków w latach 60., jako o „powojennym preparacie konserwatorskim”.

Dochodzi zatem do swoistego paradoksu – obaj panowie ubolewają nad

ruiną dworów pozostawionych przez PRL na pastwę czasu i PGR-ów, ale te same budowle zrekonstruowane lub odbudowane już dla nich dworami nie są. Rydel nie ukrywa niechęci do współcześnie powstałych obiektów. Pisze: „Co powiedziałby książę Czartoryski dziś, widząc budownictwo wiejskie i miejskie, mieniące się »dworkowym«, które można by określić jako »kundlizm architektoniczny«? Na 400-metrowych działkach, często bez jakiegokolwiek namiastki parku, przy uliczkach o jednorodzinnej zabudowie, tworzone są koślawe potworki, które właściciele i pozał się Boże architekci jakże chętnie nazywają »dworkami«. Większość ich właścicieli nie skalała się wiedzą, czym był dwór w historii Polski”.

ZAMEK CZY „GARGAMEL”?

Czym są więc w świetle powyższych słów Bobolice i inne odbudowane współcześnie podobne im obiekty? Dworami i zamkami czy też ich atrapami, modelami, produktami dworkopodobnymi? Pytanie to powinno rozbijać się na dwie kwestie. Pierwsze to historyczność wykonania. Jeśli

są to pełnoprawne rekonstrukcje, odtwarzające dawne zamki z wykorzystaniem materiałów i technik budowania, to nie można odmówić im historycznych nazw. Czy zamkiem jest Guédelon w Burgundii, którego budowę rozpoczęli Michel Guyot i Maryline Martin w 1997 r.? I przez 23 lata wznosili ręcznymi, starymi technikami budowlanymi z wykorzystaniem dźwigów deptakowych i transportu konnego? Odpowiadam prosto: nie jest, rzecz jasna, zamkiem średniowiecznym, ale samego miana „zamku” odmówić mu nie można.

Czy zatem Bobolice można tak nazwać? Oczywiście – odpowiadam. Jest to prawdziwy zamek, tyle że wiernie zrekonstruowany; mam też wrażenie, że przypomina raczej ten z XVI–XVII w. niż z czasów Kazimierza Wielkiego. Swoją drogą, czy można nazwać zamkiem i w ogóle zabytkiem Zamek Królewski w Warszawie, spalony 17 września 1939 r. i wysadzony w powietrze przez Niemców, a następnie odbudowany z dbałością o szczegóły? Jeśli rekonstruowane współcześnie obiekty opierają się na solidnych podstawach historycznych, włączając plany, materiał wykonania i wyposażenie, to bez wątpienia są tym, czym być powinny: zamkami, pałacami i dworami.

Czy jednak zamkiem jest obiekt budowany przez korporację szemranych japisów w Stobnicy w Puszczy Noteckiej, z pogwałceniem prawa budowlanego? Nie! To produkt zamkopodobny i najwłaściwsze określenie dla niego pochodzi z gwary architektów: oto „gargamel” w pełnej krasie, podobny do sławnego zamku czarownika z popularnej kreskówki o smerfach. Różnica pomiędzy takimi potworkami a solidnymi rekonstrukcjami zasadza się na historyczności. Zamek czy pałac miał specyficzny rozkład pomieszczeń, meble, będące jak zwykle we dworze zbieraniną sprzętów ze wszystkich epok historycznych od późnego średniowiecza do wieku XX, odpowiednie otoczenie i specyficzny klimat. Wszystko to znajdziemy właśnie w Bobolicach.

Ich rekonstrukcja każe postawić nam także drugie pytanie: Czy architektura zamków i dworów powinna mieć swoją ciągłość historyczną, skoro ma ją państwo polskie? Czy budowa dworów i pałaców upadła po klęsce II Rzeczypospolitej, czy też powinna odrodzić się po nocy komunizmu i trwać dalej? Uważam, że wobec stanu zabytków w naszym kraju innej drogi po prostu nie mamy.

GRILLOWANIE PO MISTRZOWSKU Z MICHAŁEM DOBOSZEM

Jestem ogromnym fanem grillowania – mój cel to edukowanie miłośników grilla w zakresie zdrowego i smacznego grillowania. Staram się przygotowywać nowe przepisy, które mogą zaskoczyć Twoich gości. Chcę pokazać, że grill to nie tylko karkówka czy kielbasa. Grillowane brownie, poncz, flambirowane banany czy tajskie curry warzywne – to tylko niektóre z moich przepisów. Zapraszam Cię do poszukiwania nowych rozwiązań i smaków – spotkamy się przy grillu! Dzisiaj proponuję przepis na żeberka z grilla w glazurze z miodu i whisky.

Żeberka z grilla w glazurze z miodu i whisky

Składniki:

- 1 kg żeberek wieprzowych z kością
- świeży imbir
- świeży czosnek
- gwiazdki anyżu
- świeża papryczka chilli
- miód
- sos sojowy
- whisky
- sproszkowana papryka ostra
- ocet jabłkowy



- bulion
- świeża kolendra
- oliwa
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Wybierz żeberka, które posiadają 35-procentowy przerost tłuszczu. Tłuszcz jest doskonałym nośnikiem smaku, korzystnie wpływa na strukturę i konsystencję potraw. Zbyt chude żeberka łatwo przeciągnąć, w efekcie czego stają się twarde i suche.

Przystępując do grillowania, żeberka oprósz solą i pieprzem, a następnie umieść w naczyniu posmarowanym oliwą i ułóż na ruszcie rozgrzanego grilla.

Aby podkreślić charakter dania, posiekaj świeży imbir i czosnek w cienkie plastry. Aromatyczne dodatki rozłóż wśród żeberk i pozwól, aby smaki się połączyły.

Dodaj gwiazdki anyżu i pokrojoną papryczkę chilli.

Polej miodem wieprzowinę. Do naczynia dodaj odrobinę sosu sojowego, słuszną ilość whisky i sproszkowaną ostrą paprykę.

Doprowadź całość do wrzenia, a na końcu podlej octem jabłkowym i bulionem.

Zostaw na grillu na godzinę, tak, żeby większość płynów zredukowała się do minimum.

Otrzymasz gęstą, esencjonalną sos z żeberka w perfekcyjnej glazurze, które możesz udekorować świeżą kolendrą. Smacznego!

oprac. raw
Michał Dobosz – założyciel
serwisu www.grill360.pl i właściciel
firmy www.decofire.pl
zajmującej się sprzedażą
produktów do domu i ogrodu,
w tym grilli jakości premium.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Majtki oficjalne

Dziennik „New York Times” doniósł, że amerykańska drużyna olimpijska na nadchodzących igrzyskach nosić będzie bieliznę marki Skims. Ta nazwa nic mi nie mówi, widocznie jestem zbyt mało zorientowana w tematyce celebryckiej, żeby wiedzieć, że owa marka należy do Kim Kardashian. Miliarderki, bohaterki reality show, najbardziej znanej z największej pupy, najcieńszej talii i największej liczby biznesów firmowanych własnym, głośnym – nie wiadomo dlaczego – nazwiskiem.

„Nawet jak byłam dzieckiem, pasjonowałam się olimpiadą, podziwiałam sprawność i wyczyny zawodników” – wyznała zachwycona pani Kardashian. Zna sport nawet z bliskich doświadczeń, wszak jej ojczym Caitlyn Jenner, wtedy jeszcze mężczyzna i wtedy jeszcze żonaty z jej matką, wygrał decathlon na olimpiadzie w Montrealu w 1976 r.

Cóż, zawile są zmiany płci i żon w życiu amerykańskiego jet setu. Wróćmy zatem do bielizny. Oficjalnej bielizny – ma się rozumieć. Wszyscy, którzy oglądają mecze tenisowe, wiedzą, jaki jest power marki firmowanej przez zawodników. W czasie dwóch godzin meczu przez co najmniej połowę tego czasu kamera wędruje po stroju

każdego gracza i przyszytych do niego znaczków. Znaczkę wyceniane są na grubą kasę i nic dziwnego, że firmy muszą się dobrze szarpnąć, żeby ich logo trafiło na czapkę, buty i koszulkę finalisty Rolanda Garrosa czy Wimbledonu.

Ale też na tym nieźle zarabiają. „Puls Biznesu” poda, że w ciągu dwóch miesięcy Iga Świątek wypracowała dla PZU prawie 14 mln zł ekwiwalentu reklamowego.

Z przyjemnością oglądałam grę Igi i podziwiałam jej wybory ubraniowe. Proste, eleganckie, funkcjonalne, bez udziwnień.

Prostotę stylu naszej tenisistki

„zrekompensowała” jej partnerka deblowa, Amerykanka Bethanie Mattek-Sands, którą media słusznie nazwały Lady Gąga tenisa. Rzeczywiście, czarne podkolanówki, dziwaczne spódniczki i sztuczne rzęsy bardziej kwalifikowały ją do występów na estradzie niż na korcie.

Wiemy, że Ige ubierała w zeszłym roku marka Nike, w tym roku Asics. Ale właśnie uświadamiam sobie, że wciąż brak nam informacji, jakąż to bieliznę – oficjalną bieliznę – nosi nasza wspaniała dziewczyna. Jakoś cicho o tym. Widocznie nie mamy pod ręką żadnej pani Kardashian West, żeby dostarczyła Idze majtki. Oficjalne majtki oczywiście. ©



DEKAMERONKI

Czwarta fala o imieniu Delta



JERZY KARWELIS

Ja już nie bardzo rozumiem. Mamy trzy województwa bez zgłoszonych zakażeń. Będzie coraz więcej. Koronawirus w odwrocie, a wszyscy mówią o czwartej fali. To ten wirus gdzieś na lato się przyczaił (gdzie?), siedzi gdzieś tam pod kocem i wyjdzie na jesień? Tak wirusy nie działają. A minister Niedzielski nawet określił dość dokładną datę, czyli... połowa sierpnia.

Na czwartą falę ma zapracować wirus Delta. Ale ja śledzę różne mutacje i w samej tylko przestrzeni medialnej pojawiło ich się już

głównie medialnie, frustrowani rosnącymi danymi o zakażeniach, co uzasadni zapowiadany powrót do obostrzeń.

Co do samej Delty, to mamy do czynienia z niezłym zamieszaniem. Dostajemy sprzeczne dane o jego śmiertelności. Dla jednych jest ona promilowa, dla drugich bardzo wysoka (autorytet pan Fauci powiedział, że 99 proc. zakażeń to niezaszczepieni, jasne). Nawet króluje ostatnio wpis z oficjalnych stron promujących szczepienie (nomen omen „Ostatnia prosta”), który miał udowodnić,

Ma on jeszcze jedną ważną cechę (to znaczy autorytety mówią, że ma) – atakuje szczególnie dzieci, czyli kwestia tego, że do tej pory szczepienie ich nie miało innego sensu niż stworzenie z maluchów tarczy osłonowej dla dorosłych, została anulowana. Akurat tu nowa mutacja trafiła w punkt.

Myślałem, myślałem i wymyśliłem, dlaczego oni tak robią. Dlaczego wręcz chcą, by była ta czwarta fala, choć nie ma żadnych jej sygnałów. Otóż wydaje mi się, że oni chcą mieć tę falę, by wszystkich zaszczepić. Postraszyć tak, by wahający zrobili to dobrowolnie. A tym niepokornym tak utrudnić życie, żeby się złamali. Główny atak pójdzie na szczepienie dzieci, stąd dziwna do nich predylekcja nowej odmiany, zaś terminy na start deltapandemii na połowę sierpnia. Przed rokiem szkolnym, by zanim zadzwoni dzwonek w realnej szkole, wytworzyć emocjonalny przymus szczepienia. I terror wzajemny w samoobłudzie społeczeństwa zafundowany przez spanikowanych w imię fałszywej ochrony innych.

Potem w szkole już pójdzie, w domach dziecka już idzie. Rodzice w wielu przypadkach dowiedzą się, że już po wszystkim, ba – dziecko samo podjęło decyzję. A więc, by to zrobić, by wytworzyć tę śnieżną kulę paniki kończącej się zaszczepieniem, potrzebne jest odwołanie się do znanych schematów pierwszej kwarantanny – idzie fala, trzeba się zabezpieczyć, głównie teraz już przed znanym wrogiem: płaskoziemnymi, niezaszczepionymi foliarzami. Bo tylko oni są temu winni, inaczej trzeba by wytłumaczyć, „gdzie jest wirus, kiedy śpi” oraz że zaszczepieni są wciąż nosicielami zakażenia. Czyli że szczepionki są nieskuteczne. A tego nie można powiedzieć, bo mamy zaszczepić wszystkich. ©

Kapitał strachu daje się uruchamiać w nieskończoność, wystarczy tylko, by temat nie spowszedniał

kilka (nauka mówi, że mutacji koronawirusa jest kilkanaście tysięcy, a więc stała dostawa jest zapewniona). Mieliśmy brytyjskiego, który wykosił Brytoli z kurortów narciarskich w zimie, mieliśmy czeskiego, którego widział – zdaje się – tylko nasz minister. Potem była wersja bretońska – ciekawa, bo... niewykrywalna, czyli wiadomo, że jest, ale nie wiadomo gdzie. Potem był wirus z Amazonii, który miał być odporny na wszelkie zabiegi. Teraz mamy wirusa w wariantcie Delta i ten chyba wygrał konkurs piękności.

Ma ci on bowiem wszelkie cechy, by zawałnąć wyobraźnię publiczną, bo jeśli chodzi o wyróżniki epidemiologiczne, to tu słabiej. Jest to wirus, który się podobno dwa razy szybciej rozprzestrzenia, a więc jesteśmy w przededniu fali... pozytywnych testów. Ale – jak mówią specjaliści – jeżeli wirus jest bardziej zakaźny, to przebieg choroby jest łżejszy, taka to specyfika kierunku mutacji. Ale będziemy,

że wirus jest śmiertelny i trzeba się szczepić, zaś wyszło, że śmiertelność wśród zaszczepionych to 0,00636 proc., zaś wśród niezaszczepionych to 0,000957 proc. I wszyscy rzucili się, że to przecież z sześć razy gorzej dla zaszczepionych, zaś nikt nie zwrócił uwagi na promilowość zjawiska, które zaraz zamknie nasz kraj i połowę świata. Brytyjskie dane masakrują pandemiczność Delty, gdyż śmiertelność jej wynosi 0,3 proc. w stosunku do starego wariantu brytyjskiego wciąż penetrującego tamtejszych na poziomie 1,9 proc. zgonów. Ktoś tu więc coś sztucznie hoduje.

Ale lud medialny jest gotowy. Powtórzmy ten sam schemat, który był ćwiczony za pierwszego lockdownu. Kapitał strachu daje się uruchamiać w nieskończoność, wystarczy tylko, by temat nie spowszedniał. Czyli wprowadzany jest nowy produkt do znanej już kategorii, który ma nowe właściwości, nie do zweryfikowania bez pomocy usłużnych ekspertów.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Berlin bardzo zachodni

Owielu dziwach teraz człowiek słyszy. Albo czyta. Dziwów tych jest tak wiele, że trudno uwierzyć, że wszystkie istnieją naprawdę. I faktycznie – niektóre są zmyślane. Niełatwo zatem się rozeznąć, które dziwo prawdziwe, a które nie.

O historii poniższej wiem na pewno, że faktycznie miała miejsce, choć wygląda na zupełnie nieprawdopodobną. Ale słyszałem ją już rok temu z drugiej ręki, a w tym roku potwierdził jej autentyczność główny bohater wydarzeń. Mianowicie facet, który w Berlinie chciał sobie wyremontować mieszkanie w kamienicy.

Wydawałoby się, że nic prostszego. Facet zaczął klasycznie: wynajął ekipę złożoną głównie z Turków, nabył potrzebne materiały oraz – co może się wydać nieco dziwne – przedstawił plany remontu własnego mieszkania lokalnym władzom. Okazuje się bowiem, że zasada „Wolność, Tomku, w swoim domu” w nowoczesnych miastach Zachodu już raczej nie obowiązuje. A już na pewno w Berlinie. Tam bowiem funkcjonuje specjalne prawo mające zahamować wzrost cen nieruchomości. A to po to, żeby dany obszar miejski nie stał się zbyt – tak to nazwijmy – snobistyczny i jednowymiarowy kulturowo.

Założenie zapewne szlachetne, ale ciekawy jest sposób, w jaki się je realizuje. Otóż znany nam już właściciel mieszkania w Berlinie zamarzył sobie,

żeby w jego łazience mieściły się zarówno wanna, jaki i kabina prysznicowa. No cóż – może on lubi ożywczy prysznic, a jego żona preferuje romantyczne kąpiele przy nastrojowej muzyce i z wonnymi olejkami. Mniej o to. Ważne jest to, że miejscy urzędnicy uznali, iż wyposażenie nieruchomości zarówno w prysznic, jak i wannę może niebezpiecznie podwyższyć standard mieszkania, a w efekcie doprowadzić do wzrostu jego ceny, co zachwieje cenami w okolicy. A to już wymagało interwencji. W remontowanym lokalu pojawiła się zielonowłosa aktywistka zatrudniona w magistracie i groźnym tonem oznajmiła, że remont zostaje oficjalnie wstrzymany. Na potwierdzenie swych słów złożyła nieco zszokowanym właścicielom mieszkania dokument ze stosownymi pieczęciami.

Okazało się, że to dość powszechny problem, o czym nasz znajomy właściciel dowiedział się od tureckiego szefa ekipy remontowej. Ten zaproponował mu zmianę planów przedłożonych urzędnikom, a następnie nielegalną instalację wanny i prysznica. Tak też zrobiono. Mój znajomy jest teraz właścicielem wanny, która oficjalnie nie istnieje, i nieco obawia się, że któregoś ranka o świcie do jego domu załomocze szurmowy oddział kontrolerów hydraulicznych. Oczywiście z zielonymi włosami. I takimż sercem. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Sobieska pilnie poszukiwana

Małgośka, mówią mi, ty ciągle latasz po Europie, a jesteś z antyeuropejską prawicą. Jak ty to godzisz? I to jest ten moment, w którym cedzę przez zęby tekst klasyka Nigela Farage’a: „We love Europe, we just hate the European Union!”. Tak, kocham Europę. Nawet piszę ten felieton w kawiarni w Madrycie, z której widzę pomnik św. JPII przy pobliskiej katedrze. To miasto dało mi coś, czego nie mogła dać mi Warszawa: poczucie wspólnoty bez granic. To dzięki Hiszpanom Kościół stał się tak powszechny, że mogę rozpoznawać po rysach twarzy współwyznawców z różnych kontynentów. Amigos nauczyli mnie rozróżniać przybyszów z Boliwii, Wenezueli lub Panamy. I dlatego kocham Europę, nienawidzę UE! Bo odbiera nam wspólnotę, którą stworzyła chrześcijańska Europa. I w dodatku niczym okrutne plemiona prekolumbijskie pozbywa się najsłabszych na ołtarzu religii postępu.

Pozwala też, aby prawo szariatu panoszyło się w Europie. Zwiedzając ponownie region Mursji, widzę znacznie więcej muzułmanów niż cztery lata temu. Za każdym razem do szewskiej pasji doprowadza mnie ten sam widok: w morderczym upale rozgolaszony paraduje muzułmański macho, a z nim szczerlnie spowita w kokon tkanin kobieta. „A co byś zrobiła, gdyby tata i księża kazali ci się tak ubierać?”

– pyta mój syn. I choć pierwsze, co mi przychodzi do głowy w tej spekulacji, to: „Zaciukałabym, czym popadnie”, to przełykam i mówię: „Synku, i właśnie na tym polega piękno katolicyzmu. My nie mamy obsesji na punkcie seksu i odkrytego ciała. Sam widzisz, że oni nie odpuszczają nawet starym i otyłym kobietom, które raczej nikogo nie pociągają”.

Wieczorem rozmawiam o poddaństwie muzułmanek z przyjaciółką z Mursji, która obserwuje, jak miasto zmienia się coraz bardziej wskutek inwazji. „Co wy, Polki, wiecie o emancypacji, skoro same pokornie przyjmujecie nazwisko męża i pozbywacie się własnego?!” – odpowiada mi Cristina ku memu zdumieniu. „Nie znasz nas, zrzekamy się nazwiska, ale w zamian dostajemy władzę imperatorowej w rodzinie! Polska to kraj absolutnego matriarchatu. I dlatego muzułmanie nie daliby sobie rady z Polkami”. „A ty wiesz, że to ma sens?” – mówi Cristina. – U nas w Mursji są tysiące muzułmanów, a i tak wszystkie baby w mieście najbardziej boją się pijanych Ukraińców, których jest tu coraz więcej. Więc jeśli słowiańskie kobiety umieją ogarnąć swoich nieobliczalnych facetów, to tym bardziej będą umiały utrzymać nosa muzułmanom!”. „A pewnie – mówię – na razie co prawda mamy tylko Lempart, ale jeszcze przyjdzie czas na odsiecz jakiejś Sobieskiej!”. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Żona Ksawerego

Rodzin „wrogów ludu” nie zsyłano u nas wprawdzie w latach stalinowskich do łagrów, tak jak w Związku Sowieckim, ale inwigilowano, szyskanowano, niczym rodzinę Cata-Mackiewicza, zwłaszcza gdy został premierem rządu polskiego na uchodźstwie. Bezpieka szukała nieustająco „haków” na jego żonę, Wandę, oraz córki, Barbarę i Aleksandrę, żeby je kompromitować, szantażować, dowiadywać się czegoś od nich o Cacie, ale bezskutecznie. Żyły skromnie, nie miały żadnych nałogów i nie było mowy o wyciągnięciu od nich

jeden z jej stryjów, Aleksander, był ministrem sprawiedliwości w rządzie Piłsudskiego, drugi, ksiądz Walerian, radcą ambasady polskiej przy Watykanie.

Dla snoba Pruszyńskiego było to bardzo ważne, w 1933 r. ożenił się więc z Marytką, podobnie jak on studentką prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, inteligentną, wyemancypowaną. Ale mimo trojga dzieci ich małżeństwo okazało się nieudane. Nosiło go ciągle po świecie, w 1939 r. zostawił ją na całe sześć lat z dwoma małymi synami i w ciąży z Marysią, walczyl pod Narwikiem, był u Stalina

testamentem – opiekę nad nimi przejął jego wpływowy i ustosunkowany brat Mieczysław. Wychowywały się bez matki, co było tragedią dla nich i dla niej.

Przyjaźniła się z Catem i jego rodziną od czasów wileńskich, korespondowała z nim, bezpieka wpadła więc na jej trop, wzywała, żądała informacji. Wydawało się jej, że to, co jej rzucała, było nieszkodliwe, ale wiadomości o życiu rodzinnym Cata były cenne wyjątkowo. Choćby te o jego licznych, gorszących Wilno, a zwłaszcza żonę, zdra-dach, przeprowadzonej przez nią w związku z tym ich kościelnej separacji, mimo której pozostawali w przyjaźni. Obecnej sytuacji materialnej jego żony i córek (przepisuje na maszynie, robi swetry na drutach, córki mimo studiów pracują byle gdzie, ze względu na „trefnego” ojca nie mogą znaleźć dobrych posad), ich mężach (tragicznej śmierci jednego z nich). Na polecenie bezpieki rozważającej już ściągnięcie Cata do Polski namawiała go na to, miała pomóc w wydaniu jego książek, za co obiecał Marytce spory procent.

Aleksander Pruszyński, jej starszy syn, niedoszły kandydat na prezydenta Białorusi, tłumaczył matkę. Popełniła błąd i wzięła przed wojną pieniądze od „dwójki” za pomoc w pewnych posunięciach wobec ojca. Bezpieka potem na to wpadła, szantażowała i złamała, także ze względu na jej dramatyczną sytuację – walkę ze stryjem o dzieci, brak pieniędzy, pracy, mieszkania. Ale to trwało krótko, tylko rok. W 1955 r. mój młodszy brat, Stanisław, znany dziś restaurator, uciekł brawurowo na Zachód i bezpieka zerwała z podejrzaną kontakty. Staś uratował ją i ściągął później do siebie, do Kanady, gdzie zmarła w 1984 r. ©

Przyjaźniła się z Catem i jego rodziną od czasów wileńskich, korespondowała z nim, bezpieka wpadła więc na jej trop, wzywała, żądała informacji

o Cacie choćby słowa, podobnie jak od małego, równie nieufnego grona ich przyjaciół, Kresowiaków, AK-owców – obie córki były w wileńskim AK, Barbara w łagrze w Komu, wróciła w 1949 r.

W końcu jednak informatora o nich znaleziono i to nie byle jakiego – była już żoną Ksawerego Pruszyńskiego, księcia reporterów, który mimo swego ziemiańskiego pochodzenia stał się dla komunistycznej władzy cenną zdobyczą, legitymizując ją nie tylko swoją twórczością, lecz także służbą dyplomatyczną na placówkach w Waszyngtonie i Hadze. W wieku zaledwie 43 lat zginął tragicznie w niewyjaśnionym do dziś wypadku samochodowym, śpiesząc się na swój drugi ślub z poetką Julią Hartwig. Jego była żona Maria, zwana Marytką, pochodziła z kresowej rodziny Meysztowiczów pod Wołkowyskiem, jeszcze znaczniejszej od Pruszyńskich;

jako dyplomata rządu Sikorskiego, miał głośnie romanse. Ona natomiast wychowywała dzieci, borykała się z ich utrzymaniem, prowadziła cukiernię, co niezbyt jej szło, tonęła w długach.

Gdy Pruszyński wrócił więc w końcu w 1945 r. do Polski, jego mały synek spytał go: „Masz dolary?”. Za dolary było wtedy wszystko. Z rodziną pojechał jeszcze na placówkę do Waszyngtonu, ale już się nie skleiło, także ze względu na jej ambicje – chciała pisać i pisała, zdaniem wielu, lepiej od męża. Publikowała później w „Kierunkach”, londyńskich „Wiadomościach”, wydała powieść „Czterolistna miłość”, ale Pruszyński był temu przeciwny, pisać, błyszczeć miał tylko on.

Już w 1948 r. rozwiódł się więc z Marią, a dzięki jego pozycji i pieniądзом dzieci zostały z nim. Z matką się tylko widywały. Także i po jego śmierci – zgodnie z pozostawionym

JESTEM MURZYN



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Siedzę w samolocie. Lecę do PL (z kilkoma przesiadkami.) Piszę sobie na komputerze i mam tu wi-fi, bo na razie jest to wciąż samolot linii amerykańskich. Dalej będzie europejski i tam wi-fi nie ma, bo albo za drogie, albo wciąż powoduje spadanie europejskich samolotów na ziemię, więc nie wolno go udostępniać pasażerom z powodu „naszego wspólnego bezpieczeństwa”. W obu przypadkach to takie same boeingi.

Jesteśmy tu w powietrzu i na lotniskach podzieleni na ludzi i podludzi.

Ja należę do ludzi, bo lecę z USA do PL, ale to się skończy po wylądowaniu w Warszawie. Tam już zostanę człowiekiem drugiej kategorii. Kimś na podobieństwo Żyda w Niemczech lat 30. lub Murzyna w RPA w czasach apartheidu. Ponieważ lecę w dobrą stronę, czyli z USA do Polski, to na razie traktują mnie jak normalnego człowieka, a nie jak tego gorszego.

USA uznano za „kraj bezpieczny”, więc jako człowiek, a może nadczłowiek nie muszę nic. Żadnego wsadzania paty-

ków do nosa i wystarczy mój normalny stary paszport – nie muszę dodatkowo pokazywać, że jestem ozdrowieńcem (jestem), człowiekiem zaszczepionym lub osobą przetestowaną. Wsiadłem do samolotu „po staremu” i nikt o nic nie pytał.

Pytania zaczynają się dopiero, gdy lądujesz – już jako człowiek drugiej kategorii i potencjalne zagrożenie dla społeczeństwa.

Babeczka na lotnisku w Warszawie nie pyta, czy jesteś zaszczepiony, ani o to, czy masz test negatywny lub jesteś ozdrowiały – to jej w ogóle nie obchodzi! – ona pyta, czy masz stosowne zaświadczenie. Nieważne, czy prawdziwe, czy fałszywe, nieważne nic, tylko prawidłowy kwit. I żaden kwit wystawiony w USA prawidłowy nie jest, bo UE uznaje wyłącznie kwity wystawione w UE.

Jak miałbym (gdybym chciał spełnić wasze głupie wymogi) w USA załatwić kwit wystawiony przez UE? Na to pytanie reżim warszawski nie odpowiada. Bo reżim nie jest od udzielania odpowiedzi. Reżim jest od wymagania kwitu wystawionego przez reżim.

Czyli z bomby należy mi się kwarantanna NIEZALEŻNIE od wszystkiego. Obywatel przyleciał z kraju bezpiecznego

(jakim są Stany Zjednoczone), ale to się skończyło na lotnisku Okęcie, gdzie zaczynają się podziały na ludzi i podludzi.

Nie wiem, co czuli Murzyni, którzy w ramach reprezentacji USA trafili na igrzyska olimpijskie organizowane w Niemczech za czasów kanclerza Hitlera, ale zakładam, że nasze odczucia były podobne: tam (w USA) byłeś jeszcze człowiekiem, a tu jesteś podczłowiekiem. Podludziom nie wolno chodzić do restauracji, do kina, na ulicę, do sklepu ani nawet do kościoła. Najpierw kwarantanna, czyli areszt domowy. Bez wyroku sądowego. Nikt nawet nie wie, czy mam COVID czy nie. To nieistotne – w reżimie liczy się kwit, a kwity wystawia reżim.

– Ale ja jestem ozdrowieńcem!

– Udowodnij i jedynym akceptowanym dowodem jest zaświadczenie od naszego lekarza.

– Przechorowałem w USA.

– Czy zbadał pana polski lekarz z NFZ i wystawił zaświadczenie? Nie? No to znaczy, że pan nie przechorował.

– A gdybym pokazał zaświadczenie o szczepieniu?

– NFZ nie wystawia zaświadczeń na szczepienia robione w USA.

– To znaczy, że do normalnego życia w Polsce przybysze z USA mają się zaszczepić drugi raz, w Polsce?

– W zasadzie tak. Ale! Nikt nie wie, czy powtórne szczepienie nie zabije. Nie zaleca się szczepienia dwa razy. Posiedzi pan sobie na kwarantannie, a potem wyjdzie na polskie ulice.

Po wysiedzeniu na kwarantannie jest się nadal obywatelem drugiej kategorii. Gdybym chciał iść na Piknik Country w Mrągowie, trafię do sektora dla „Murzynów”. No, chyba że

pokażę paszport covidowy wystawiony w UE.

Nie narzekam. Konstatuję pewne fakty. Gdy amerykańscy Murzyni jechali na tamte igrzyska w Berlinie, wiedzieli, w co wchodzić. Teraz, gdy ja lecę do Polski, do mojej Ojczyzny, też wiem, w co wchodzić, i wiem, jak będę traktowany. Reżim sanitarny to reżim jak każdy. A z reżimami się nie dyskutuje; to bezprzedmiotowe. Jedyną metodą na dowolny reżim jest OBALIĆ.

Jeden z moich radiowych Stuchaczy opisał swoją sytuację tak:

„Jako obywatel RP, szczęśliwie lub nie, poddany zostałem badaniu »na obecność«. Pobrano mi z nosa coś i za godzinę zadzwoniono, że w tym czymś jest wirus. Skoro jest wirus, to znaczy, że jestem chory (taki wniosek nie jest zgodny z medycyną!), a to oznacza izolację. Wojsko i policja sprawdzają, czy przestrzegam nałożonych restrykcji. Aparat państwowy działa.

Po miesiacu, szykując się do wyjazdu, loguję się na swoje konto pacjenta, by pobrać „certyfikat ozdrowieńca”. System nie działa, nie mogę pobrać. Czas wyjazdu nagli, więc nie czekam i działam »ręcznie« – czyli dzwonię. Dotarłem do kogoś z Ministerstwa Zdrowia. Pani od ministra powiedziała, że skoro miałem tylko wymaz, a nie inny test, to certyfikat ozdrowieńca mi się nie należy.

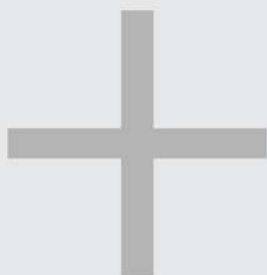
Zapytałem więc: »Skoro zły test i certyfikat mi się nie należy, to dlaczego byłem na podstawie tego złego testu w «areszcie domowym» jako chory?«. Odpowiedziała bez emocji: »BO TAKIE SĄ WYTYCZNE Z GÓRY«.

A ja... Człowiekiem drugiej kategorii przestanę być dopiero, gdy po Jarmarku Dominikańskim dolecę do USA. © ©

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~929~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

S. KOPER, T. STAŃCZYK
„NAJDAŁSZE KRESY.
OSTATNIE POLSKIE LATA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

339,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 590 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER GŁÓWNY



PARTNER

